Nagrody Strażnik Pamięci 2023 wręczone!

KIJÓW – WARSZAWA

Czy w Polsce powstanie ukraińska partia?

Ziemkiewicz o migrantach, którzy w Europie demonstrują radość z ataku na Izrael

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 42/549 16–22 PAŹDZIERNIKA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

HISTORIA PIERWSZEJ DAMY REPUBLIKI CHIŃSKIEJ – ŻONY GENERAŁA CZANG KAJ-SZEKA

Czarny rok 2024 – Warzecha o podwyżkach, które nadciągają

Synod wstrząsa Kościołem

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 42 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl cae6db74eb

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

MODNY LOT Z RADOMIA DO PARYŻA

LEĆ NA LOTNISKO RDO.WAW.PL

SPRAWDŹ LOT.COM

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER

eprasa.pl cae6db74eb

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Po stronie człowieczeństwa

Brutalny atak Hamasu na Izrael wywołał, co naturalne, wstrząs. Mordowanie niewinnych uczestników festiwalu czy przypadkowych Żydów, spotkanych na drodze, to akt barbarzyństwa, nie ma co do tego wątpliwości. Każdy taki przypadek – a sami Palestyńczycy chwalili się nimi – zasługuje wyłącznie na potępienie. Czy oznacza to jednak, że wojna arabsko-izraelska jest starciem zła i dobra, sił ciemności z mocami jasności? Czy ma rację Bartosz Węglarczyk, szef Onetu, gdy pisze, że „poparcie dla Izraela jest dziś miarą człowieczeństwa"? Słowa te uzasadnia tym, że „jesteśmy świadkami największej od czasów Holokaustu masakry Żydów". Wybrałem ten komentarz, bo oddaje on dość powszechną postawę wielu polskich komentatorów. Po ataku Hamasu, twierdzą, całe nasze poparcie musi być po stronie Izraela. Skrajna, ale przecież typowa dla zwolenników tego podejścia była deklaracja Joawa Galanta, ministra obrony Izraela, który powiedział, że Żydzi toczą wojnę nie z ludźmi, ale z ludzkimi zwierzętami. Można rozumieć to uniesienie i wręcz histerię sympatyków Izraela, ale, niestety, jak to często bywa, sprawa jest bardziej złożona. Nie da się jej opisać w kategoriach ludzie – Żydzi, zwierzęta – Palestyńczycy.

Pierwszą rzeczą jest pytanie, z moralnego punktu widzenia najważniejsze, czy rzeczywiście jest tak, jak chcieliby autorzy tych wypowiedzi, że konflikt Palestyńczyków z Izraelem przypomina drugi Holokaust, kiedy to Żydzi byli ofiarami, a sprawcami byli Niemcy. Nie sądzę. Atak Hamasu, nawet jeśli chwilowo udany, szybko zostanie – jak to zapowiadali sami Izraelczycy – utopiony we krwi. Nie przypomina on w żadnym razie planowej akcji eksterminacyjnej, ale raczej jest wyrazem rozpaczy. To przejaw długo tłumionej i dojrzewającej nienawiści, której paroksyzmy możemy obserwować. To zachowanie – pod tym względem minister Galant miał rację – przypomina reakcję dzikiego, zaszczutego zwierzęcia, któremu nic już, poza wściekłym rzuceniem się na kraty, nie pozostało. W sporze z Palestyńczykami Izrael nie tylko dysponuje bowiem niebywałą przewagą militarną, lecz także może liczyć na bezwarunkowe poparcie największego światowego mocarstwa, czyli USA. Te nie tylko konsekwentnie wspierają go od dziesiątków lat, lecz także jednoznacznie ogłosiły, że udzielą Żydom wszelkiej potrzebnej pomocy. Porównanie dzisiejszej pozycji Żydów w Izraelu z tą z czasów drugiej wojny światowej na terenach okupowanych przez Niemców jest kompletnie nie na miejscu.

Nie pora tu, by opisywać korzenie konfliktu Żydów i Arabów. Można natomiast stwierdzić, że szczególna odpowiedzialność za ostatnie wydarzenia spada na sam rząd premiera Beniamina Netanjahu. Nie tylko tak jak pozostali przywódcy Izraela praktycznie nie realizował porozumienia zawartego z Palestyńczykami jeszcze za czasów Jasira Arafata, które mogło przynieść pojawienie się niepodległego państwa palestyńskiego i być może trwały pokój, lecz także prowadził politykę agresywną. Wbrew licznym rezolucjom ONZ wspierał rozbudowę osiedli żydowskich na terenach okupowanych, systematycznie wypierając Arabów z ich własnych ziem. Popierał akcję wywłaszczania i judaizowania Wschodniej Jerozolimy. Bezlitośnie tłumił opór – tyle że informacje o zabitych Arabach, również dzieciach i kobietach, rzadko przebijały się do opinii publicznej. Podobnie i teraz można sobie zadawać pytanie, czy atak Hamasu uzasadnia bombardowanie celów cywilnych, odcięcie wody i energii dla całej Gazy. Są to, jakby nie było, stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej i forma zemsty.

Obecny premier Izraela z jeszcze większą determinacją niż jego poprzednicy dążył do tego, żeby zamknąć Arabów w jednym wielkim getcie. Dodatkowo w ostatnim okresie tak on sam, jak jego zwolennicy lubowali się wręcz w kolejnych prowokacjach, które miały pokazać, że Palestyńczycy są obywatelami drugiej kategorii. Być może najgłośniejszymi przejawami tej polityki pogardy było buszowanie po meczecie Al-Aksa przez ministra do spraw bezpieczeństwa, Itamara Ben-Gewira, w otoczeniu żydowskich służb specjalnych, lub propozycje, zgłaszane przez niektórych członków Likudu, zgodnie z którymi teren świątynny, gdzie mieści się także meczet Omara, miałby zostać zaanektowany przez Izrael – obecnie pieczę nad nimi sprawuje Jordania. Do tego można dodać finansowe i propagandowe wsparcie żydowskich fundamentalistów religijnych, którzy głoszą koncepcję odbudowy Trzeciej Świątyni na miejscu, gdzie stoją obecnie dwa meczety.

Wielu analityków mówi, że atak Hamasu spowoduje wielką zmianę geopolityczną na Bliskim Wschodzie. To się dopiero okaże. Na pewno poleje się jeszcze bardzo, bardzo dużo krwi. Nie wierzę w to, żeby przy pomocy siły udało się przywrócić pokój. Ale nie wierzę też, żeby w tej chwili obie strony, tak przepełnione żądzą zemsty, faktycznie były zainteresowane negocjacjami pokojowymi.

W takiej sytuacji należy być jednak nie po jednej lub po drugiej stronie, dolewając oliwy do ognia. Raczej trzeba być po stronie człowieczeństwa i z równą mocą potępiać każdą zbrodnię na niewinnych ofiarach, tak izraelską, jak palestyńską. Może to przyczyni się do opamiętania. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

TEMAT TYGODNIA

20 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CZY POLACY BĘDĄ WIERZYĆ, JAK UNIA KAŻE?
Synodalny Kościół Europejski

STRAŻNIK PAMIĘCI

16 KAROL GAC
OCHRONIĆ PAMIĘĆ
Relacja z uroczystej gali wręczenia nagród Strażnik Pamięci

KRAJ

24 ŁUKASZ WARZECHA
CO NAS CZEKA PO WYBORACH?
Kłopoty na horyzoncie

27 ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM RADZIEJEWSKIM
DEFICYT PRZYWÓDZTWA

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KLUCZ DO MIGRACJI

32 PIOTR SEMKA
POMNIK OFIAR CZY DOM POLSKO-NIEMIECKI?

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
ELEKTRYCZNE ALBO ŻADNE?

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
MROCZNY SEKRET POLSKICH YOUTUBERÓW

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
ZNACHOR, WIEDŹMIN I PAN COGITO
„Do Rzeczy" na najważniejszych targach książki w Hiszpanii

40 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WALKA MIŁOŚCI Z CZYSTOŚCIĄ

NIE PRZEGAP

43 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 JAKUB WOZINSKI
CYFROWY MAKKARTYZM
Cenzura w Internecie

52 WOJCIECH GOLONKA
O POLEXICIE, JUŻ BEZ ZNIECZULENIA

54 JACEK PŁAZA
TAKTYKA, NIE POPULIZM

56 PAWEŁ PAWŁOWSKI
POKAZYWANIE PRAWDY

HISTORIA

58 ŁUKASZ CZARNECKI
MADAME CZANG
Pierwsza dama Państwa Środka

ŚWIAT

64 WITOLD REPETOWICZ
PALESTYŃSKO-IZRAELSKI ARMAGEDON
Gorzej dopiero będzie

67 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSKA PARTIA NA UCHODŹSTWIE

EKONOMIA

70 ROZMOWA Z KAZIMIERZEM GRAJCARKIEM
POLITYKA KLIMATYCZNA, CZYLI WIELKA PRALNIA PIENIĘDZY
Kiedyś ekonomia socjalistyczna, dzisiaj ekonomia ekologiczna

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
AMAZONKA BEZ TAJEMNIC
Nil pokonany

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl cae6db74eb

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **C. Furlong/Getty Images, B. Zborowski/PAP, UIG/Getty Images**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wszędzie, byle nie do dyktatury

Szanowna Redakcjo,
uprzejmie proszę opublikować moje spostrzeżenie – może zwróci na nie uwagę kierownictwo Unii Europejskiej.

Uważam, że pomysł przymusowego kierowania przez UE jakichkolwiek ludzi, w tym imigrantów, skądkolwiek do Polski – kraju dyktatorskiego, faszyzującego, skrajnie niepraworządnego, łamiącego konstytucję polską i unijnoeuropejską – naraża tych ludzi na pogwałcenie podstawowych praw człowieka, w tym Karty praw podstawowych Unii Europejskiej.

Z poważaniem i pozdrowieniami
Krzysztof Prochaska, Łódź

„Klinika za żółtymi firankami", Joanna Siedlecka, „DRz" nr 40/2023

Szanowna Redakcjo,
chciałbym sprostować błąd w felietonie Joanny Siedleckiej „Klinika za żółtymi firankami" z nr. 40 „Do Rzeczy".

Mieczysław Fejgin nie był bratem Anatola. Jest to dosyć częsty błąd, ale kwestię tę wyjaśniła, miejmy nadzieję ostatecznie, Jolanta Epsztein w artykule „Zarys biografii Mieczysława Fejgina, osobistego lekarza Bieruta", opublikowanym w piśmie „Komunizm. System, ludzie, dokumentacja" nr 10/2021, dostępnym także on-line: http://komunizm.net.pl/wp-content/uploads/2022/02/Jolanta-Epsztein-Zarys-biografii-Mieczyslawa-Fejgina-osobistego-lekarza-Bieruta.pdf.

Pozdrawiam
Paweł Kwiatkowski

„Szpieg, który kochał", Wiesław Chełmniak, „DRz" nr 41/2023

Reżyserem filmu „Doppelgänger. Sobowtór" jest Jan Holoubek!

Pozdrawiam
Czesława Scheffs

Od autora

Sam byłem zaskoczony, ujrzawszy, komu przypisałem reżyserię „Doppelgängera. Sobowtóra". Za haniebną pomyłkę pana Jana Holoubka oraz wszystkich zainteresowanych przepraszam.

Wiesław Chełmniak

eprasa.pl cae6db74eb

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Generałowie demonstrują

Wydawało się, że już się do tego zjawiska przyzwyczailiśmy. Do wysokich rangą generałów Wojska Polskiego, którzy po iluś latach służby odchodzą z wojska i zaczynają nowe – medialne, a niekiedy i polityczne życie. Generał Waldemar Skrzypczak czy gen. Mirosław Różański z lubością przyjmowali rolę medialnych komentatorów stanu bezpieczeństwa Polski i potencjału polskiej armii.

Po przegranej PO w 2015 r. do grona „głośnych" nazwisk sprzyjających opozycji doszli ci, którzy opuścić musieli kierownicze stanowiska w służbach specjalnych, tacy jak Piotr Pytel i Janusz Nosek, byli szefowie Służby Kontrwywiadu Wojskowego. I oni byli bezcennymi dla opozycyjnych mediów krytykami służb pod rządami PiS. Generał Różański odnalazł się w tym czasie u boku Szymona Hołowni jako doradca w dziedzinie wojskowości. Ale ostatnia demonstracyjna dymisja dwóch wysokich dowódców WP – szefa Sztabu Generalnego gen. Rajmunda Andrzejczaka i dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych gen. Tomasza Piotrowskiego – to jednak nowa, niepokojąca jakość.

Dymisja tuż przed wyborami to wyrazista demonstracja polityczna. A takiej postawy u jednych z najwyższych oficerów naszej armii nie można zostawić bez krytycznego komentarza. Z dużym wysiłkiem polskich elit trzymaliśmy dotąd armię z dala od polityki. Tak jest w każdym prawdziwie demokratycznym kraju. Wojsko trzyma się z dala od polityki. Przyjmijmy, że generałowie Andrzejczyk i Piotrowski czuli się skrzywdzeni jakimiś decyzjami ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Przyjmijmy, że mieli swoje silne racje. Ale mogli to zrobić po głosowaniu 15 października, nazywanym najważniejszymi wyborami Polaków od czerwca 1989 r.

Motywy ich demonstracji z chęcią zaczyna objaśniać już gen. Pytel na łamach „Wyborczej". Pytel ogłasza, że PiS szykuje wariant siłowy na wypadek przegranej. „W wojsku się o tym mówi" – tajemniczo ogłasza Pytel. A media proplatformerskie po cichu lansują taktykę „murem za generałami". A dziennik „Rzeczpospolita" drukuje sondaż, z którego wynika, że to Błaszczak powinien podać się do dymisji, bo generałowie sobie poszli. Przypomina się rząd Jana Olszewskiego, gdzie wojskowi ze starych PRL-owskich kręgów wobec prób zreformowania armii demonstrowali, że ministra obrony Jana Parysa słuchać nie będą. A liberalna prasa sekundowała im i zachęcała wręcz do rozprawy z prawicowym rządem.

Teraz jest tak samo. Każdy cios w PiS przed wyborami jest na wagę złota, więc odejście dwóch generałów zyskuje wręcz status patriotycznego, odważnego gestu. Z niektórych wypowiedzi polityków opozycji wynika wręcz tęsknota za jakimś buntem w armii przeciw ekipie PiS. Zachęcanie do takich postaw to prosta droga do wmówienia generałom, że mają prawo ingerować w politykę. A żadna demokracja nie jest w stanie wytrzymać takich ambicji oficerów. „Wojna to zbyt poważna sprawa, by pozostawić ją wojskowym" – brzmi znane francuskie przysłowie. My dodajmy – z politykowaniem u wojskowych jest dokładnie tak samo. ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

WRESZCIE WYGRANY MECZ

Reprezentacja Polski w szóstym meczu eliminacji Euro 2024 pokonała na wyjeździe Wyspy Owcze 2:0. Tym samym Michał Probierz zapisał się na kartach historii polskiego futbolu jako pierwszy selekcjoner od 1997 r., którego debiut okazał się zwycięski. Punkty zyskane podczas czwartkowego meczu sprawiły, że Polska awansowała o dwie pozycje w tabeli grupy E i znalazła się na miejscu dającym jeszcze nadzieję na awans na Euro 2024. Aby spełnić marzenia o mistrzostwach, Polacy muszą wygrać z Czechami. *(jap)* ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

Już 23 października w „Do Rzeczy" dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl cae6db74eb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Brexit listopadowy

Należę do tej większości Polaków (46 proc. do 42 proc. według Eurostatu), która widzi przyszłość Polski „raczej poza UE niż raczej w niej". Należę też do stosunkowo nielicznej grupy tych, którzy z racji osobistych śledzą dość uważnie politykę brytyjską. Z obu tych powodów szczególnie irytuje mnie spin: „Wielka Brytania, taka potężna, a tak fatalnie wyszła na brexicie, nie wolno nam powtórzyć jej błędu". Szczególnie irytuje mnie, gdy powtarza to ktoś z mojej redakcji – jak zrobił to tydzień temu Łukasz Warzecha.

Moje rozmowy z Brytyjczykami wyglądają mniej więcej tak: mamy problemy przez brexit. Macie, zgadzam się, ale nie dlatego, że go zrobiliście, tylko że go nie zrobiliście. Tu wytrzymuję spojrzenie „wariat" i mówię: pokaż mi jedną unijną politykę, od której odstąpiliście po brexicie. Teraz z kolei wytrzymuję rozpaczliwe i bezskuteczne szukanie odpowiedzi i dobijam: … a ja ci wyliczę dziedziny, w których poszliście dalej, niż UE wymusiła to na swoich członkach, i chcieliście być bardziej brukselscy od Brukseli. Wyliczam i trwa to długo; nieco krócej trwa wyjaśnienie, że to właśnie jest przyczyną gospodarczej i społecznej zapaści UK.

Potem opowiadam Brytolowi o naszym powstaniu listopadowym. Młodsi oficerowie i uliczny lud wywołali rewolucję, ale generałowie, którzy stanęli na jej czele, nie wyobrażali sobie w ogóle, że z Rosją można wygrać, i dowodzili tak, żeby przede wszystkim nie zrazić do siebie cara i nie zamknąć Królestwu drogi powrotu do Imperium. Car jednak nie chciał z Polską negocjować, bo uznał, że bardziej się opłaca ją przykładnie ukarać. Tak jak Niemcy nie chcieli docenić hiperbrukselskości okazywanej przez brytyjską klasę polityczną, bo dla ich planu niemieckiego państwa europejskiego korzystniej było „ukarać" Anglię i zrobić z niej budzący postrach przykład dla innych „hamulcowych" federalizacji – wspomniane na wstępie „tak się kończy wychodzenie z UE".

Więc: tak, zgadzam się, nie powtarzajmy brytyjskiego błędu. Wyjdźmy z Unii Europejskiej naprawdę, a nie tylko formalnie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Odgłosy burzy

Architektura bezpieczeństwa to nie tylko metafora. Bezpieczeństwo zbiorowe to rzeczywiście konstrukcja wzajemnie warunkujących się elementów. Podważone w jednym miejscu – łatwo słabnie w drugim, naruszone zbyt mocno albo w zbyt wielu miejscach może się po prostu rozpaść. W trakcie wojny na Ukrainie wojna w Górskim Karabachu zniszczyła Republikę Arcach. Atak Hamasu na Izrael stał się największym dramatem tego państwa co najmniej od wojny Jom Kipur pół wieku temu.

Wojny z reguły bywają zachętą do podjęcia kolejnych. Turcja, korzystając ze statusu najsilniejszego czarnomorskiego państwa NATO, zapaliła Azerom zielone światło dla agresji przeciw karabachskim Ormianom. W wypadku Hamasu analogiczną rolę (choć po przeciwnej stronie geopolitycznego frontu) spełnił Iran, kluczowy sojusznik Rosji. Nie wiadomo, czy i do jakiego stopnia Teheran konsultował z Moskwą atak swych protegowanych na Izrael. Natomiast z pewnością agresja ta jest dla Rosjan wielorako korzystna. Przede wszystkim jako przestroga dla Amerykanów przed możliwością otwarcia drugiego szerokiego frontu, w który – w wypadku eskalacji – musieliby się zaangażować; jako odwrócenie uwagi międzynarodowej opinii od Ukrainy i zrelatywizowanie znaczenia rosyjskiej agresji; jako środek nacisku (poprzez islamistyczną reakcję) na współpracujące z Zachodem rządy arabskie; jako zapalnik muzułmańskich protestów i rozruchów w świecie zachodnim.

Dobrze, że stale wzmacniamy militarną siłę Polski. Obyśmy tylko pamiętali, że silna obrona to instrument bezpieczeństwa, środek zachowania pokoju, a nie argument, by się zagrożeniami dla naszego bezpieczeństwa mniej przejmować. Pierwszą dyspozycją polskiej racji stanu jest utrwalenie odzyskanej niepodległości, a pokój utrwala ją najbardziej. Trzeba o tym pamiętać, gdy sytuacja międzynarodowa staje się coraz mniej stabilna. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O gówniarzach z Mediolanu

Gdy zezwierzęceni palestyńscy zbrodniarze Hamasu mordowali dzieci, kobiety i młodzież w Izraelu, kolektyw uczniowski elitarnego mediolańskiego liceum im. Alessandro Manzoniego (czołowy pisarz włoskiego romantyzmu) na Instagramie zamieścił zdjęcie szalejących z tego powodu z radości Palestyńczyków. Opatrzono je komentarzem: „Jak pięknie jest, gdy Tel Awiw płonie". A dalej czytamy: „Jesteśmy całkowicie solidarni z narodem palestyńskim i jego walką. Stoimy po stronie narodów uciskanych, które przeciwstawiają się opresji".

Kolektyw nazywa się „Kurva Manzoni Antifa". Pierwsze słowo, które kojarzy się nam brzydko, odnosi się do stadionowego łuku, na którym zasiadają najbardziej fanatyczni kibice. Natomiast „Antifa" oznacza, że stowarzyszenie licealistów za pierwszy cel stawia sobie walkę z faszyzmem, który istnieje wyłącznie we włoskich postępowych mediach i w słowniku lewicowych polityków, a odnosi się do wszystkich, którzy nie podzielają jedynie słusznych idei ludzi wiedzących wszystko najlepiej. Jak się właśnie okazało, mediolańscy licealiści uwierzyli również w inny dogmat lewicowej religii o miłości do Palestyńczyków i nienawiści do Izraela.

Cóż, karlejemy. Przychodzi zapłakać. Siedemnastoletni Rimbaud napisał „Statek pijany", 19-letni Krasiński – „Nie-Boską komedię", a elitarna mediolańska gówniarzeria: „Jak pięknie jest, gdy Tel Awiw płonie".

Ale też trudno się dziwić. W niedzielę 8 października w Rzymie odbyła się masowa demonstracja największej centrali związków zawodowych CGIL. Dumnie maszerowali liderzy włoskiej lewicy. Powiewały setki czerwonych flag z sierpem i młotem. Co więcej, w dniu, gdy już znane były rozmiary potwornych zbrodni Hamasu w Izraelu, tradycyjnie pojawiły się również flagi palestyńskie, a uczestnicy deklarowali pełną solidarność z mordercami. Natomiast na fasadzie Uniwersytetu Mediolańskiego zawisł ogromny transparent: „Nadchodzi kontratak! Stoimy u boku narodu palestyńskiego!". Mam obawy, że na leczenie jest za późno. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl cae6db74eb

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

DETEKTYW PRAWDĘ CI POWIE

Jeżeli ktoś zdążył zapomnieć o uczuciowej dramie z Marcinem Hakielem i Kasią Cichopek w rolach głównych (Maciej Kurzajewski oraz Paulina Smaszcz w rolach drugoplanowych), to nowy wywiad zdradzonego przez byłą już żonę tancerza odświeży pamięć. Hakiel wrócił wspomnieniami do relacji z Katarzyną Cichopek, z którą rozstał się w 2022 r., po 17 latach związku. Tancerz padł ofiarą zdrady małżeńskiej. Cichopek obwieściła, że jej nowym partnerem jest Maciej Kurzajewski, z którym prowadzi „Pytanie na śniadanie". Hakiel już wcześniej wyczuł pismo nosem. – W pewnym momencie jest tak, że nie wiesz, co się dzieje, i próby rozmów generalnie nie idą w taką stronę konstruktywną [...]. Szedłem z kumplami i stwierdziłem, że no dobra, trzeba się dowiedzieć [...]. Nie polecam tego najgorszemu wrogowi – wyznał celebryta w podcaście „Żurnalisty". Marcin Hakiel przyznał, że pod koniec związku zdecydował się zatrudnić detektywów, ponieważ nie mógł żyć dłużej w takiej niepewności. Długo szukał właściwego detektywa, ale dzięki znajomym trafił na odpowiednich specjalistów. „Dobra, Marcin, zobaczymy to i tamto, po dniu czy dwóch powiesz, co chcesz". Trzeciego dnia się okazało, że jest grubiej, niż myślałem, i trzeba było to jakoś dokończyć, się dowiedzieć – wskazał. Ostatecznie upewnił się co do niewierności żony, gdy zobaczył zdjęcia zrobione przez detektywów. – W pewnym momencie już kłamstw nie ma, bo leży na stole to, co leży, to zaczynasz normalnie rozmawiać. Po 17 latach dowiadujesz się, że osoba, z którą żyłeś, jest kimś innym, ale dobra, żyjesz dalej, musisz się dogadać. Gdybyśmy nie mieli dzieci, byłoby prościej – stwierdził tancerz. Zapewne całkowitym przypadkiem odgrzebanie tej sprawy przez Hakiela w mediach zbiega się w czasie z jego deklaracją, że jest w pełni gotowy wrócić do „Tańca z gwiazdami" – zarówno jako tancerz trenujący tytułowe gwiazdy, jak i jako juror. Wszystko na pokaz. I wszystko na sprzedaż?

FOT. MICHAŁ ŻEBROWSKI/DDTVN/EAST NEWS

ROZPRAWA Z PRZESZŁOŚCIĄ

Coś chyba jest w powietrzu, bo i projektantka Ewa Minge zdecydowała się rozliczyć publicznie z przeszłością. Przyznała, że jej były mąż przez lata nie chciał kontaktować się z dziećmi. Co gorsza, nie płacił też odpowiednio wysokich alimentów. – Minęło 21 lat od mojego rozwodu. Moje dzieci dostawały 200 zł od człowieka, któremu zostawiłam moją jednoosobową firmę, wypracowany naprawdę duży majątek, który pozwoli mu godnie żyć do końca jego dni. On dawał 200 zł. Nie było żadnej kartki urodzinowej, żadnego prezentu urodzinowego. A jaki mieli kontakt? Była próba nawiązania kontaktu po trzech latach od rozwodu, dopiero wtedy moje dzieci się na to zgodziły. Synowie z różnych powodów nie chcieli tego kontaktu. Zresztą psychiatra i psycholog mi odradzali takich „szybkich" spotkań dzieci z ojcem – chcieli, aby ten kontakt był też pod kontrolą – opowiada Minge Plejadzie. – Na pierwsze spotkanie z synami ten człowiek przyjechał ze swoją nową żoną i powiedział tekst, który mój starszy syn powtarza do dzisiaj: „Poznajcie moją normalną rodzinę". On przyjechał wtedy z małym dzieckiem, zresztą nieswoim. Na moje zaproszenie, by wejść do środka, powiedział, żebym się zamknęła – relacjonuje dalej gwiazda. Projektanta ujawniła też, że jej eks pozwał jednego z synów, domagając się zwrotu 2,4 tys. zł rzekomo nienależnych mu alimentów. Ewa Minge dodaje, że mówi o tym wszystkim, aby ośmielić kobiety żyjące w przemocowych związkach. Skoro tak mówi, to tak musi być. Tak czy inaczej, powodzenia.

O NORMALNOŚCI

Państwo, czytając ten numer tygodnika „Do Rzeczy", wiedzą już znacznie lepiej niż my, oddając go do druku, jakim rezultatem zakończyły się wybory parlamentarne. PiS czy KO? „Opozycja demokratyczna" górą czy Konfederacja jako języczek u wagi? Miniony tydzień przedwyborczy obrodził w celebrytów większych i mniejszych, artystów zaangażowanych, muzyków i modelki, którzy namawiali do głosowania. W jedyny słuszny sposób, rzecz jasna. Niby nazwy partii nie padały, każdy jednak wiedział, na kogo wypada głosować, a na kogo nie. „Kobiety na wybory. Czy to hasło jest potrzebne? Okazuje się, że jest i przyznaję, że bardzo mnie to zdziwiło. Wyobraźcie sobie, że prawo do głosowania w wyborach parlamentarnych mają wyłącznie mężczyźni. My, kobiety, nie mamy prawa głosu, a tak było jeszcze 105 lat temu. Nasz głos był nieistotny, mało ważny społecznie" – tak do Polek zwróciła się prezenterka Grażyna Torbicka. „Wykorzystajmy nasz głos, bo nie jest prawdą, że jeden głos niczego nie zmienia. Jeden głos może zmienić wszystko. Jeżeli nie pójdę na wybory, to znaczy, że nic mnie nie obchodzi, co dzieje się wokół, w jakim kraju żyję. I nieprawdą jest, że tu nie może być normalnie. Może być normalnie. Spraw, które trzeba uporządkować, zmienić, jest bardzo dużo. Wszystkie zostały wymienione w tej kampanii" – dodała. Czy po 15 października w Polsce jest normalnie? Miejmy nadzieję. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pisząc te słowa, jeszcze nie wiemy, w jakich humorach zastanie nas powyborczy poniedziałek, a scenariusze są diametralnie inne. Albo będziemy leczyć kaca po pełnym radości wieczorze przy piwerku ze sprajtem i sojowym pumpkin spice latte, albo będziemy w drodze na tułaczkę i poniewierkę xD, tzn. w drodze na lotnisko w Balicach, iżby w towarzystwie innych postępowych i rozczarowanych wynikami wyborów osób wyjechać z tego kraju.

W scenariuszu drugim na pewno utkniemy w korku, iż podejrzewamy, iż to już nie przelewki i tym razem to naprawdę wszyscy, którzy od 2015 r. ogłaszają opuszczenie tego kraju, już na pewno to zrobią i wszystkie wylotówki z wielkich ośrodków będą zapchane.

Problem tylko w tym, że tradycyjny cel ucieczek z tego kraju, a więc Wielka Brytania, nie leży już w Europie. Musimy więc pomyśleć nad nowymi kierunkami i intuicyjnie wybralibyśmy Niemcy, ale nawet takie Czechy nie wydają się takie złe – nawet iż mają tam generała za prezydenta, ale za to nie ma churchingu.

Albo taka Hiszpania lub Portugalia, koniec kontynentu, dalej tylko woda, z daleka od tego kraju, jego rządu, polityki, szkoda tylko, że możemy tam napotkać jakieś pozostałości po reżimie Franco. W każdym razie na pewno coś wymyślimy, iż nie zniesiemy kolejnych lat łamania konstytucji.

Tak więc na wszelki wypadek pakujemy nasz taktyczny plecak, idziemy w niedzielę uczestniczyć w świecku demokracji, a w poniedziałek to się zobaczy, może zresztą z niektórymi z Was miniemy się gdzieś w hali odlotów.

Na wszelki wypadek nie będziemy jednak uciekać do Holandii. Of kors słyszeliśmy, co się działo tam przed meczem Legii z AZ Alkmaar, i jakkolwiek przychylnie patrzymy na objawy polonofobii za granicą, to jednak wolimy, iżby dotykała kiboli, januszów i w ogóle kogoś innego niż my.

Szkoda tylko, iż rykoszetem za grę w polskim klubie oberwali piłkarze z zagranicy – Portugalczyk i Serb, przez co siara za całe to zamieszanie jest trochę większa. No właśnie – piszemy „zamieszanie", iż nie było nas na miejscu, nie wiemy, co tam się dokładnie stało i kto zaczął.

Natomiast chcemy się odnieść do pogłosek mówiących, iż holenderskie służby wyłapywały na ulicach osoby mówiące po polsku i wywoziły je z dala od stadionu. Otósh, kochani, wydaje nam się, iż Holandia jest wciąż niepodległym i suwerennym państwem i sama może decydować, kogo chce u siebie gościć. Prawda?

Jeśli z jakiegoś powodu uznała, iż tego dnia nie ma ochoty na goszczenie Polaków, to Polacy powinni to uszanować i wyjechać bez proszenia i ponaglania. Zwłaszcza że sami pchali się na Zachód i ich tam chyba nikt specjalnie nie zapraszał.

Mamy nadzieję, iż teraz Legia zachowa się przyzwoicie i kolejny mecz odda Holendrom walkowerem, a zamiast kopania piłki zawodnicy obu drużyn zorganizują panel dyskusyjny na temat migracji, ksenofobii oraz trudnej sztuki dialogu, iżbyśmy mieli pewność, że takie sytuacje z udziałem polskich klubów nie będą się powtarzać. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Plan współpracy

Mati, przecież się umawialiśmy, że będziesz szklanką postukiwał i taki tik w lewym oku będziesz miał.

Sorry, Donek, zestresowałem się trochę. Rozumiesz, tu musiałem te teksty wyuczone mówić, a jeszcze pamiętać, na co się dogadaliśmy.

No tak... Ja w sumie też mogłem coś zmienić. A tak powiedziałem o tym, że czegoś ci musieli nalać, skoro taki jesteś pobudzony, a ty wcale nie wyglądałeś na pobudzonego.

Mnie bardziej martwi, że nam to słabo wyszło.

Mnie też. Zobacz: kilkanaście dni planowania, przecież nawet robiliśmy sobie próby w tej tam piwnicy, w tajemnicy, żeby nas nikt razem nie zobaczył...

... a potem się okazuje, że ten cały plankton ściągnął uwagę. Niedobrze.

Niedobrze. Musimy opracować plan współpracy na najbliższą kadencję. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Powielam tezy znane w przestrzeni publicznej – że oni po dobroci tej władzy nie oddadzą".

GEN. PIOTR PYTEL, *sugerując przygotowania w Polsce do wprowadzenia stanu wojennego, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą"*

eprasa.pl cae6db74eb

dwaj panowie g

No i po kampanii. Zdążyliśmy na finiszu porozmawiać z rozmaitymi wiewiórkami z różnych miejsc i ogłaszamy: była to kampania niewiary. Jedni nie wierzyli, że wygrają, drudzy nie wierzyli, że będą mieli samodzielną większość, trzeci nie wierzyli, że wejdą. Właściwie tylko dwa sztaby wierzyły, że będzie jakiś sukces. Dziwnym trafem mocno z lewa i mocno z prawa. Oznacza to, że w Polsce naprawdę wierzący są tylko komuniści i konfederaci.

W ostatnich dniach kampanii sztab PiS wybrał ciekawą taktykę komunikacji wewnętrznej, tzn. obniżanie poziomu oczekiwań. Oznaczało to, że nawet (albo inaczej: zwłaszcza) kiedy o ostatnie prognozy pytali swoi, to słyszeli, że nie jest dobrze, że może tak, a może siak, a może jeszcze inaczej. My to rozumiemy. Jak się poprzeczkę odpowiednio nisko zawiesi, to potem zawsze można ogłosić wielki sukces. W każdej sytuacji.

Nie ujawnimy też zbyt wiele, jeśli powiemy, że zawczasu odnotowano dwa sygnały w sprawie ewentualnych rozmów koalicyjnych. Ale oczywiście wszystko bardzo kurtuazyjnie i prewstępnie, bo o czym tu gadać, jak jeszcze nie ma jesiotra na stole i dzwonka nie zostały policzone oraz rozdzielone. Aha, ważna rzecz – to były dwa różne sygnały z dwóch różnych miejsc.

Niektórzy pytają: A co się okaże, jak będzie musiał funkcjonować rząd mniejszościowy? Odpowiadamy: ano nic, premier będzie powoływał ministrów, opozycja ich odwoływała przez głosowanie wotum nieufności w Sejmie, a potem premier będzie znów powoływał. Tych samych.

À propos powoływania i odwoływania. Wiadomo, zatrzęsło się w wojsku. Dwóch generałów odeszło. Dwóch przyszło. Kryzys został zażegnany, a opozycja nic na tym nie ugrała. Uchylmy zatem rąbka. Do dymisji dwóch generałów doszło na skutek konfliktu trwającego od jesieni 2022 r. Wówczas to weszli w pamiętny spór dotyczący ruskiej rakiety. Zasadniczo generałowie chcieli odejść już wcześniej, ale zdecydowali się dopiero teraz. Dlaczego? Wiewiórki mówią, że na wypadek ewentualnej przegranej PiS nie chcieli uchodzić za tych, którzy uciekają z tonącego okrętu.

Co ciekawe, mimo zalegania afektu wobec ministra obrony generałowie solennie obiecali, że przed wyborami nie będą zabierali głosu i – jak się wydaje – oficerskiego słowa dotrzymali. Ubocznym skutkiem dymisji stało się to, że gen. Rajmund Andrzejczak stał się kingmakerem swego największego przeciwnika, którym był gen. Wiesław Kukuła, który go zastąpił. Jednak w Kancelarii Prezydenta nastroje są dalekie od entuzjazmu. Obaj zdymisjonowani generałowie uchodzili za ludzi prezydenta. Intuicja nam podpowiada, że osoba głowy państwa znajdzie jednak jakiś pomysł, by odzyskać wpływy w wojsku.

Można tez powiedzieć, że PiS-owi to diabeł dzieci piastuje. W normalnej sytuacji dymisja obu generałów, mających świetne kontakty w Pentagonie i w kwaterze głównej NATO, wywołałaby co najmniej pomruki niezadowolenia w Waszyngtonie. Jednak departament obrony i departament stanu na pomruki nie mają czasu, gdy płonie Izrael.

Skoro już o wojnie w Izraelu, to trzeba odnotować bohaterskie słowa najodważniejszego i najbardziej charyzmatycznego niemieckiego kanclerza w dziejach. Olaf Scholz na widok wybuchów radości na niemieckich ulicach (powiedzmy wprost: radości z zabijania Żydów) ogłosił, że „świętowanie tych okropnych czynów jest nie do zaakceptowania". Nie przypominamy sobie, by był równie stanowczy, kiedy na niemieckich ulicach demonstrowały tłumy ruskich popierających zabijanie Ukraińców.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zupełnie bez echa przechodzi natomiast trzęsienie ziemi na szczytach prokuratury. W minionym tygodniu o mało nie doszło do zmiany na dwóch kluczowych stanowiskach w Prokuraturze Krajowej. Dymisje zostały jednak wstrzymane czy, jak mówią inni, wycofane. Jak podejrzewamy – co się odwlecze, to nie uciecze.

Wracając do kampanii wyborczej. Najciekawsze było w niej to, jak wiele rzeczy działo się w niej przypadkiem. Przypadkiem dzień po Marszu Stu Milionów Tusków zaczął się w stolicy Warszawski Tydzień Kobiet zorganizowany m.in. przez miasto i poświęcony piekłu kobiet. Przypadkiem Jurek Owsiak wywiesił w całej Polsce billboardy „Wygramy". Przypadkiem Konfederacja Lewiatan ogłosiła 10-punktowy plan dobrego rządzenia dla nowego rządu, który dziwnym trafem jest kompilacją okrzyczków Eine Totalopposition. Przypadkiem Amnesty… zresztą, co będziemy gadać, sami wiecie.

W rozmaitych telewizjach też mnóstwo wydarzyło się przypadkiem. Na przykład niezależny i apolityczny kanał Arte wyszykował premierę niezależnego i apolitycznego dokumentu „Polska, kraj pełen napięć". Oto słowa jego reżysera, Marcina Wierzchowskiego: „Ataki, które musi znosić Agnieszka Holland, naprawdę nie są dobrym znakiem […]", „ruszamy się w stronę niebezpiecznego nacjonalizmu […]", „ataki na praworządność lub media […]". „W pewnym momencie nie ma już dyskusji, tylko jest przemoc. Widzieliśmy to w czasach faszyzmu i w czasach stalinizmu". Aha, jeszcze jedno zdanie. Pan Wierzchowski opowiada, dlaczego nakręcił swój film: „Zawsze miałem wrażenie, że ludzie na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech, nie są zbyt zainteresowani Polską". No, to teraz się na pewno zainteresują. Nic tak nie zbliża, jak faszyzm. ©℗

TRE MONTI
RESORT
Kup apartament lub dom
u podnóża Karpacza
w zrewitalizowanej starej Papierni
2 pokoje od 496 000 zł netto
z wykończeniem i wyposażeniem
ZARABIAJ na WYNAJMIE!
ZAPYTAJ BEZPOŚREDNIO
tremontiresort.pl
+48 222 645 260

sprasa.pl cae6db74eb

TAK MA WYGLĄDAĆ ODBUDOWANY PAŁAC SASKI

Warszawska pracownia WXCA wygrała międzynarodowy konkurs architektoniczno-urbanistyczny na koncepcję odbudowy zburzonej przez Niemców w 1944 r. zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego zorganizowany przez Pałac Saski sp. z o.o. we współpracy z operatorem konkursu: Stowarzyszeniem Architektów Polskich (SARP).

Zadaniem projektantów było jak najlepsze zaplanowanie odtworzenia Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej na podstawie ich zewnętrznego kształtu architektonicznego z 31 sierpnia 1939 r., czyli ostatniego dnia przed wybuchem drugiej wojny światowej. Wnętrza mają już zaś odpowiadać potrzebom współczesnych użytkowników.

– Pałac Saski, Pałacu Brühla oraz kamienice przy ul. Królewskiej w Warszawie to miejsca znaczące, wpisane w historyczną pamięć Warszawy, wręcz magiczne. Najwyższy czas, by na nowo odzyskać ten stary fragment Warszawy – mówił w ubiegłym tygodniu prezydent Andrzej Duda podczas uroczystego rozstrzygnięcia konkursu. – Odbudowa Pałacu Saskiego to wielka rzecz dla Warszawy i wielka rzecz dla Polski – zauważył z kolei minister kultury Piotr Gliński.

Odbudowa gmachów Pałacu Brühla, Pałacu Saskiego i kamienic przy ul. Królewskiej ma się zakończyć w 2030 r. ***(jap)*** ©℗

FOT. WXCA

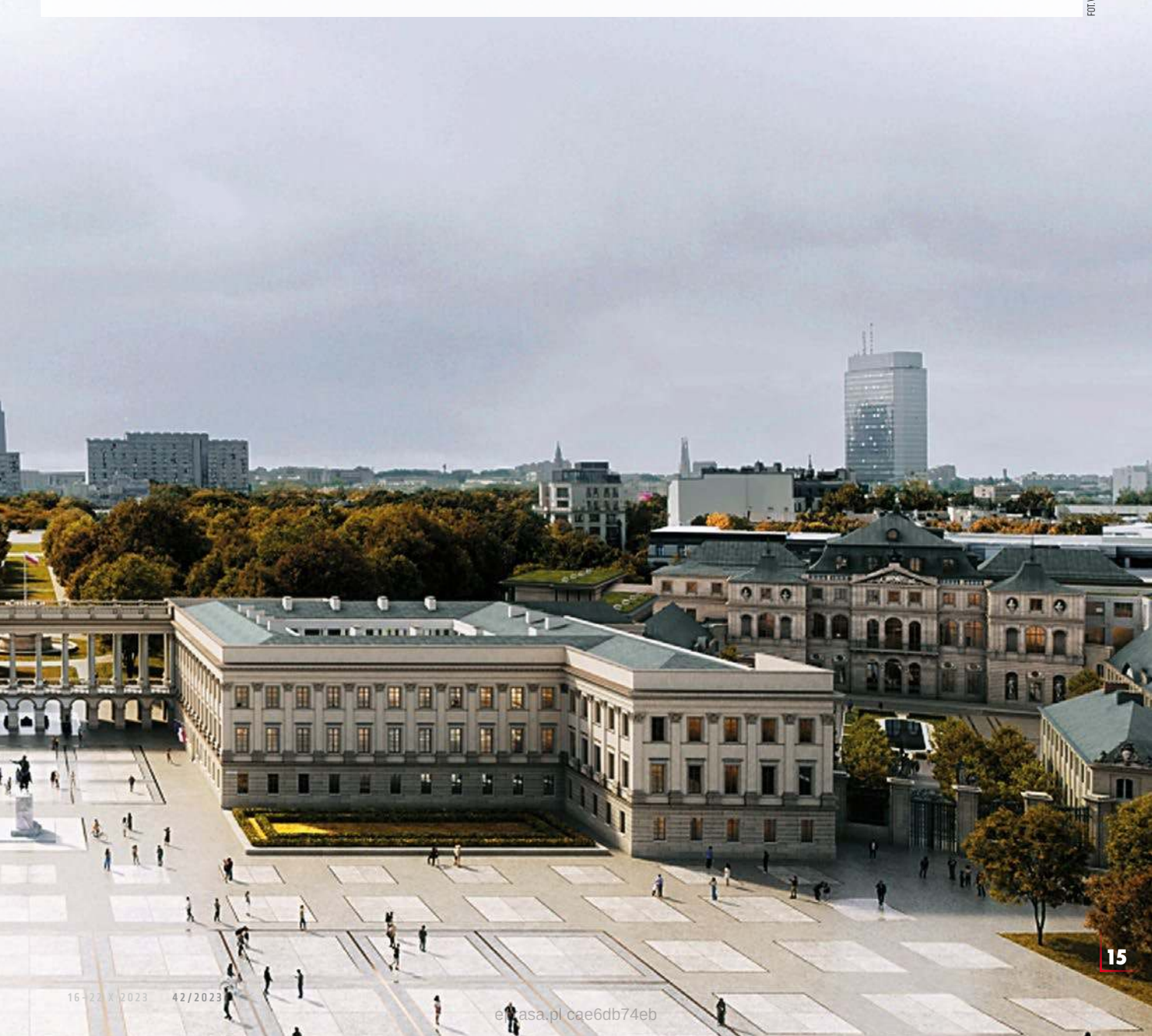

epkasa.pl cae6db74eb

Ochronić pamięć

Tegoroczna uroczysta gala wręczenia nagród Strażnik Pamięci została objęta honorowym patronatem prezydenta Andrzeja Dudy FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Karol Gac

Już po raz 11. tygodnik „Do Rzeczy" przyznał nagrody Strażnika Pamięci osobom i instytucjom, które w szczególny sposób dbają o naszą tożsamość narodową. Po raz pierwszy uroczysta gala odbyła się w nowo otwartym Muzeum Historii Polski na warszawskiej Cytadeli

Statuetki przyznano w trzech kategoriach – Mecenas, Instytucja i Twórca. Wręczono także nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl oraz nagrodę Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej przyznawaną pod patronatem „Do Rzeczy". Kapituła nagrody uznała również, że obok nagród głównych zostaną wręczone także wyróżnienia w każdej z kategorii.

HISTORYCZNA SPUŚCIZNA

Galę otworzył redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy", Paweł Lisicki. – To już 11. edycja Strażnika Pamięci, więc nie będę powtarzał, czym ta nagroda jest. Powiem państwu za to o powodach, dla których znajdujemy się w Muzeum Historii Polski. Pierwszym z nich jest interes redakcyjny. Kiedy się dowiedziałem, że pod koniec września będzie oficjalne otwarcie, to pomyślałem, że będziemy pierwszym tygodnikiem, który urządzi tam pierwszą imprezę. Jesteśmy pierwsi! – mówił.

Po nim głos zabrała dr Barbara Fedyszak-Radziejowska, która odczytała specjalny list od prezydenta Andrzeja Dudy – tegoroczna uroczysta gala wręczenia nagród Strażnik Pamięci została objęta honorowym patronatem prezydenta.

„Uroczyście przekazuję organizatorom 11. gali nagrody Strażnik Pamięci okolicznościowy dar – Flagę Rzeczypospolitej Polskiej. Biało-czerwona flaga to jeden z najczcigodniejszych symboli Rzeczypospolitej. Jednoczy ona i umacnia pokolenia Polaków, będąc świadkiem historii ojczystej i widomym znakiem patriotyzmu [...]. Niech i dziś jej widok pobudza każdego z nas do wykorzystywania własnych talentów i pasji dla wspólnego dobra oraz zbudowania nowoczesnej, bezpiecznej i silnej Rzeczypospolitej. Niech będzie wyzwaniem do urzeczywistnienia mądrych koncepcji i rozwiązań pozwalających skutecznie podejmować wyzwania przyszłości" – napisał prezydent.

eprasa.pl cae6db74eb

Statuetkę Strażnika Pamięci 2023 w kategorii Instytucja otrzymał prof. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

List do uczestników i organizatorów gali skierowała także marszałek Sejmu Elżbieta Witek. „Wszyscy mamy świadomość wagi przechowywania i przekazywania następnym pokoleniom dziedzictwa duchowego oraz materialnego polskiego narodu. Na przestrzeni stuleci w obronie kulturowego dorobku nasi rodacy poświęcili życie. Historyczna spuścizna, a także wiara naszych ojców dawały nieustannie i dają Polakom siły, by mimo przeciwieństw losu, niszczących nas ideologii oraz systemów wytrwać w poczuciu polskości w poszanowaniu wartości nam bliskich" – napisała marszałek Sejmu. Elżbieta Witek podkreśliła także, że „dziś wiedza o przeszłości i bohaterskich postawach pielęgnowana jest z należnym szacunkiem". „To ogromna zasługa osób i instytucji, które dzięki swojemu zaangażowaniu oraz dalekowzroczności wypełniają misję gromadzenia, pielęgnowania i popularyzowania wielowymiarowego bogactwa historii" – zaznaczyła.

DOCENIAJĄC KULTURĘ, PROMUJĄC HISTORIĘ

W kategorii Mecenas nagrodę Strażnika Pamięci otrzymała Telewizja Polska S.A. za „finansowanie filmów i sztuk teatralnych poświęconych polskiej historii i trosce o polską niepodległość". – W jednym z wywiadów prezes TVP Mateusz Matyszkowicz powiedział, że „telewizja publiczna jest częścią państwa polskiego. I dbanie o jej dobro jest elementem walki o niepodległe państwo polskie". To prawda. Tym bardziej cieszy, że na antenach Telewizji Polskiej znajdziemy wiele wartościowych produkcji, które przybliżają Polakom naszą historię i troszczą się o naszą tożsamość. Znacząco zwiększono również budżet przeznaczony na kulturę, dzięki czemu coraz częściej gości ona w naszych domach, a korzystają na tym nie tylko Polacy, ale również polscy twórcy – mówił w laudacji redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl, Karol Gac.

Statuetkę odebrała dyrektor Agencji Kreacji Filmu i Serialu TVP, Joanna Snochowska-Majer. Wyróżnieni zostali z kolei Alior Bank za „wspieranie aktywności patriotycznej i historycznej", Michał Bożek za m.in. finansowanie odbudowy i renowację zamku w Grodźcu Śląskim

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
RP Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Dofinansowano ze środków Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego w ramach Funduszu Patriotycznego
INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego
FUNDUSZ PATRIOTYCZNY
WSPÓŁORGANIZATORZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY
INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA
PARTNER
LASY PAŃSTWOWE
100 LAT 1924–2024 Lasów Państwowych
PARTNERZY MEDIALNI
TVP
REPUBLIKA
HISTORIA Rzeczy
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
PROJEKT REALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY

eprasa.pl cae6db74eb

oraz PGE za „wspieranie działalności patriotycznej i polskiej pamięci historycznej".

CHCIEĆ TO MÓC

Statuetkę Strażnika Pamięci 2023 w kategorii Instytucja otrzymał prof. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego. Redakcja tygodnika „Do Rzeczy" uznała „determinację i skuteczność, z którymi prof. Gliński dążył do zbudowania Muzeum Historii Polski". Laudację wygłosił publicysta „Do Rzeczy" Piotr Gociek. – Polityków dzielimy na kilka grup. Na tych, którzy nie mogą i nie chcą. Tych, którzy chcą, ale nie mogą. Tych, którzy mogą, ale nie chcą. Mogą sobie państwo sami w pamięci dopasować rozmaitych polityków lat minionych do dowolnej z tych grup. Najważniejsza jest jednak grupa czwarta. To ci politycy, którzy i chcą, i mogą. Ta ostatnia grupa jest zwykle najmniej liczna. Mamy wielkie szczęście, że to do tej ostatniej zalicza się nasz tegoroczny laureat nagrody Strażnik Pamięci 2023 w kategorii Instytucja – mówił.

– To dzięki jego uporowi, wsparciu, przyjaźni i finansowaniu Muzeum Historii Polski mogło powstać. A nie jest to zwykłe muzeum. Dzięki inwestycjom takim jak ta wchodzi się do historii. Do wielkiej historii. Stoimy dziś tu razem wszyscy w jej przedsionku – podkreślał Piotr Gociek.

Profesor Piotr Gliński podkreślił, że Strażnik Pamięci to de facto nagroda dla instytucji, którą jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. – Gdyby nie wizja i wola polityczna Lecha Kaczyńskiego, a później Jarosława Kaczyńskiego, to tego wszystkiego nie moglibyśmy zrobić. Na szczęście wiele osób i instytucji uwierzyło w tę wizję, którą zrealizowaliśmy wspólnie [...]. To wszystko było realizacją żelaznej woli i pięknej wizji pięknej Polski, która ma m.in. także godne instytucje pamięci [...]. Piękną polską kulturę można instytucjonalizować, upowszechniać i wzmacniać na różne sposoby. To właśnie dzięki swoim instytucjom Polska jest znacznie silniejsza – mówił.

Minister kultury przypomniał także, że warszawiacy od dawna marzyli o tym, aby Cytadela była miejscem otwartym dla wszystkich. – Mój prapradziadek Józef chciał zdobyć Cytadelę. To się nie udało, ponieważ zginął w Puszczy Kampinoskiej. Jako jego praprawnuczek przyłożyłem się do tego, żeby zdobyć tę Cytadelę w nieco inny sposób – powiedział prof. Piotr Gliński.

Tegoroczną statuetkę Strażnika Pamięci 2023 w kategorii Twórca otrzymał pisarz Jacek Komuda FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

W kategorii Mecenas nagrodę Strażnik Pamięci otrzymała Telewizja Polska S.A. za „finansowanie filmów i sztuk teatralnych poświęconych polskiej historii i trosce o polską niepodległość". Statuetkę odebrała dyrektor Agencji Kreacji Filmu i Serialu TVP Joanna Snochowska-Majer FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Portal DoRzeczy.pl nagrodą specjalną wyróżnił w tym roku ks. Tomasza Trzaskę, kapelana Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Słowacka dyplomatka Dagmar Babčanová otrzymała nagrodę specjalną Strażnik Wartości – Custos Virtutum przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy" przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Wyróżnienia w tej kategorii otrzymały Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej w Warszawie – za to, że dzięki tej placówce „można poznać wreszcie skalę antykomunistycznego oporu po wojnie oraz działalność antykomunistycznego podziemia, a także aktywność organizacji niepodległościowych z czasów PRL" – oraz Stowarzyszenie „Wizna 1939". W tym przypadku redakcja doceniła nie tylko utrzymywanie pamięci o jednej z najważniejszych bitew września 1939 r., lecz także dokumentowanie ogółu zbrodni niemieckich w okupowanej przez Hitlera Polsce.

Z KSIĄŻKĄ PRZEZ WIEKI

Tegoroczną statuetkę Strażnika Pamięci 2023 w kategorii Twórca otrzymał pisarz Jacek Komuda za „wielką wartość twórczości literackiej dla budzenia i zachowania polskiej pamięci historycznej". Redakcja szczególnie docenia takie powieści jak „Diabeł Łańcucki" i „Banita" z czasów sarmackich oraz „Hubal", „Westerplatte" i „Wizna" z czasów drugiej wojny światowej. Laudację wygłosił redaktor naczelny miesięcznika „Historia Do Rzeczy" Piotr Włoczyk.

– Nasz laureat posiadł niezwykły talent nie tylko do zajmującego opowiadania o średniowiecznej chwale Polski. Co najmniej równie dobrze wychodzi mu wciąganie czytelników do świata szlacheckiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów walczącej z Moskwą czy tragicznych walk polskich bohaterów Września '39. Wszystkie te książki łączy jedno: arcyciekawa akcja, bohaterowie, w których nie ma ani grama plastiku i wielka historia, która opowiedziana jest tak, jak wydarzyła się naprawdę – mówił. – Nic dziwnego, skoro książki te pisze człowiek, który żyje historią, a właściwie żyje w historii. A jeżeli ktokolwiek uważa, że to ostatnie stwierdzenie jest nieco przesadzone, to pragnąłbym tylko przypomnieć, że nasz laureat zbudował sobie drewniany dworek rodem z XVII w. I zamieszkał w nim – dodawał.

eprasa.pl cae6db74eb

W tej kategorii wyróżnienie otrzymali pisarz Wiesław Helak za „znaczenie jego powieści obrazujących życie na polskich kresach" – „Lwowska Noc", „Nad Zbruczem" czy „W stronę Seretu" – oraz prof. Jacek Kowalski, pisarz i pieśniarz, za „troskę o przywrócenie polskiej kulturze dziedzictwa sarmackiego".

Tegoroczną galę Strażnika Pamięci zorganizowaliśmy w Muzeum Historii Polski FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

„ŻYCIE WARTE JEST ROZMOWY"

Podobnie jak w latach ubiegłych portal DoRzeczy.pl przyznał również nagrodę specjalną. Otrzymał ją ks. Tomasz Trzaska, kapelan Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, ekspert Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. – Laureat nagrody specjalnej portalu DoRzeczy.pl to człowiek, którego największą troską jest życie. Z jednej strony troszczy się o nie tu i teraz, poprzez zaangażowanie w edukację, profilaktykę oraz wsparcie dla osób dotkniętych dramatem samobójstwa. Zarówno w odniesieniu do samego siebie, jak i kogoś bliskiego. Jego działalność w ramach platformy „Życie warte jest rozmowy" stanowi odpowiedź na jedną z – można to chyba rzec – chorób naszej cywilizacji.

Z drugiej strony, nasz laureat o życie dba, przypominając nam bohaterskie życia tych, których już nie ma. Robi to poprzez posługę kapłańską w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL – mówiła podczas laudacji Zuzanna Dąbrowska z tygodnika „Do Rzeczy" i portalu DoRzeczy.pl.

– Mowa o człowieku, który nie zgadza się, aby Kościół ograniczyć do kwestii wiary, choć Ewangelia jest rzecz jasna najważniejsza. Przypomina, że Kościół powinien głosić miłość Ojczyzny i – co kluczowe – sam jest żywym przykładem takiej postawy. Podkreśla, że pamięć i poszukiwanie wciąż nieodnalezionych Żołnierzy Wyklętych to zadanie, które państwo musi doprowadzić do końca bez względu na to, czy to politycznie opłacalne. Ponad wszystko mowa o gorliwym i wierzącym kapłanie, który ze swoją misją, dzięki dziennikarskiemu doświadczeniu, potrafi dotrzeć do ludzi młodych – dodawała Dąbrowska.

„WOLNOŚĆ TO WYBÓR WARTOŚCI"

Na koniec gali wręczono nagrodę specjalną Strażnik Wartości – Custos Virtutum przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy" przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Otrzymała ją słowacka dyplomatka Dagmar Babčanová. – Z wykształcenia anglistka i germanistka. Należała do katolickiej wspólnoty rodzin prowadzonej przez ks. Františka Rábeka, późniejszego biskupa polowego Wojska Słowackiego. Jej dom przez lata służył jako miejsce spotkań i swobodnej dyskusji dla wolnych ludzi i prodemokratycznych środowisk. Za swoje zaangażowanie prześladowana w komunistycznej Czechosłowacji. Po 1989 r. założycielka pierwszego katolickiego liceum na Słowacji. Od 2002 r. ambasador Republiki Słowackiej przy Stolicy Apostolskiej. Osoba aktywnie zaangażowana w proces beatyfikacyjny Jánosa Esterházyego – mówił w laudacji dyrektor Instytutu im. Wacława Felczaka, prof. Maciej Szymanowski.

– Do dziś narody poddane próbie komunizmu uczą się żyć w wolności. Wolność to wybór wartości. To my decydujemy pomiędzy dobrem a złem. Jeśli wybieramy zło, to jesteśmy za nie odpowiedzialni. Reżimy totalitarne likwidowały swoich przeciwników drastycznymi metodami. W swojej książce „Pamięć i tożsamość" słusznie zwracał uwagę, że po upadku reżimów, choć w tych krajach zniknęły tamte metody, to legalna likwidacja życia trwa. Na taką likwidację zdecydowały się również parlamenty na Zachodzie. Istnieje także presja na uznanie tzw. związków homoseksualnych i zmianę paradygmatu rodziny – zauważała laureatka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl cae6db74eb

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki wielkimi krokami zbliża się do kolejnej wielkiej reformy, która ma na całe dziesięciolecia zmienić sposób jego funkcjonowania oraz odniesienie do współczesnego świata. W efekcie możemy stać się zależni od krajów Europy Zachodniej już nie tylko w obszarze polityki, lecz także nawet religii

Czy Polacy będą wierzyć, jak Unia każe?

Stolica Apostolska w czerwcu opublikowała „Instrumentum laboris". To dokument, który kładzie podwaliny pod obrady rozpoczętego na początku października Synodu Biskupów, będącego częścią Synodu o synodalności. Proces synodalny jest wydarzeniem na miarę Soboru Watykańskiego II. W Polsce przez większość czasu nie wzbudzał większego zainteresowania. Główne media katolickie pisały o nim niewiele i pobieżnie. Zgodnie z tym lekceważącym ujęciem potraktowano również „Instrumentum laboris". Tymczasem chodzi o tekst o głęboko rewolucyjnym potencjale. „Instrumentum" zarysowuje zakres tematów, o których rozmawiają uczestnicy Synodu. Dokument został opracowany przez specjalną watykańską komisję, która miała za zadanie zestawić doświadczenia synodalne zbierane od jesieni 2021 r. na wszystkich kontynentach świata. Komisja wykonała pracę dokładnie w taki sposób, jak obawiali się tego konserwatywni obserwatorzy. Zgromadzeni na rzymskim spotkaniu zajmują się szczególnie tymi wątkami, które od kilku dziesięcioleci są w agendzie progresywnych środowisk zachodnioeuropejskich.

„WŁĄCZANIE" ROZWIEDZIONYCH I LGBT

Tematem debaty będzie np. kwestia głębszego „włączania" do Kościoła rozwiedzionych i w powtórnych związkach, osób w małżeństwach poligamicznych (sic!) lub tzw. katolików LGBTQ+.

eprasa.pl cae6db74eb

XVI Zwyczajne Zgromadzenie Ogólnego Synodu Biskupów, Watykan, 5 października 2023 r.

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

Jak precyzuje tekst, te trzy grupy czują się dziś „wykluczone z Kościoła" ze względu na „swoją uczuciowość i seksualność".

Czytelnik zauważy, że dokument nie mówi o „wykluczeniu" z powodu obiektywnego odejścia od norm i zasad katolickich. Nie – jako powód tzw. wykluczenia wskazuje się wyłącznie uczuciowość i seksualność.

Jak takie osoby miałyby zostać „włączone"? Jeden z głównych amerykańskich promotorów synodalności, którego papież Franciszek osobiście zaprosił do udziału w synodzie, kard. Robert McElroy z San Diego, widzi możliwość praktykowania inkluzji w dopuszczaniu do Komunii świętej wszystkich „wykluczonych", którzy tego chcą. Innym elementem „włączania" jest, oczywiście, błogosławienie par niesakramentalnych. Tuż przed rozpoczęciem zgromadzenia synodalnego Watykan opublikował odpowiedzi na „dubia" pięciu kardynałów, czyli pytania na ważne tematy doktrynalne i moralne. Jedno z nich dotyczyło kwestii podejścia do związków homoseksualnych. Papież stwierdził, że nie należy wydawać żadnych ogólnych norm, a kwestię ewentualnego pobłogosławienia pozostawia się indywidualnemu rozeznaniu duszpasterskiemu. Błogosławienie związku obiektywnie grzesznego – tego nie było w Kościele przez 2000 lat.

Inna zmiana dotyczy ekumenizmu. Kościół synodalny nie ma być już Kościołem katolików, ale po prostu – wszystkich ochrzczonych. Jeszcze Sobór Watykański II w konstytucji „Lumen gentium" utożsamiał Kościół Chrystusowy z Kościołem katolickim. Teraz należałoby to „rozszerzyć" na niekatolików. Październikowe zgromadzenie synodalne zajmie się intensyfikacją dialogu z tymi, którzy programowo odrzucają nauczanie Kościoła, jak protestanci albo prawosławni. Dokument mówi, że Kościół „autentycznie synodalny" musi obejmować „wszystkich, którzy uczestniczą w jednym chrzcie". Nie jest to jakaś luźna propozycja, bo Franciszek w jednym z wystąpień ogłosił, że inny Kościół niż synodalny jest „nie do pomyślenia". Dobrze ujął to jeden z głównych autorytetów kościelnych w Europie, znany ksiądz Tomáš Halík. Czternastego września wygłosił przemówienie do Zgromadzenia Światowej Federacji Luterańskiej, które obradowało w Krakowie. Wskazywał, że Kościół przyszłości musi przełamywać „mury" podziałów denominacyjnych, że ma – to dosłowny cytat – „przejść od katolicyzmu… do katolickości, uniwersalnej otwartości ekumenicznej". Jak skwitowała synodalność czołowa niemiecka teolog prof. Dorothea Sattler, od dziś „katolickie ma być to, co jest również ewangelickie i prawosławne". Słowem, chodzi o projekt „ekumenicznego okrojenia" Kościoła.

Zmianie miałoby ulec też życie kapłańskie. Dokument roboczy wskazuje na konieczność „przezwyciężenia wizji", która rezerwuje dla biskupów, księży i diakonów „aktywne funkcje w Kościele"; w miejsce takiego „pierwszeństwa wyświęconych" należy promować „nowe posługi" świeckich, mężczyzn i kobiet. Mowa jest również o powołaniu „świeckich liderów", którzy zastępować będą księży w miejscach, w których kapłanów brakuje. Wrócił temat wyświęcania żonatych mężczyzn na księży. Zgromadzenie ma ponadto zastanowić się nad otwarciem dla kobiet sakramentalnego diakonatu oraz utworzeniem dla nich nowych posług. W grze jest nawet kapłaństwo kobiet. We wspomnianej odpowiedzi na „dubia" kardynałów Franciszek poruszył kwestię orzeczenia św. Jana Pawła II, który w adhortacji „Ordinatio sacerdotalis" napisał, że Kościół nie ma władzy wyświęcania kobiet. Kongregacja Nauki Wiary w 1995 r. ogłosiła, że jest to nauczanie nieomylne. Franciszek jednak stwierdził, że niekoniecznie i jest to cały czas przedmiotem debaty.

Propozycji takich z gruntu niekatolickich zmian jest w „Instrumentum laboris" o wiele więcej. Dokument został celowo sporządzony tak, by z zadowoleniem mogli go przyjąć najbardziej liberalni biskupi. Rzeczywiście, choćby

eprasa.pl cae6db74eb

kierownictwo Kościoła katolickiego w Niemczech nie kryje radości z kształtu tego tekstu. Przewodniczący Episkopatu, bp Georg Bätzing, mówi, że „Instrumentum" pokazuje, iż to, co jest ważne dla Niemiec, jest ważne również dla całego świata. To o tyle trafna analiza, że w dokumencie znalazły się chyba wszystkie wątki, które Niemcy proponowali już w latach 70. podczas słynnego Synodu Würzburskiego. Po 50 latach oczekiwania nie muszą już zgłaszać swoich propozycji – te idą z samego Watykanu pod sztandarem synodalności.

Oznacza to w sumie propozycję głębokiej zmiany samorozumienia Kościoła i tego, co to znaczy być katolikiem. Cytowany ks. Tomáš Halík mówił nawet o „kenozie Kościoła", to znaczy ogołoceniu się, tak, żeby – uwaga – „samoprzekroczyć dotychczasowe postaci i granice chrześcijaństwa". Trudno zrozumieć, dlaczego media katolickie w Polsce poświęcają temu tematowi tak niewiele uwagi, jakby chodziło o jakieś efemeryczne wydarzenie, a nie najważniejsze chwile w Kościele od co najmniej 60 lat.

KOLEKTYWY BISKUPÓW I ŚWIECKICH

Szczegółowe postulaty dotyczące „reform" doktrynalnych czy moralnych to jednak nie wszystko. Kluczowym elementem watykańskiego dokumentu jest propozycja ustanowienia nowych kościelnych ciał decyzyjnych. Chodzi o kolektywy biskupów i świeckich, które zyskałyby swój własny autorytet doktrynalny. Szczególną uwagę poświęca się powołaniu kolektywów kontynentalnych. Innymi słowy, nakreślona została wizja budowy Kościoła europejskiego (amerykańskiego, afrykańskiego etc.), który mógłby podejmować wspólne decyzje o charakterze wiążącym jego członków. W tej synodalnej wizji papież nie miałby wiele do zrobienia – mógłby zostać po prostu zobowiązany (sic!) do akceptowania decyzji synodalnych kolektywów.

Brzmi fantastycznie? A jednak „Instrumentum laboris" stawia wprost pytanie, „w jaki sposób synodalność może znaleźć lepszy wyraz" poprzez instytucje „obejmujące grupy Kościołów lokalnych, takie jak… konferencje episkopatów i zgromadzenia kontynentalne", które byłyby rozumiane jako „podmioty o konkretnych kompetencjach, łącznie z pewnym autentycznym autorytetem doktrynalnym". Dokument zapytuje też, „jak można zintegrować instancję kontynentalną z prawem kanonicznym", a wreszcie pyta, „jaki stopień autorytetu doktrynalnego" można przypisać konferencjom episkopatów i „zgromadzeniu kontynentalnemu lub organom, które zrzeszają konferencje episkopatów na skalę kontynentalną". Istotna jest forma tych pytań: „Instrumentum laboris" nie zastanawia się, „czy" można coś takiego zrobić, a jedynie „jak" i „w jakim stopniu". Chodzi więc wyłącznie o konkretny sposób zrealizowania decyzji, które już za kulisami zapadły.

W dokumencie „Instrumentum laboris" znalazły się chyba wszystkie wątki, które Niemcy proponowali już w latach 70.

Proces wprowadzania w Kościele gremiów kontynentalnych, które miałyby mieć jakiś autorytet doktrynalny, rozpoczął się już w pierwszych miesiącach urzędowania Franciszka. W wydanej w 2013 r. adhortacji „Evangelii gaudium" papież napisał wprost o „autorytecie doktrynalnym" mającym przysługiwać krajowym konferencjom episkopatu. Spotkało się to z dużą krytyką ekspertów, bo konferencje episkopatu, choć w praktyce mają dziś w Kościele wielkie znaczenie, są w istocie ciałami obcymi Tradycji katolickiej. Konferencja episkopatu zgodnie z nauką Kościoła nie może mieć żadnego autorytetu doktrynalnego – taki ma tylko każdy biskup w swojej własnej diecezji, działając w łączności z papieżem.

A jednak papież zasugerował, jakoby mogło być inaczej. Co więcej, szybko okazało się, że „pewien autorytet doktrynalny" miałyby mieć nie tylko ciała krajowe, lecz także międzynarodowe. Prace w tym strategicznym kierunku podjęto w Ameryce Łacińskiej, tworząc nowe gremia synodalne w związku z Synodem Amazońskim przewidzianym na rok 2019. Ideę przeniesienia tych wzorców do Europy zgłosili w 2020 r. Niemcy. Została przyjęta i dzisiaj obserwujemy jej realizację.

Do pierwszego spotkania kontynentalnego w Europie doszło w lutym tego roku w ramach Synodu o synodalności. Biskupi i świeccy zebrali się wspólnie na zgromadzeniu synodalnym w Pradze. Wkrótce takie spotkania mają stać się regularne. Uczestnicy praskich obrad wyrazili wprost życzenie kontynuacji współpracy w takim formacie; dokumenty synodalne, jak wynika z zacytowanych wcześniej wyimków, zdecydowanie wspierają to życzenie i obiecują nadanie kontynentalnemu gremium Europy „autorytetu doktrynalnego".

Obrady w takim formacie mogą mieć fundamentalne znaczenie dla kształtowania codzienności Kościoła. Według „Instrumentum laboris" należy zastanowić się, „w jakim stopniu zbieżność kilku grup Kościołów lokalnych... w tej samej sprawie zobowiązuje biskupa Rzymu do podjęcia tej decyzji w imieniu Kościoła powszechnego". Ponownie nie ma tu pytania o to, „czy" takie zobowiązanie istnieje, a jedynie o to, jaki jest jego stopień.

Jak mogłoby to zatem wyglądać w praktyce? Logiczną konsekwencją przedstawionego w dokumencie Watykanu projektu byłoby powołanie specjalnego ciała, np. pod nazwą Stałego Synodu Europejskiego, który zbierałby się cyklicznie, gromadząc biskupów, księży i świeckich z Europy. Taki kolektyw podejmowałby decyzje wiążące wszystkich europejskich katolików. Papież jedynie by je ratyfikował, nie ważąc się wypowiedzieć przeciwko – stanowiłyby w końcu wyraz synodalnej refleksji całego „ludu Bożego" w regionie Europy!

Jest oczywiste, że w przypadku europejskim decyzje takiego kontynentalnego kolektywu byłyby nacechowane ideologią lewicy. W Kościele w świecie zachodnim widać postępujący trend liberalizacji biskupów, którzy, podobnie jak większość wiernych, stopniowo dostosowują swoje widzenie świata do poglądów uznawanych przez państwo za obowiązujące.

Polski dziś to jeszcze nie dotyczy, ale pytanie brzmi: jak długo? Czy możemy mieć pewność, że polscy biskupi będą niezłomnie trwać na pozycjach właściwych św. Janowi Pawłowi II i Benedyktowi XVI, będąc zawsze zdolni do skutecznego blokowania postulatów większości biskupów z europejskiego Synodu:

eprasa.pl cae6db74eb

większości bogatej, wpływowej i mającej za sojusznika świat wielkiej polityki i biznesu?

JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI. KONSEKWENCJE POLITYCZNE

Na wypadek gdyby nie wszyscy chcieli od razu dostosować się do progresywnego kursu, wypracowano już odpowiednie rozwiązanie. „Instrumentum laboris" podejmuje jeden z najważniejszych wątków obecnych również w poprzednich dokumentach synodalnych: hasło „jedności w różnorodności". Jest to w istocie motto Unii Europejskiej przyjęte w 2000 r. (łac. „in varietate concordia"). Na płaszczyźnie kościelnej jedność w różnorodności miałaby polegać na akceptacji bardzo głębokich różnic dzielących poszczególne regiony czy nawet diecezje. Najważniejsza staje się swoista jedność polityczna: wszyscy są administracyjnie podlegli Rzymowi, ale w dziedzinie doktryny i moralności zyskują jakąś autonomię.

W rewolucję synodalną idealnie wpisuje się specyficzny charakter misji, którą papież Franciszek powierzył nowemu prefektowi Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victorowi Fernándezowi. W specjalnych wytycznych napisał mu, że nie ma zajmować się krytycznie heretyckimi teoriami, ale powinien akceptować „różnorodne prądy myśli w teologii". Kilka dni później arcybiskup wyjaśnił, jak to rozumie: np. w formie udzielania zgody na błogosławienie związków jednopłciowych.

Jak wkrótce pokazał papież, ten kurs ma poparcie. Potencjalny polski liberalny biskup będzie mógł powołać się więc na placet Stolicy Apostolskiej – idę w stronę progresywną, bo mogę to zrobić, cokolwiek o tym myślą inni biskupi w kraju; za mną jest jakaś mityczna „liberalna większość". Takie rzeczy już się dzieją. Na przykład w Czechach biskupi stali dotąd na stanowisku, że nauczanie Kościoła w sprawie udzielania Komunii świętej rozwodnikom się nie zmieniło – można jej udzielać, o ile rozwodnicy żyją jak brat z siostrą. Jednak biskup Pilzna Tomáš Holub widział sprawę inaczej i postanowił wydać własne wytyczne, oparte nie na tradycyjnym nauczaniu, ale na adhortacji „Amoris laetitia" Franciszka. Ogłosił, że rozwodnicy mogą dostąpić „trwałego aktu miłosierdzia" i przystępować do Eucharystii, nawet jeżeli w nowym związku żyją „po małżeńsku". Sprawa wywołała w Czechach duże poruszenie; kard. Dominik Duka, były wieloletni przewodniczący tamtejszego episkopatu, zapytał Dykasterię Nauki Wiary, czy takie rozwiązanie jest możliwe i czy bp Holub może wprowadzać swoje wytyczne, skoro wszyscy wokół niego robią inaczej. Kardynał Victor Manuel Fernández w odpowiedzi kard. Duce stwierdził, że bp Holub, owszem, może wydawać takie wytyczne – i byłoby dobrze, gdyby zrobili to także inni biskupi. Niech żyje różnorodność! Człowiek w diecezji Pilzna będzie zbawiony, ale w diecezji Pragi – potępiony. Problem, który dotąd dotyczył w Europie głównie granic państwowych, teraz schodzi na niższy poziom.

Co dość oczywiste, tak samo jak na gruncie polityki, tak i w Kościele na dłuższą metę taka różnorodność nie jest możliwa. Może to być tylko etap przejściowy. Silniejszy zawsze będzie dążyć do podporządkowania słabszych również na płaszczyźnie poglądów.

Unia Europejska bardzo wyraźnie zmierza w stronę ujednolicania kulturowego, co wynika ze swoistego uniwersalizmu ideologii lewicowej. Również rewolucjoniści w Kościele nie chcą akceptować sytuacji, w której w jednej diecezji głoszona będzie Ewangelia totalnej inkluzji, a w drugiej Ewangelia tradycyjna, zgodna z tożsamością i historią Kościoła. Franciszek mówi wiele o różnorodności, ale co kilka tygodni wygłasza zajadłe tyrady przeciwko tradycjonalistom, których oskarża o odrzucanie katolickiej wiary. W Kościele nie chodzi o pietruszkę, ale o wieczne zbawienie duszy. Tu nie ma miejsca na głębokie różnice; ktoś musi mieć rację, a to decyduje dosłownie o wszystkim. Chaos, różnorodność, wiele lokalnych odmienności – można to tolerować, owszem, ale do czasu. Kiedy zniszczy się już struktury krajowe, zastępując je kolektywami wyższego rzędu, będzie można rozpocząć dzieło nieodwracalnego gruntowania „nowego porządku". Biskup Holub jest młody, więc to on będzie robić karierę – konserwatywne dinozaury niech wymierają. Jeżeli w Polsce któryś z biskupów zdecyduje się na radykalne, rewolucyjne kroki – np. wyda oświadczenie o tym, że jeśli podległy mu duszpasterz chce, to może błogosławić parę jednopłciową – to zostanie to na pewno w Rzymie Franciszka odnotowane i nagroda takiego ordynariusza nie minie. Zyska wpływ, trafi może do Kongregacji ds. Biskupów, będzie współtworzył przyszłość krajowego Kościoła… do skutku, aż „różnorodność" stanie się przeszłością, przezwyciężona przez powszechną dyktaturę progresizmu.

KONSEKWENCJE SPOŁECZNE

Konsekwencje tych zmian mogą odczuć nie tylko katolicy, lecz także całość polskiego społeczeństwa. W debatach dotyczących fundamentów funkcjonowania naszego narodu argument z nauczania Kościoła odgrywa wciąż znaczącą rolę, przynajmniej w środowiskach konserwatywnych. Jeżeli jednak Synodalne Gremium Europejskie podejmie decyzję np. na rzecz inkluzywnego podejścia do tęczowych rodzin z adoptowanymi dziećmi, to gdzie będą szukać sojusznika partie polityczne odrzucające postulaty Komisji Europejskiej w zakresie implementowania ideologii LGBT?

A przecież nie tylko o LGBT chodzi. Jak będzie wyglądać narracja polskich prawicowych partii, które odrzucają nieskrępowaną muzułmańską imigrację, jeżeli europejski kolektyw synodalny przyjmie rezolucję popierającą politykę otwartych granic i/lub przymusowej relokacji migrantów? Chcąc powołać się na naukę Kościoła, na czyją naukę konkretnie się powoła? Przecież władza znajdzie się w gremium europejskim, a nie u jednego czy drugiego prowincjonalnego hierarchy. W efekcie może w Polsce powstać prawica laicka, może nawet antyklerykalna, tak jak jest to już częściowo we Francji czy zwłaszcza w Niemczech, gdzie Kościół ściśle sprzągł się z lewicą i liberalizmem.

Obrona autonomii narodowej w wymiarze religijnym to bardzo poważne i zarazem niezwykle trudne zadanie. Ostateczna stawka rozgrywki jest przecież następująca: czy Kościół w Polsce będzie mógł głosić wiarę katolicką w zgodzie z Tradycją i nauczaniem wszystkich papieży? Czy będzie zmuszany do przyjmowania wytycznych europejskiej synodalnej większości? Na Synodzie o synodalności nie można dopuścić do tego, żeby plan powołania kontynentalnych kolektywów doszedł do skutku. Właśnie rozpoczął się pierwszy etap tej wielkiej bitwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Łukasz Warzecha

Co nas czeka

FOT. ADOBE STOCK

Jeśli politycy zaczną realizować to, co obiecali przed wyborami, to pracodawców czekają wyrzeczenia, przedsiębiorców zamykanie biznesów, a obywateli częstsze szukanie szczęścia na emigracji

Przed wyborami wszystko zawsze wygląda ładniej. Mnożą się obietnice, paliwo tanieje (choć może go nie być), samorządy dostają specjalne dotacje, a to na drogę, a to na szkołę, a większość ugrupowań chcących zająć miejsce obecnie rządzących epatuje wyborców zapewnieniami, że tego, co już obywatele dostali, na pewno nie zabiorą, a wręcz przeciwnie – jeszcze dołożą.

Po wyborach sprawy mają się zwykle znacznie gorzej. Dzisiaj jesteśmy w stanie mniej więcej przewidzieć, co może się wydarzyć w gospodarce i finansach w przyszłym roku. Który, trzeba pamiętać, też przecież będzie rokiem wyborczym. Najpierw czekają nas przełożone wybory samorządowe, a później, w czerwcu, wybory do Parlamentu Europejskiego.

Pierwsze przewidywania można by formować na podstawie obietnic wyborczych, podliczając ich koszt, ale to ryzykowna zabawa, ponieważ ze spełnianiem obietnic bywa jednak różnie. Chyba że spojrzymy na takie, które otrzymały już formę konkretnych decyzji. To przede wszystkim zapowiedź podwyższenia dwukrotnie w ciągu 2024 r. wynagrodzenia minimalnego. Od stycznia minimalne wynagrodzenie brutto na umowie o pracę ma wynosić aż 4242 zł, a w drugiej połowie roku – od 1 lipca – 4300 zł. Według szacunków skutek tego będzie taki, że aż jedna czwarta pracowników zarabiać będzie wynagrodzenie minimalne.

Rząd już od dłuższego czasu traktuje podwyższanie pensji minimalnej jako chwyt wyborczy, za który on sam nie musi płacić – płacą pracodawcy. Teoretycznie decyzje o podwyższaniu wynagrodzenia minimalnego powinny być konsultowane z Radą Dialogu Społecznego, skupiającą przedstawicieli rządu, związków zawodowych i pracodawców (co ciekawe, nie ma w niej przedstawicieli małych i średnich przedsiębiorców). Jednak zgodnie z przepisami, jeżeli RDS nie jest w stanie zgodzić się co do proponowanych przez rząd stawek, to Rada Ministrów podejmuje taką decyzję samodzielnie w drodze rozporządzenia. W praktyce zatem RDS jest tylko listkiem figowym.

WADY PODWYŻSZANIA ZAROBKÓW

Bezprecedensowe podwyżki wynagrodzenia minimalnego, które ordynuje rząd Zjednoczonej Prawicy, mają kilka bardzo negatywnych efektów, które będą się w przyszłym roku nasilać. To przede wszystkim podbijanie całej siatki płac. Z jednej strony osoby, które zarabiały nieco powyżej wynagrodzenia minimalnego, zbliżają się do tej granicy, bo jest ona podwyższana. Są to zwykle pracownicy o niższych kwalifikacjach. Z drugiej – ci, którzy mają kwalifikacje wyższe, oczekują, że ich wynagrodzenia zostaną proporcjonalnie podniesione w relacji do pensji minimalnej.

Tu pojawia się problem, bo wielu przedsiębiorców na to zwyczajnie nie stać. Przecież wyższe wynagrodzenia pracowników to również wyższe składki. Można więc albo redukować zatrudnienie, albo rezygnować z lepiej wykwalifikowanych, albo zawieszać lub likwidować działalność, albo podnosić ceny, ale to ostatnie ma swoje granice. A poza tym jest czynnikiem inflacyjnym.

Drugi skutek, w dłuższym okresie jeszcze gorszy, to rosnąca demotywacja

eprasa.pl cae6db74eb

po wyborach?

do zdobywania wykształcenia i kompetencji. Skoro dolna granica wynagrodzenia rośnie, ale nie rosną proporcjonalnie do niej pensje tych lepiej wykształconych, to po co się kształcić? W dłuższym okresie taka sytuacja stanie się motywacją do emigracji.

W dodatku rząd, mimo wielu apeli środowiska biznesu czy rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adama Abramowicza, nie spróbował nawet stworzyć systemu różnicującego minimalne wynagrodzenie w zależności od wynagrodzenia przeciętnego w danym województwie czy jeszcze lepiej – powiecie. Są komentatorzy, którzy zachwycają się coraz ich zdaniem korzystniejszym – czyli niższym – tzw. współczynnikiem Giniego w Polsce. To wartość statystyczna, pozwalająca oszacować poziom nierówności m.in. w wynagrodzeniach. Ma ona pewien walor poznawczy i daje możliwość oceny paliwa dla napięć społecznych, ale robienie z niej fetysza i obsesyjne ograniczanie nierówności kończą się katastrofą.

Druga rzecz, która przytłoczy szczególnie drobnych przedsiębiorców w nadchodzącym roku, to wzrost składek, powiązany ze wzrostem wynagrodzenia minimalnego. Będziemy mieli największą w historii podwyżkę tzw. małego ZUS, czyli preferencyjnej składki, którą rozpoczynający działalność mały przedsiębiorca może płacić przez dwa lata. Od lipca przyszłego roku suma składek, bez składki zdrowotnej, w ramach małego ZUS wzrośnie z obecnych 341 zł do 408 zł. Oczywiście więcej wyniosą też składki w normalnej wysokości, zależne od prognozowanego przez GUS przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej.

Skutkiem tych czynników może być pobicie w przyszłym roku ubiegłorocznego rekordu liczby zawieszeń działalności gospodarczych. Być może zresztą zostanie on pobity jeszcze w tym roku, choć na razie mamy dane tylko z jego pierwszej połowy. W 2022 r. zawieszono ok. 350 tys. działalności, przez pół obecnego roku zaś – już ponad 110 tys.

Słabo wygląda przy tym prognoza inflacyjna, ale nie ta optymistyczna, którą serwuje Narodowy Bank Polski, tylko ta, którą dla Polski niedawno przedstawił Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Z jego szacunków wynika, że przyszłoroczna inflacja w Polsce średnio ma

eprasa.pl cae6db74eb

wynieść aż 6,4 proc. i będzie w naszej części Europy niższa tylko od prognozowanej dla Węgier (6,6 proc.). Można te przewidywania przypisywać zapewne i obniżaniu przez Radę Polityki Pieniężnej stóp procentowych mimo inflacji wciąż kilkakrotnie przewyższającej cel, i wspomnianemu już windowaniu wynagrodzenia minimalnego. Wszystko to wpływa na namnażanie pieniądza w gospodarce, a jego nadmiar w relacji do ilości towarów i usług to właśnie istota inflacji, czyli spadek siły nabywczej pieniądza.

REKORDOWE ZADŁUŻENIE KRAJU

Niewesoło wyglądają też prognozy dla polskiego budżetu. Rząd uznał, że zadłużanie państwa nie jest problemem oraz nie jest nim generowanie coraz większych deficytów. Już w tym roku w wyniku nowelizacji budżetu deficyt został zwiększony do 92 mld zł, a w przyszłym roku ma być rekordowo wysoki i wynieść – zgodnie z projektem ustawy budżetowej – uwaga: ponad 164 mld zł.

Deficyt jest ściśle powiązany z długiem, który systematycznie rośnie, rząd natomiast uznaje, że dopóki jest w stanie utrzymywać go w granicach konstytucyjnych, czyli poniżej 60 proc. rocznego PKB, dopóty wszystko jest w porządku. Zgodnie z obecnymi założeniami do końca tego roku relacja ta ma wynieść poniżej 38 proc., ale w kolejnych latach ma rosnąć. Przy czym ekonomiści przypominają, że relacja długu publicznego do PKB staje się korzystniejsza przy wyższej inflacji. Niektórzy sugerują nawet, że RPP pod wpływem rządu m.in. w tym właśnie celu zaczęła obniżanie stóp procentowych – aby podtrzymywana dzięki temu wyższa inflacja wyhamowywała pogarszanie się stosunku zadłużenia do produktu krajowego brutto. Dowodów na to oczywiście nie ma.

W polskiej metodologii nie podlicza się poza tym zadłużenia ukrytego, a o tym, że ono rośnie jak na drożdżach, alarmują od dawna krytyczni wobec rządu ekonomiści. Według założeń do ustawy budżetowej oficjalne zadłużenie państwa ma w przyszłym roku wzrosnąć do gigantycznej wielkości ponad 2 bln zł. Jednocześnie rozziew pomiędzy długiem liczonym według metodologii polskiej a według unijnej – bardziej miarodajnej – ma wynieść ok. 460 mld zł. Ta różnica powiększa się systematycznie od kilku lat, co oznacza, że rząd systematycznie upycha dług po funduszach celowych, pozostających poza kontrolą parlamentu.

Wisienką na torcie jest informacja, że całkowite potrzeby pożyczkowe państwa w 2024 r. mają wynieść aż 420 mld zł. Na tę sumę składa się to, co trzeba pożyczyć na bieżące potrzeby, czyli nowy dług oraz dług, który trzeba spłacić.

I w biznesy, i w osoby prywatne uderzą wzrosty cen energii, o których dzisiaj nic się nie mówi. Ale Urząd Regulacji Energetyki czeka już na wnioski producentów prądu. Tak się szczęśliwie dla rządzących składa, że wnioski te składane są w końcówce roku i wtedy też URE się nimi zajmuje, dlatego mrożące krew w żyłach stawki nie pojawiły się przed wyborami. Wiadomo jednak, że będzie wyraźnie drożej. Według Forum Energii w przypadku braku mechanizmu osłonowego, który działa w tym momencie dla gospodarstw domowych, ceny mogą się okazać wyższe nawet o 70 proc. Wiele osób w tej sytuacji znajdzie się prawdopodobnie pod progiem ubóstwa energetycznego. Czy tzw. tarcza solidarnościowa zostanie przedłużona – nie wiadomo, bo we wrześniu minister klimatu Anna Moskwa bez ceregieli zapowiedziała, że decyzja w tej sprawie zostanie podjęta dopiero po wyborach. Należy przynajmniej docenić bezpośredniość.

Prowadzene polityki podatkowej, która premiuje molochy, uderza w małe i średnie przedsiębiorstwa

Lekki powiew optymizmu pojawił się jedynie w prognozie Międzynarodowego Funduszu Walutowego dotyczącej wzrostu gospodarczego. Co prawda, na ten rok prognoza została obniżona o połowę, z 1,2 proc. do zaledwie 0,6 proc., ale za to na przyszły rok została lekko podwyższona z 2,2 na 2,3 proc. Wciąż jednak są to bardzo niskie wartości.

CHWIEJNOŚĆ ŚWIATA

To wszystko to czynniki działające w Polsce. Jednak nie leżymy przecież w próżni. Na naszą sytuację będą też mieć wpływ wydarzenia, które od nas nieszczególnie zależą. Na przykład bliskowschodni konflikt, który rozgorzał od nowa z siłą niewidzianą od kilku dekad, od razu poskutkował wzrostem cen ropy naftowej. Można ostrożnie założyć, że taka tendencja się niestety utrzyma, a w zestawieniu z ograniczeniem wydobycia przez OPEC+ da to średnio znacząco wyższe ceny ropy. Miejmy przy tym świadomość, że to, co widzieliśmy od paru tygodni na stacjach benzynowych, było stanem całkowicie sztucznym.

Większość ekonomicznych prognoz dla świata mówi o chwiejności i „czołganiu się" w roku 2024. Takie sformułowania powtarzają się w komunikatach Światowego Forum Ekonomicznego, Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ta ostatnia organizacja zrewidowała ostatnio swoją prognozę globalnego wzrostu z 3 proc. do 2,9 proc. Problem w tym, że prognoza została zbudowana, zanim wybuchły walki między Hamasem a Izraelem. „Zagrożenia geopolityczne" – to sformułowanie przewija się w każdej globalnej prognozie ekonomicznej.

Jeśli spojrzeć na Polskę, to w jasny sposób widać problemy, które może nie będą mieć piorunującego efektu od razu w nadchodzącym roku, ale jeżeli nie zaczniemy się nimi zajmować, to mogą w nas w końcu uderzyć. To, po pierwsze, brak należytej kontroli nad finansami publicznymi, przejawiający się w olbrzymim planowanym deficycie i niechęci do wzięcia pod kontrolę długu publicznego. Po drugie, prowadzenie polityki podatkowej i regulacyjnej, która premiuje molochy, w tym zagraniczne, za to najbardziej uderza w małe i średnie polskie przedsiębiorstwa, które zawsze były i pozostają siłą polskiej gospodarki. Szczególnie szkodliwa jest tutaj bardzo w niektórych kręgach popularna opinia, że „Januszexy" to wstyd, nie warto o nie dbać oraz że firmy te nie są w stanie być źródłem modernizacji i nowoczesności. Po trzecie – to kwestie demograficzne, gdzie horyzont sięga co prawda znaczenie dalej niż jednego roku, ale – jak mówi chińskie przysłowie – każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Z Bartłomiejem Radziejewskim, politologiem, prezesem i założycielem Nowej Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Deficyt przywództwa

RYSZARD GROMADZKI: Najpewniej po wyborach usłyszymy ze strony polityków rytualne nawoływania do odbudowy polskiej wspólnoty pokiereszowanej po kolejnej kampanii wyborczej. Czy jest to zadanie wykonalne? A jeśli tak, to według jakich kryteriów miałaby się owa odbudowa polskiej wspólnoty dokonać? Czy te kryteria wzajemnie się nie wykluczają?

BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI: To wielkie pytanie. Moim zdaniem tak, to jest możliwe, choć bardzo trudne. Wymagałoby to konwencjonalizacji plemiennego sporu, który mamy w Polsce. Wynika on z głębokich przyczyn cywilizacyjnych, a nie tylko wyborów tych czy innych polityków. Z podziału społeczeństwa na małe grupy zwane neoplemionami – za tym idzie polityka. Uważam, że skonwencjonalizowanie tego sporu i wykształcenie elity państwowej, która rozumie, gdzie są granice partyjno-plemiennego sporu, a gdzie jest racja stanu, że nie można instrumentalizować interesu państwa na rzecz partyjnego czy plemiennego – jest kwestią kluczową. Bo ta polaryzacja coraz bardziej szkodzi państwu i nam wszystkim. Spełnienie tego warunku dawałoby nadzieję na odbudowę realnej wspólnoty narodowej. Takie elity i mechanizmy istnieją w Ameryce, pomimo podobnej, a może silniejszej niż u nas polaryzacji. Takie elity istnieją też w innych państwach rozwiniętych.

A my w Polsce mamy chociaż zalążek takich elit? Widzi pan środowiska, które mogłyby podjąć się wyzwania, o którym rozmawiamy?

Zalążek mamy. Znam państwowców w czterech z pięciu głównych partii. Być może są też i w piątym ugrupowaniu, tylko za słabo je znam. Znam wielu państwowców w sferze pozarządowej i akademickiej, w sferze biznesu itd. Więc te elity istnieją i rozumieją, gdzie leży polski interes narodowy. Problem polega na tym, że one mają za mało do powiedzenia w Polsce. Należałoby odwrócić proporcje i doprowadzić do sytuacji, w której państwowcy przeważają nad partyjniakami. Nie łudzę się, że jest to możliwe w masowej debacie. Ale w tej polityczno-eksperckiej już tak.

To wymaga długotrwałego procesu, a wydaje się, że Polsce potrzebny jest silny impuls, który przyspieszyłby ten proces...

To prawda. Mógłby może zadziałać jakiś „ozdrowieńczy szok" w tym kierunku, ale „ozdrowieńcze szoki" ostatnich lat, typu Smoleńsk czy pandemia COVID-19, i to, co się wtedy działo w polskiej polityce nie zostały, oględnie mówiąc, dobrze wykorzystane. Można więc wątpić, czy mamy zdolność do przejścia takiego katharsis. Być może zadziałałby szok prostszy i bardziej zrozumiały, np. przegrana wojna. Przegrana, ale nie niszcząca państwa. W ostatnim wieku przegrane wojny niszczyły nam państwo. Można sobie wyobrazić scenariusz, w którym przegrywamy wojnę, ale państwo istnieje nadal. Oczywiście nie życzę nam tego. Konkludując, nie czekajmy na „ozdrowieńczy szok" w postaci tak bolesnej, tylko weźmy się do roboty już dzisiaj.

Czy polskie państwo ma realną szansę na to, by być państwem sprawczym, podmiotowym, czy raczej skazani jesteśmy na państwowość hybrydową, dysponującą tylko niektórymi atrybutami państwa sprawczego?

Mamy, ale jej nie wykorzystujemy. Od kiedy uczestniczę w życiu publicznym, szlag mnie trafia, gdy widzę, jak Polska gra poniżej swoich możliwości. Tak jest cały czas. Teraz to widać dobrze na przykładzie wojny ukraińskiej. Odegraliśmy w niej historyczną rolę, pomagając Ukrainie przetrwać, a Ameryce obronić swoją pozycję międzynarodową. Ale nie skonsumowaliśmy tego politycznie, nie wystawiając rachunków. Generalnie Polska ma wszelkie papiery na to, żeby być podmiotowym graczem. To atuty gospodarcze, demograficzne, terytorialne, coraz bardziej też wojskowe. Polska ma, co więcej, wszelkie papiery na to, żeby być moderatorem regionalnego systemu międzynarodowego, czyli systemu europejskiego. Nie ma żadnego sensownego powodu, żeby utrzymywała się na poziomie znaczenia Czech czy Węgier w UE i żeby nie zajęła miejsca zbliżonego do Hiszpanii.

Wobec tego, gdzie leży problem? W kondycji rządzących Polską elit?

Tak. Myślę, że jest to problem kompetencji przywództwa politycznego, który jest niedocenianym aspektem potęgi państwa. A jest bardzo ważny, bo można mieć bogactwo, wojsko, dużo ludzi, technologie, ale niekompetencja przywództwa jest w stanie to wszystko zmarnować. Mamy słabe przywództwo, słabe elity w ogóle. Zostały one poważnie

eprasa.pl cae6db74eb

przetrzebione w ciągu kilkuset lat, szczególnie w ostatnim stuleciu. To jest główna przyczyna. Problem w tym, że nie działamy aktywnie, żeby to zmienić. Powinniśmy poważnie popracować nad zmianą kryteriów rekrutacji przywódców, nad usunięciem selekcji negatywnej, nad poziomem uniwersytetów, nad zmianą generalnego mechanizmu, w ramach którego Polska jest jednym z krajów wypadających najgorzej, jeśli chodzi o statystyki wykorzystywania własnych talentów i przyciągania ich z zewnątrz. Tu jesteśmy w przestrzeniach, gdzie są państwa afrykańskie i kraje dawnego Trzeciego Świata, a nie państwa rozwinięte czy szybko rozwijające się państwa azjatyckie. Nad tym moim zdaniem należałoby przede wszystkim popracować.

Na naszych oczach utrwala się nowy ład geopolityczny. To najpoważniejsze zmiany od kilku dekad. Jak na tym tle plasuje się Polska? Potrafimy czerpać benefity z nowego rozdania geostrategicznego czy pozostajemy na jego marginesie?

Niestety, bardziej stoimy z boku i słabo orientujemy się w tym, co się dzieje. Jesteśmy reaktywni, czekamy, co zrobią inni, i dopiero wtedy coś robimy, a i tak nie zawsze. To widać było po tym, jak odbieraliśmy wzrost potęgi chińskiej, np. jak decydowaliśmy o przystąpieniu do azjatyckiego banku inwestycji infrastrukturalnych (AIIB). Ale widać to też w wojnie ukraińskiej i wobec współczesnych problemów Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy reaktywni, nie mamy aparatu analitycznego identyfikującego wyzwania z wyprzedzeniem, przedstawiającego różne opcje odnajdywania się w nowych procesach. Oczywiście w Polsce są analitycy, którzy to widzą, ale nie są odpowiednio podpięci pod politykę. A to nie są czasy tylko zagrożeń dla Polski, są to czasy także wielu szans.

Uważam, że Polska mogłaby awansować co najmniej o ligę, a przy pewnej dozie szczęścia i mocnego wysiłku własnego w najbliższych dekadach nawet o dwie ligi w hierarchii międzynarodowej, która, uważam, już się ukształtowała. Bo diagnozy o tym, że kształtuje się nowy porządek, są spóźnione. My już jesteśmy w nowym porządku. Dawny jednobiegunowy świat skończył się w 2008 r., wtedy na skalę mocarstwową wróciły Chiny i Rosja. W międzyczasie mieliśmy jeszcze awans Chin do grona supermocarstw w okolicach umownego roku 2014 oraz powrót Indii do roli mocarstwowej. To największa po drugiej wojnie światowej liczba strukturalnych zmian ładu światowego, w całej nowożytnej historii. Mamy wielkie szczęście, że przeszliśmy przez ten okres bez żadnej wojny światowej i dość łagodnie. Natomiast liczba turbulencji, kryzysów i problemów jest ogromna. I twierdzę, że będzie nadal wysoka, bo taka jest specyfika strukturalna nowego porządku wielobiegunowego.

Wrócę do wątku polskich szans w świecie, w którym obowiązuje zmieniona hierarchia międzynarodowa. Czy taka formuła jak Międzymorze to tylko fasada czy też platforma, dzięki której Polska może istotnie coś ugrać?

Po pierwsze to nie Międzymorze, tylko Trójmorze. Międzymorze było ideą federacji państw tego regionu głoszoną w dobie II RP. To był pomysł stworzenia wspólnego państwa, czegoś więcej niż to, czym jest teraz Unia Europejska. To, co mamy dziś, to Trójmorze, które jest przede wszystkim projektem o charakterze infrastrukturalnym, gospodarczym. Jako takie przedsięwzięcie wewnątrz Unii Europejskiej Trójmorze było przedstawiane. W oparciu o tę formułę przystępowały do niego kraje członkowskie. Polska ma aspiracje do regionalnego przywództwa, i dobrze. Problemem jest wypełnienie tego realną treścią. Inni nie patrzą na Trójmorze jako na przedsięwzięcie polityczne pod przywództwem regionalnym Polski z prostych powodów. Polska nie jest eksporterem do innych krajów ani bezpieczeństwa, ani dobrobytu – w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej, Niemiec czy Francji. W związku z tym kraje

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

regionu nie mają żadnego powodu, żeby uważać Polskę za regionalnego lidera.

Dodajmy, że obserwacja jakości naszego przywództwa politycznego w działaniu raczej nie zwiększa ich motywacji do tego, żeby oddawać w nasze ręce swój los. Polska mogłaby w przyszłości zagrać rolę regionalnego lidera, ale to wymagałoby ogromnej pracy zaplanowanej na dekady. Musielibyśmy wzmocnić swoją potęgę do poziomu, w którym stalibyśmy się eksportem bezpieczeństwa i dobrobytu do tych krajów. Co jest trudne, ale moim zdaniem docelowo możliwe. Tym bardziej że jest wysoce prawdopodobne, iż w następnych latach i dekadach w naszym regionie wytworzy się pewna próżnia, związana z tym, że Stany Zjednoczone będą tutaj względnie coraz mniej obecne. Europa Zachodnia nie wykazuje też wielkiej dynamiki, która pozwalałaby sądzić, że ta obecność będzie się istotnie zwiększać.

Jednak mamy obok siebie Niemcy, które nie pozbyły się przecież aspiracji do bycia regionalnym hegemonem.

Mamy Niemcy, które są silne w porównaniu z Polską, ale które są krajem generalnie stagnacyjnym i którego zwiększenia obecności tutaj trudno oczekiwać. Pamiętajmy o kilku rzeczach. Po pierwsze, Niemcy wolno się rozwijają w ostatnich latach. Po drugie, będą prawdopodobnie jeszcze wolniej się rozwijać w bliskiej przyszłości, bo ich model rozwojowy uległ pogorszeniu. Ten model opierał się m.in. na tanich surowcach z Rosji, darmowym bezpieczeństwie z Ameryki i intensywnych relacjach z Chinami. Pierwsze dwa elementy się skończyły, trzeci pokazał swe ograniczenia. W związku z tym Niemcy mają dziś poważne kłopoty gospodarcze i są symptomy wskazujące na to, że są one systemowe. Po trzecie, nie chcą robić dzieci, w efekcie czego za kilka dekad prawdopodobnie zrównają się ludnościowo z Francją czy Wielką Brytanią. Jeżeli Europa Środkowa będzie się rozwijać szybciej niż Niemcy, to wystarczy to do tego, żeby obecność Niemiec w Europie Środkowej względnie się zmniejszała. Wytworzy się więc próżnia, w którą możemy wchodzić.

Naturalnie nie jest to kwestia, którą można efektownie ogłosić na takiej czy innej konferencji międzynarodowej. To nie jest kwestia uścisków z tym czy innym przywódcą. To jest kwestia ciężkiej pracy narodowej, która może zaowocować zmianą pozycji Polski na arenie międzynarodowej, tak żeby Polska była eksporterem bezpieczeństwa i dobrobytu dla innych państw regionu. Wtedy będzie mogła być także ich liderem politycznym.

Jak możemy stać się eksporterem bezpieczeństwa i dobrobytu, nie wieszając się na rękawie USA?

Na razie nie mamy innego wyjścia niż mocne trzymanie się amerykańskiego rękawa. Musimy jednak zadać sobie wielkie pytanie: Czy możemy liczyć na amerykańską pomoc w całym XXI w.? Jest ewidentne, że jeszcze przez jakiś czas możemy. Ale jak długo? Pamiętajmy, że dzisiaj administracja Bidena prowadzi bardzo korzystną dla nas politykę w Europie. Ale w Kongresie i poza nim jest wielu Republikanów, którzy uważają amerykańskie zaangażowanie na Ukrainie za kompletną aberrację. Ich zdaniem Ameryka powinna wycofywać się z Europy – albo całkowicie, albo znacząco – i przekierować te wszystkie zasoby na zachodni Pacyfik, żeby mierzyć się z wyzwaniem chińskim. Zdecydowanie największym wyzwaniem Ameryki w jej historii mocarstwowej, co do którego obudziła się za późno i ma wielkie kłopoty z podjęciem należytej gry. Nie można wykluczyć, że taka koncepcja zwycięży w amerykańskiej polityce za jakiś czas.

Taka optyka, zdeterminowana przez chińskie wyzwanie, może zacząć dominować w amerykańskiej polityce już po przyszłorocznych wyborach prezydenckich?

Jest taka możliwość, aczkolwiek twardych prognoz bym tu nie stawiał. Myślę, że jest to mało prawdopodobne w perspektywie najbliższej kadencji. Jednak z czasem zagrożenie ze strony Chin będzie dla Ameryki rosło, wiąże się z nim tzw. przeciążenie imperialne, czyli „rozsmarowanie" zasobów mocarstwa jak kostki masła na zbyt wielu kromkach chleba. Względna siła Ameryki w systemie międzynarodowym spada konsekwentnie od pewnego czasu. Tak więc presja na wycofanie z Europy będzie narastać. Nie jest to natomiast łatwe do przeprowadzenia. Przecież jeśli Japonia czy Korea Południowa zobaczą, że amerykańska wiarygodność sojusznicza w Europie upadła, to wyciągną wnioski dla siebie i jest dość prawdopodobne, że dogadają się z Chińczykami. Jednym słowem Amerykanie nie mogą w gwałtowny sposób skończyć swojej obecności w Europie, bo to mogłoby być dla nich katastrofalne, ale mogliby to przeprowadzić w sposób, który byłby w miarę płynny.

Wracając do Polski: Czy zatem po wsze czasy możemy wisieć na tym amerykańskim rękawie? Racjonalne jest założenie, że nie możemy. Docelowo powinniśmy dążyć do zbudowania takich zdolności własnych, takiej potęgi, żeby być w stanie bronić się samodzielnie albo we współpracy z innymi państwami niż Stany Zjednoczone i traktować amerykańską pomoc jako bonus w całej tej grze. To jest możliwe poprzez intensywną i mądrą rozbudowę zdolności własnych i sojuszy w regionie i na północy. Musimy mieć do tego kompetentne przywództwo. Gdyby ten warunek został spełniony, byłoby to możliwe w perspektywie kilkunastu lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Klucz do migracji

Antyizraelski wiec na ulicach Madrytu, 9 października 2023 r. FOT. EUROPA PRESS/ABACA/PAP

Rafał A. Ziemkiewicz

„Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść" – oby nasi politycy nie zadziałali w myśl tego starego powiedzonka i nie uznali, że sprawa imigracji odegrała wyznaczoną jej rolę w kampanii wyborczej, a teraz można już o niej zapomnieć

Polakom trudno zrozumieć, że polityka nie polega li tylko na głośnym deklarowaniu, czego się chce, i równie głośnym protestowaniu przeciwko temu, czego się nie chce" – od czasu, gdy Roman Dmowski napisał te słowa, minęło 120 lat, a nic się w tym czasie w naszym pojmowaniu polityki nie zmieniło. Jest problem – deklarujemy, czego w związku z tym chcemy (a raczej: co się nam słusznie należy) oraz czego nie chcemy i uznajemy sprawę za załatwioną. Reszta to już tylko oczekiwanie na należyte zachowanie innych i na pożądany bieg wypadków. Niestety, świat nie chce działać w taki sposób, jak nauczyli nas protagoniści inteligenckich kawiarnianych dysput.

W trakcie kampanii wyborczej do parlamentu ustalono zgodnie, że nie chcemy u siebie oglądać takich scen, które miały miejsce w zachodnich miastach po atakach Hamasu na Izrael: tłumów pochodzących spoza Europy imigrantów, głównie muzułmanów, ale też ludzi z innych przyczyn niedarzących sympatią cywilizacji Zachodu, wiwatujących ku czci mordowania i porywania jako zakładników bezbronnych cywilów oraz skandujących: „Gas the Jews!". Nie chcemy też, aby trafiali do nas Afrykanie, podwożeni „humanitarnie" specjalnymi statkami do brzegów Włoch (notabene za pieniądze m.in. rządu niemieckiego, co każe zauważyć, że rząd w Berlinie świadomie stosuje wobec Włoch dokładnie ten sam rodzaj presji, który na nas wywiera Mińsk z poparciem Moskwy). Szczególnie nie chcemy, żeby nam najbardziej kłopotliwych nielegalnych imigrantów wciskali rządzący Unią Europejską na zasadzie oficjalnie głoszonej „przymusowej dobrowolności". Można uznać, że, szczerze czy nie, osiągnęliśmy w tej sprawie kampanijny konsensus, skoro siły polityczne początkowo eksponujące hasła „refugees welcome" również zmieniły retorykę na antyimigrancką, tyle że o odwrotnie skierowanym ostrzu.

Wzajemne okładanie się „wy sprowadzaliście i chcecie nadal sprowadzać imigrantów – nie, to wy ich sprowadzacie więcej niż my" nie przybliżyło nas jednak w najmniejszym stopniu do ogarnięcia problemu. Nikt nie zaproponował nawet w zarysie pomysłu na poradzenie sobie z wyzwaniem.

ARCYPOLSKI SPOSÓB

W istocie skala trudności przypomina tu kwadraturę koła. Z jednej strony, mamy fatalną demografię – w zamian za otwarcie swoich rynków na polskie towary i usługi oddaliśmy Zachodowi znaczną część kobiet w wieku rozrodczym, które urodziły małych Anglików, Irlandczyków czy Skandynawów etc., na których masowy powrót do Polski raczej nie ma co liczyć. A jednocześnie zachłysnęliśmy się przy tym sączoną przez nowoczesną popkulturę pochwałą hedonizmu, laicyzujemy się na wzór zachodni – trudno się spodziewać, żeby te ostatnie zmiany społeczne dały u nas inny skutek, niż dały tam. Z drugiej strony natomiast

eprasa.pl cae6db74eb

wciąż nie porzucamy marzenia o „dogonieniu" Zachodu poziomem życia, a to wymaga utrzymywania wysokiego tempa wzrostu gospodarczego, co nie jest wyobrażalne bez licznych pracowników napływowych. Nawet zresztą gdyby do władzy doszedł w Polsce rząd zdeterminowany realizować politykę, umownie mówiąc, szwajcarską – utrzymanie wysokich płac przez ograniczenie dostępu do rynku pracy za cenę spowolnienia wzrostu i wysokich kosztów życia, co obiecywali niektórzy politycy Konfederacji – niewiele mógłby w tej chwili zmienić, bo zagranicznych pracowników sprowadzają do Polski przede wszystkim wielkie korporacje, którym dla przyciągnięcia ich inwestycji obiecaliśmy znaczną swobodę działania.

Tę sprzeczność rozwiązujemy w arcypolski sposób: widząc tyle, ile chcemy widzieć. Strona, umownie mówiąc, konserwatywna, jest oburzona bezrozumnym, pseudoszlachetnym lansowaniem przez środowiska lewicowo-liberalne kultu „otwarcia na uchodźców" jako obowiązku moralnego i miary człowieczeństwa. Strona lewicowo-liberalna z kolei wedle zasady, że każdy sposób uderzenia w znienawidzony PiS jest dobry, celowo myli zezwolenia na pracę z zezwoleniami na stały pobyt, a te ostatnie z wizami Schengen, by snuć propagandowe wizje „ściągania do Polski" przez PiS setek tysięcy gwałcicieli i zbrodniarzy z Afryki i Bliskiego Wschodu, co zresztą z typową dla tego środowiska schizofrenią w żaden sposób nie kłóci mu się z organizowaniem kampanii w obronie Agnieszki Holland, „prześladowanej" (czytaj: krytykowanej) za „budzenie polskich sumień".

Z emocjonalnego przeżywania scen z Lampdeusy, przedmieść Paryża czy Berlina niewiele jednak wynika. Trzeba zdać sobie sprawę, jakie błędy popełniła zachodnia Europa, aby móc ich uniknąć. Czasu na to, powtórzmy, jest coraz mniej.

RÓŻNE PRZYCZYNY, RÓŻNY PRZEBIEG

Jeśli przyjrzeć się temu z perspektywy czasu, to widać, że otwarcie na migrantów miało w tych krajach nieco różne przyczyny i przebieg. We Włoszech, co najbardziej przypomina sytuację Polską, decydującym czynnikiem była po prostu słabość państwa, którego elity polityczne są permanentnie skłócone, a system polityczny jest skonstruowany w sposób skrajnie utrudniający stworzenie stabilnego i skutecznego rządu. Niemcy przyjęły swego czasu zasadę nieco podobną do głoszonej w niewypowiedziany sposób przez rząd Zjednoczonej Prawicy: potrzebujemy pracowników, więc niech przyjeżdżają. Ich życie tutaj będzie o tyle lepsze, że sami z siebie zapragną przyjąć nasz styl życia i staną się dobrymi obywatelami. Stosunkowo najwięcej starań do kulturowej asymilacji przybyszów ze swych dawnych kolonii przyłożyła Francja, wykładając latami wielkie pieniądze na socjal i edukację. Ale sukcesy, które na tym polu osiągnęła, okazały się nietrwałe.

Ten ostatni przypadek szczególnie wart jest analizy. Co sprawiło, że choć migranci w pierwszym pokoleniu stosunkowo chętnie wtopili się w kulturę francuską, to ich dzieci, a zwłaszcza wnuki, odwróciły się od niej? Odwróciły się, ale – wbrew potocznemu stereotypowi – nie wróciły do kultury przodków. „Młodzi ludzie z przedmieść", jak eufemistycznie nazywają ich sterroryzowane polityczną poprawnością media, deklarują się wprawdzie jako muzułmanie, ale praktykowanie zasad islamu jest im równie obce, jak większości białych Francuzów praktykowanie zasad chrześcijaństwa. Sięgają bez zahamowań po narkotyki, kultywują właściwą krajowi pobytu swobodę obyczajową – islam jest dla nich tylko totemem, podkreślającym obcość wobec instytucji „białego" państwa i niechęć do niego.

Można wiec powiedzieć, że w pewnym sensie, w karykaturalny sposób, sen Olofa Palmego spełnił się – pod wpływem lewicowej popkultury i permisywnego państwa przybysze się zlaicyzowali się, tak jak, staraniem lewicy, stało się to wcześniej z rdzennymi mieszkańcami Europy. Tyle że owe masy ludzi wykorzenionych z kultury przodków nie stały się bynajmniej, jak planowano, wyznawcami tolerancji, inkluzywności i innych wartości lewicowych, wpajanych im przez państwową edukację – cofnęły się do stanu plemiennej dziczy. Drogi Niemiec i Włoch, do których afrykańskie i bliskowschodnie struktury plemienno-mafijne przeniosły się, wskutek zaniechania tamtejszych rządów, niejako „wprost", spotkały się więc z drogą Francji, w której takie same struktury „odrosły" w kolejnych pokoleniach powierzchownie zasymilowanych przybyszów.

Pisząc niedawno, à propos afery wizowej, o pilnej potrzebie stworzenia polskiej polityki imigracyjnej, z racji ograniczonej objętości tekstu skupiłem się na działaniach strukturalnych. Trzeba stworzyć „polską wyspę Ellis", czyli system selekcji chętnych do pracy i ewentualnego osiadania w Polsce, trzeba mieć odpowiednie struktury, służące przemyślanej polityce sprowadzania pracowników z obszarów wybranych, kulturowo bliskich, a nie „na żywioł", skąd popadnie, trzeba zawczasu stworzyć przepisy umożliwiające kontrolę przestrzegania przez przybyszów polskiego prawa i deportowania tych, którzy je naruszają, oraz siły policyjne zdolne te przepisy sprawnie realizować. I trzeba tak przekonstruować narzędzia „bezpieczeństwa socjalnego", aby uniknąć niemieckiej plagi tłumów pielgrzymujących nie za pracą, a po zasiłki.

DEKLARACJE TO ZA MAŁO

Jednak decydujące dla przyszłości Polski jest to, czy będzie ona oparta na wartościach, będzie oferować swym obywatelom wolność, prawa i godność, sprawiające, że bycie Polakiem będzie rzeczą pożądaną i atrakcyjną, czy stoczy się w ślad za zachodem kontynentu w dekadencję i – proszę wybaczyć staroświeckie określenie – moralną zgniliznę. W tym drugim przypadku kraj pobytu staje się dla przybyszów tylko masą upadłościową, miejscem wielkiego plądrowania, szabrowania bogactw i wybierania haraczy (bo czymże innym są dla ich beneficjentów legendarnie wysokie niemieckie i francuskie „socjale"?), tak jak stało się nim w pewnym momencie wciąż jeszcze bogate, silne wojskowo i administracyjnie sprawne, ale pozbawione siły duchowej Imperium Rzymskie. Arnold Toynbee nazwał ten stan, w którym się ono wówczas znajdowało, „trupem w zbroi", i to określenie coraz bardziej pasuje do współczesnego Zachodu.

Nie wystarczy deklarować, że chcemy, żeby Polska pozostała krajem bezpiecznym i nie chcemy u siebie tego, co widzimy dziś na Zachodzie. Trzeba przepracować cudze doświadczenia i wyciągnąć z nich wnioski. Robi się to coraz bardziej pilne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Pomnik ofiar czy dom polsko-niemiecki?

Piotr Semka

Kwestia pomnika mającego upamiętnić polskie ofiary Niemców w czasie drugiej wojny światowej jest już traktowana nieco po macoszemu. Mówi się o budowie kompleksu naukowo-szkoleniowego, a wszystkie wypowiedzi i czynniki zebrane razem tworzą wizję ślimaczącego się projektu o niejasnej formule i bez wyrazistego określenia, kto ze strony polskiej będzie partnerem przy tworzeniu treści ekspozycji

Mija 11. rok od wysunięcia przez Władysława Bartoszewskiego w 2012 r. idei zbudowania w Berlinie pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej. Dopiero w 2017 r. tym pomysłem zajął się niemiecki Bundestag. W 2020 r. przegłosowano w tej sprawie w niemieckim parlamencie specjalną uchwałę. Jednak nawet w ciągu ostatnich sześciu lat, kiedy idea ta zaczęła zyskiwać formalne ramy prawne, nadal niejasne jest, jaką formę miałoby przyjąć upamiętnienie polskich ofiar. Uchwała Bundestagu z 2020 r. mówi o „miejscu pamięci" (Gedenkstätte). Z kolei w czasie konferencji prasowej 29 sierpnia niemiecka minister kultury Claudia Roth mówiła głównie o „domu polsko-niemieckim".

Zarówno część niemieckich przyjaciół Polski, jak i polscy obserwatorzy niemieckich poczynań niestrudzenie przypominają, że przede wszystkim chodzi o pomnik. Taka była geneza całej inicjatywy. Władysław Bartoszewski wysunął ją w 2012 r., po tym, jak w krótkim czasie siedmiu lat w Berlinie zbudowano parę pomników ofiar Niemców. Najpierw w 2005 r. powstał Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, potem w 2008 r. powstał „pomnik ku czci homoseksualistów – ofiar nazistowskich prześladowań", a następnie w 2012 r. pojawił się pomnik zamordowanych przez III Rzeszę przedstawicieli ludów Sinti i Romów, czyli ludności cygańskiej. Bartoszewski, który sam był świadkiem mordów w trakcie niemieckiej okupacji podczas drugiej wojny światowej, uznał wtedy, że już najwyższy czas na uczczenie polskich ofiar.

A jednak wypowiedzi minister Claudii Roth skupiają się wciąż wokół wizji domu polsko-niemieckiego jako miejsca wystaw, spotkań młodzieży z obu krajów i miejsca dla pracy naukowców badających wzajemne relacje. Pani Roth przyznaje, że ten obiekt powinien mieć jakiś wyraźny akcent artystyczno-plastyczny, ale unika bardziej konkretnej wizji. Ten stan niedomówienia jest na tyle irytujący, że wywołał niedawno polemikę na łamach niemieckiego dziennika „Die Welt".

ALERGIA NA POMNIKI?

„Claudia Roth poprzez swoją nową niemiecką abstynencję w kwestii pomników ułatwia sobie zadanie" – tak zaczyna się tekst z 2 października br. Thomasa Schmida, jednego z czołowych publicystów „Die Welt". „Pomnik to pomnik. Szkoła wyższa to szkoła wyższa. Nie należy mieszać tych dwóch elementów, aby przyćmić upamiętnienie względami edukacyjnymi". I dalej: „Niemcy zadali Polsce niewypowiedziane cierpienia w latach 1939–1945. Pomnik w centrum Berlina wreszcie to upamiętni. Biorąc jednak pod uwagę obecny stan rzeczy, należy się obawiać, że szansa ta zostanie zaprzepaszczona. Dom niemiecko-polski, który ma powstać w miejscu, gdzie 1 września 1939 r. Hitler ogłosił atak na Polskę, według obecnego stanu planowania ma być przede wszystkim ośrodkiem informacyjno-edukacyjnym. Planiści, za których odpowiada ministerstwo kultury, nie zdecydowali się na umieszczenie pomnika w centrum miejsca pamięci".

Schmid przyznaje, że w dzisiejszej kulturze zbiorowej Niemiec formuła dawnych wielkich pomników historycznych jest uważana za przebrzmiałą. Jednak wskazuje, że w tym wypadku nie da się od takiej dosłowności uciec, bo obie strony potrzebują wyrazistego symbolu pamięci. Jak wskazuje Schmid: „Jak bardzo nieważny jest postulat wyrazistego symbolu pamięci, wyczytać można z dokumentu minister Claudii Roth, który poświęca mu tylko dziewięć ogólnikowych linijek. Niemal tak jakby chodziło o nadanie nowo otwartemu centrum handlowemu nieco artystycznego charakteru". I dalej: „Dziewięć linijek poświęconych »znakowi pamięci« kontrastuje z 88 linijkami tekstu, które skupiają się na przeznaczeniu domu polsko-niemieckiego i informacjach historycznych. O procesie wrogości, zbliżenia i pojednania".

Tyle Thomas Schmid. Na jego wątpliwości zareagowali natychmiast Peter Oliver Loew z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (finansowanego przez kraje związkowe Hesja i Nadrenia-Palatynat, Wspólnotę Krajów Związkowych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Niemiec oraz miasto Darmstadt) oraz Uwe Neumärker z Fundacji Pomnik Pomordowanych Żydów Europy. Reprezentują oni dwie instytucje, które z ramienia niemieckich władz realizować mają ten projekt. Reagując na krytykę Szmida, pośpieszyli w tekście z 10 października br. z wyjaśnieniami: „Chcemy miejsca, które umożliwi upamiętnienie zarówno indywidualne, jak i oficjalne. Chcemy efektownego znaku pamiątkowego, który spełniałby wszystkie kryteria pomnika, a najlepiej nawet więcej, bo rozwijałby nowe formy, bo nie stałby w mieście tylko z kamienia czy brązu jako gest empatii Niemiec wobec ludności

eprasa.pl cae6db74eb

Polski, ale jako miejsce pamięci i spotkania honorowałby najważniejszych wschodnich sąsiadów Niemiec". Jednocześnie autorzy zaznaczyli, że pomnik taki musiałby być elementem domu polsko-niemieckiego, jako budynku, który „łączyłby w sobie wystawę stałą, wystawy czasowe oraz oferty edukacji i spotkań pod jednym dachem".

Ta wymiana zdań pokazuje, że kwestia pomnika jest już traktowana nieco po macoszemu. Nie stanowi kwestii numer jeden w sferze wyobrażeń realizatorów projektu. Na dodatek wybudowanie dużego kompleksu naukowo-szkoleniowego wiąże się ze znacznie dłuższym czasem realizacji. Peter Oliver Loew, pytany w polskojęzycznej audycji Radio Cosmo o horyzonty czasowe całego przedsięwzięcia, odpowiada: „Może 2030, 2032 r. Nie wiem, zobaczymy, to trochę potrwa".

Oczywiście dla osłodzenia tak długich terminów padają przypomnienia, że nieważne są terminy, ważne jest, aby zrobione zostało to dobrze. Ale takie nastawienie lekceważy wrażliwość polską. Szczególnie że te długie terminy stoją w kontraście do stosunkowo szybko wykonanych pomników Holokaustu (trzy lata) czy jeszcze krótszych prac nad pomnikiem ofiar homoseksualnych czy zamordowanych przedstawicieli ludów Sinti i Romów. Problem w tym, że wielu Polaków czeka na analogiczny pomnik, a nie na centrum, na które wpływ będą mieli głównie Niemcy. Oczywiście strona niemiecka podkreśla, że Polacy będą w tym projekcie traktowani jak najbardziej partnersko. Pytanie jednak, kogo z Polski Niemcy zaproszą do kooperacji.

PLECAMI DO POLSKIEGO RZĄDU

Minister kultury Claudia Roth, wypowiadając się dla Cosmo, ujawnia założenia strony niemieckiej: „Polacy są w tym projekcie od samego początku. Jednak to nie jest projekt polskiego rządu. To projekt, w którym my jako (niemieccy) politycy musimy ustalić warunki ramowe, ale pracują nad nimi intensywnie przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego, akademie, uczelnie, organizacje młodzieżowe". Oznacza to, że niemiecki rząd w dziele budowania domu polsko-niemieckiego z góry założył odrzucenie koordynacji tego projektu z polskim ministerstwem kultury.

W polskich warunkach, wśród „odwiecznych" uczestników dialogu z sąsiadami zza Odry, dominują osoby o jednoznacznym liberalnym nastawieniu. Brakuje za to przedstawicieli wrażliwości konserwatywnej. Charakterystyczne jest to, że od szefów instytucji, które tworzyć mają dom polsko-niemiecki, nie można pozyskać żadnych nazwisk. Peter Oliver Loew wspomina jedynie ogólnikowo o partnerstwie z Instytutem Historii Polskiej Akademii Nauk oraz fundacją Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży. Gdy dziennikarz Cosmo Tomasz Kycia zapytał o choćby kilka nazwisk polskich konsultantów projektu, padła ogólnikowa odpowiedź: „Na razie nie chcemy mówić o nazwiskach, tworzą się jeszcze te różne gremia eksperckie, ale mamy bardzo dużo ludzi, którzy trzymają za nas kciuki w Polsce".

Ta skłonność do tajemniczości niedobrze wróży nowej inicjatywie. Polska prawica, która i tak jest zazwyczaj nieufna wobec niemieckich inicjatyw dotyczących wspólnej historii, ma w tej sytuacji pełne prawo podejrzewać, że Niemcy będą sobie wybierać takich polskich naukowców, którzy mówią to, co Niemcy chcą usłyszeć. Można też podejrzewać, że gdyby podobna inicjatywa miała dotyczyć np. projektu niemiecko-francuskiego, to dla dyplomatów z Paryża byłoby czymś niepodlegającym dyskusji, że głównym partnerem Niemców winno być francuskie ministerstwo kultury.

Rząd PiS podchodził do projektu ostrożnie. Przedstawiciele MSZ wolą wypowiadać kuluarowe komentarze i podkreślają, że to jest projekt niemiecki. Polski ambasador obecny na konferencji minister Claudii Roth pod koniec sierpnia 2023 r. nie został zaproszony do stołu prezydialnego, a tylko siedział wśród słuchaczy konferencji. Mimo tej niezręcznej sytuacji zabrał głos z sali i podkreślił, że strona polska oczekuje wybudowania przede wszystkim pomnika ofiar w Berlinie.

MIEJSCE TEŻ JEST WAŻNE

W całej sprawie ważne jest także umiejscowienie ewentualnego monumentu. Przez długie lata niemieccy uczestnicy projektu mówili o placu Askańskim w Berlinie. Wymyślano dla takiego umiejscowienia pomnika dość karkołomne uzasadnienia. Jedno z nich głosiło, że przy tymże placu znajdują się resztki kolejowego Dworca Anhalckiego, na który w 1940 r. przybył pociągiem Wiaczesław Mołotow, aby w imieniu Związku Sowieckiego ugruntować sojusz Moskwy i Berlina na trupie napadniętej i okupowanej Polski.

Około dwa lata temu pojawiła się jednak informacja, że większość placu Askańskiego zajmie niemieckie muzeum mające uczcić niemieckich emigrantów, którzy musieli opuścić swój kraj po zdobyciu władzy przez Hitlera. Wtedy pojawiła się koncepcja nowego miejsca, które znajdowałoby się vis-à-vis niemieckiego Reichstagu/Bundestagu, w stosunkowo niewielkiej odległości od niemieckiego Urzędu Kanclerskiego. Byłoby to miejsce, w którym niegdyś znajdowała się tzw. Opera Krolla, w którym obradował hitlerowski Reichstag po spaleniu swej tradycyjnej siedziby, w którym 1 września 1939 r. Hitler ogłosił najazd na Polskę. Gdy wydawało się, że to już będzie ostateczne miejsce projektu, nagle minister Claudia Roth zaczęła zaznaczać, że trzeba jeszcze rozwiązać skomplikowane problemy prawne związane z kwestiami właścicielskimi gruntu. Ponadto wyraziła nadzieję, że powodzeniem zakończą się negocjacje w tej sprawie z władzami Berlina. Nie brzmi to specjalnie zachęcająco.

Wszystkie te czynniki zebrane razem tworzą wizję ślimaczącego się projektu o niejasnej formule i bez wyrazistego określenia, kto ze strony polskiej będzie partnerem przy tworzeniu treści ekspozycji. A przede wszystkim kwestią, która irytuje nie tylko Polaków, jest uciekanie od koncepcji pomnika.

Florian Mausbach, jeden z niemieckich inicjatorów listu z 2017 r. wspierającego stworzenie monumentu dla polskich ofiar, w bardzo czytelny sposób tłumaczy, dlaczego powinien być to pomnik, a nie rozdęte miejsce wystaw i spotkań młodzieży. „Formuła pomnika ma decydujące znaczenie. Pomnik jest miejscem przyznania się do winy, a także miejscem żałoby. Żałoby dla Niemiec, ale przede wszystkim dla Polaków [...]. Tymczasem dom polsko-niemiecki jest tylko jedną więcej instytucją. Mamy ich już wiele. Zwracają się one do świata akademickiego czy młodzieży, nie zaś do szerokich grup społeczeństwa. Tymczasem pomnik pokazywany w mediach i telewizji jest przede wszystkim obrazem. A jeden obraz jest wart więcej niż tysiąc słów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. ADOBE STOCK

Elektryczne albo żadne?

Łukasz Zboralski

Nowy podatek to tylko jedno z narzędzi, które mają zniechęcać Polaków do posiadania spalinowego auta. Więcej za rejestrację możemy zacząć płacić już w przyszłym roku. Za dwa lata mogą dojść opłaty dla wszystkich, którzy takie auta posiadają od dawna

Europa chce się pozbyć transportu, do którego przyzwyczailiśmy się przez ostatnie 100 lat. Samochody spalinowe mają zniknąć z dróg. Najpierw – i to było chyba łatwiej zrozumieć albo nawet poprzeć – silniki benzynowe i diesle zaczęły być wypychane z centrów miast. W tym przypadku są jakieś argumenty do dyskusji: w centrach transport publiczny zorganizowany jest naprawdę nieźle; to miejsca gęsto zaludnione i takie, w których wiele osób przemieszcza się pieszo, nie ma więc żadnej potrzeby, by musiały wdychać spaliny samochodów tkwiących tam w korku.

Tak zaczęły powstawać – także przecież w Polsce, choć u nas jest to początkowe stadium – strefy czystego transportu. Najpierw, tak jak np. w Niemczech, zniechęcanie do wjazdu samochodem do miasta przybrało formę dodatkowych opłat dla samochodów niespełniających najnowszych standardów emisji spalin (choć – jak wiemy po „aferze Volkswagena" – przemysł motoryzacyjny próbował te ograniczenia szybko ominąć w nielegalny sposób, czyli tylko na testach emulując czystsze spaliny w pojazdach, a w rzeczywistości wypuszczając na drogi dużo więcej zanieczyszczeń niż deklarowane w dokumentach).

ZAKAZ WJAZDU

Dziś Ateny, Madryt czy Paryż mają już zakazy wjazdu do centrów samochodom z silnikami wysokoprężnymi. Inne miasta – takie jak Londyn – pozostały na razie przy systemie, który nakłada na takich kierowców dodatkowe daniny. Są już jednak miasta, które idą dużo dalej. Lars Stromgren, wiceburmistrz Sztokholmu odpowiedzialny za transport, ogłosił właśnie, że miasto już za dwa lata całkowicie zakaże wjazdu do centrum innym samochodom niż elektryczne. Samochody dostawcze będą dopuszczane jako hybrydy plug-in. Będą jednak wyjątki od tej zasady – dla karetek, radiowozów policji oraz takich aut, w których kierowca lub pasażer posiada udokumentowane inwalidztwo.

„Zła jakość powietrza uszkadza płuca niemowląt i powoduje przedwczesną śmierć osób starszych. Musimy wyeliminować szkodliwe spaliny z samochodów benzynowych i diesla. Dlatego wprowadzamy najambitniejszą jak dotąd strefę niskoemisyjną" – powiedział serwisowi Airquality.com wiceburmistrz Stromgren.

Polityka unijna idzie jednak daleko dalej niż rugowanie spalin z centrów miast. Kolejne przepisy mają po prostu przestawić całą europejską motoryzację na inne, nowe tory. Taki mechanizm zapisany jest również w polskich regulacjach. Bez niego nie otrzymalibyśmy unijnego dofinansowania w ramach Krajowego Planu Odbudowy (pominę już to, że pieniędzy z KPO Polska i tak do tej pory nie dostała wcale z powodu rozmaitych problemów, które dostrzegają w naszym kraju członkowie nieformalnego europejskiego rządu – czyli Komisji Europejskiej).

Dlaczego wszyscy Polacy, nawet ci mieszkający z dala od miast, mają porzucić auta spalinowe? Nie wiadomo. Tu akurat argumentów brak. Na wytłumaczenie daje się ludziom wyłącznie ogólne dążenie do bardziej „zrównoważonego transportu". Nie będzie tu jednak żadnej równowagi. Samochody

eprasa.pl cae6db74eb

elektryczne są dużo droższe niż samochody spalinowe.

Proekologiczni komentatorzy przekonywali, że musi powstać rynek wtórny, że przecież tak samo spalinowymi samochodami Polacy jeżdżą średnio kilkunastoletnimi. Na razie to się nie sprawdza. Rynek wtórny już jest. Jednym z najtańszych używanych samochodów na nim jest Nissan Leaf. Używane auto, które i tak ma niewielki zasięg na prądzie, można kupić za nieco ponad 30 tys. zł. Tylko że zwykle trzeba w nim wymienić baterię. Wymiana baterii na – uwaga, nie nową, ale np. sprawną w 80 proc. – to koszt kolejnych blisko 30 tys. zł.

Argumentem ostatecznym ma być zmniejszanie emisji dwutlenku węgla. Ten łatwo można odrzucić – sama produkcja aut elektrycznych wiąże się z ogromn emisją, a trzeba pamiętać też o pierwiastkach wydobywanych do ich produkcji, czy koniecznej potem utylizacji.

PODATKIEM W SILNIK

W takich okolicznościach już od przyszłego roku właściciele samochodów spalinowych w Polsce mogą być obciążani dodatkowymi opłatami. Działać bowiem zacznie pierwsze zobowiązanie zapisane w KPO, brzmiące następująco: „Wejście w życie aktu prawnego wprowadzające opłatę rejestracyjną od pojazdów emitujących spaliny zgodnie z zasadą »zanieczyszczający płaci« – IV kwartał 2024 r.".

Szczegółów do dziś brak. Wiadomo tylko, że opłata rejestracyjna dotyczyłaby nie tylko nowych aut, lecz także sprzedawanych na rynku wtórnym, i że jej wysokość miałaby być związana z normą emisji spalin (wyjątkiem miałyby tu być pojazdy zarejestrowane jako zabytkowe). Wysokości tej daniny jeszcze nie określono.

Znacznie trudniejszy do zniesienia dla posiadaczy samochodów nad Wisłą będzie jednak drugi zapis z Krajowego Planu Odbudowy, zgodnie z którym obciążony dodatkowym podatkiem – prawdopodobnie płaconym co roku – zostanie każdy posiadacz auta z silnikiem benzynowym czy diesla. Szczegółów, czyli wysokości tych danin, także jeszcze nie ustalono.

Można zwrócić uwagę na poboczny wątek, bo tak samo formułowany jest w polskim KPO, jak i w unijnych dokumentach z pakietu „Fit for 55". I tu, i tam mowa jest zazwyczaj o „pojazdach". Pojazdami są także motocykle. To dziś jeszcze dziedzina motoryzacji, która nie jest pod tak wielką presją zamiany silników na elektryczne. Może się to jednak – przez dodatkowe obciążenia podatkowe – zmienić i w tym segmencie.

Pozostaje oczywiście otwartym pytanie, czy polski rząd ostatecznie takie regulacje w życie wprowadzi. Pisząc te słowa, nie znamy jeszcze wyniku wyborów i tego, kto taki rząd sformułuje. To, co wiemy jednak na pewno, to fakt, że przez wiele lat polscy urzędnicy wprowadzali unijne regulacje z podziwu godną nadgorliwością. Trudno też oczekiwać nagłego zwrotu w sprawie niskoemisyjnego transportu w Unii Europejskiej. Kierunek jest jasny. Pytaniem nie jest więc, czy będziemy w nim podążać, tylko: z jaką prędkością?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Książka
Grzegorza Górnego
i Janusza Rosikonia
to pierwsza tak obszerna,
dobrze udokumentowana
i bogato ilustrowana opowieść
o ziemskim życiu
Matki Bożej.

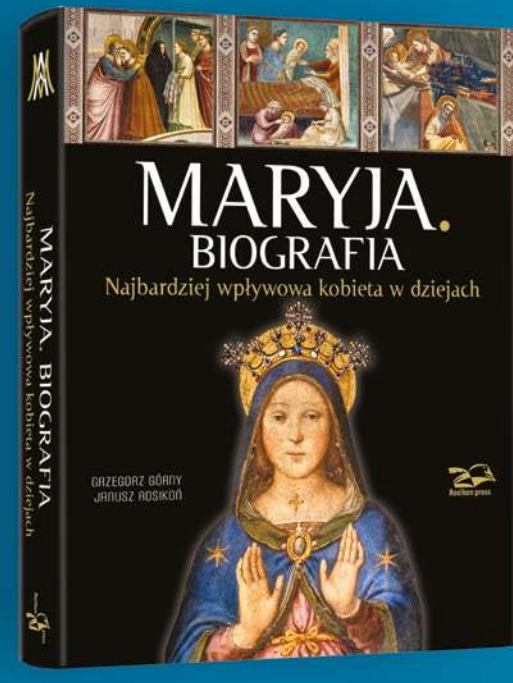

Rosikon press
WWW.ROSIKONPRESS.COM

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. ADOBE STOCK

Mroczny sekret polskich youtuberów

Zuzanna Dąbrowska

Wieloletnia zmowa milczenia pozwoliła chronić przed odpowiedzialnością mężczyznę, wobec którego pojawiają się podejrzenia o pedofilię. Powiązana z nim grupa internetowych twórców miała wykorzystywać swoją popularność do pozyskiwania od kilkunastoletnich dziewczynek nagich zdjęć. Tak zwana Pandora Gate wstrząsnęła polskim YouTube

Ta sprawa nie wyszłaby na jaw, gdyby nie znani z tropienia w Internecie influencerskich nieprawidłowości Sylwester Wardęga oraz Konopskyy (Mikołaj Tylko). Najpierw swój film opublikował Wardęga. Jego materiał stanowił potwierdzenie plotek, które po polskim Internecie krążyły od dawna. Chodziło o youtubera Stuu, który mimo odnoszonych sukcesów (zaczynał od nagrywania filmów dla dzieci poświęconych grze Minecraft, następnie stworzył tzw. Team X) nagle w 2020 r. zupełnie przestał się udzielać w sieci.

Urodzony w Londynie 31-latek zaistniał w sieci w 2011 r., gdy zaczął udostępniać pierwsze filmiki w języku angielskim. Dwa lata później otworzył kanał, na którym publikował polskojęzyczne materiały pod pseudonimem Polski Pingwin. Wielu uznawało go za legendę polskiego YouTube, która wykreowała wielu kolejnych twórców i gwiazdy. W 2016 r. jego konto na tej platformie było na piątym miejscu na liście kanałów z największą liczbą subskrybentów w Polsce, a Stuu był pierwszym gamerem w kraju, który zdobył 1 mln subskrypcji. Występował w reklamach (m.in. w reklamie napoju Fanta), był współzałożycielem agencji Spotlight, zajmującej się promowaniem karier influencerów. W Internecie pojawiały się doniesienia o jego problemach psychicznych. Niewielu jednak wiedziało, że tajemnica twórcy jest dużo mroczniejsza.

INTYMNE ZDJĘCIA OD DZIECI

„Miałam 14 lat, Stuu prosił mnie o zdjęcia. Czas na przerwanie milczenia" – tak zatytułowano pierwsze nagranie poświęcone „Pandora Gate", którego autorem jest dziennikarz Jakub Wątor. Wystąpiła w nim 22-letnia dziś Ola, opowiadająca o tym, jak wyglądała jej znajomość ze Stuu. Wyjawiła, że youtuber naciskał, by wysyłała mu intymne zdjęcia. Później się posprzeczali, a on miał nazwać ją w złości „internetową szmatą". Więcej na ten temat dowiedzieliśmy się z materiału Sylwestra Wardęgi. W filmie pokazał, a także poparł zrzutami ekranu to, że Stuu miał utrzymywać prywatne relacje nie tylko z jedną nastoletnią fanką. Z nagrania wynika, że mężczyzna miał spotkać się z pewną 14-latką w hotelu. Tam miał ją „gilgotać", ale do zbliżenia nie doszło.

Druga wstrząsająca historia dotyczy imprezy, do której miało dojść w mieszkaniu influencera. Nastolatki częstowano tam alkoholem, a po utracie świadomości jedna miała obudzić się w łóżku z mężczyzną. O wszystkim miał wiedzieć przyjaciel bliski przyjaciel Stuu, który również jest niezwykle popularny w sieci. Choć w oświadczeniu wydanym po wybuchu afery odcina się od Stuu, zapewniając, że nie miał wiedzy

eprasa.pl cae6db74eb

o jego nieodpowiednich poczynaniach, to – jak twierdzą w swoich materiałach Wardęga i Konopskyy – miał on być dobrze zorientowany w sytuacji. Co więcej, sam miał wysyłać wiadomości głosowe i w jednej z nich miał powiedzieć do 14-latki, z którą korespondował Stuu: „Chodź do Jaworzna, tam mnie znajdziesz. Zabawimy się ostro. Bez Stuu. Tylko ja i moja czternastka". W kolejnych materiałach ujawniono nagie zdjęcia, które Stuu miał wysyłać nastolatce. Mężczyzna na razie milczy. Wiele wskazuje na to, że przebywa poza Polską. W środę 11 października miał zostać pobity w Wielkiej Brytanii. Jak przekazał jego adwokat, trafił do szpitala. Z kolei Wardęga, zastrzegając, że nie ma pełnej wiedzy, twierdzi, iż nie doszło do pobicia, ale do zatrzymania i przekazania Stuu w ręce policji.

Stuu stał za stworzeniem „Teamu X", czyli projektu, w ramach którego grupka influencerów, mieszkających razem w wielkiej willi, nagrywała wspólnie filmy kierowane głównie do dzieci. W pierwszej edycji „Teamu X" zamieszkali: Kacper, Lexy, Marcin, Julia i Xavier, później dołączył do nich Michał. Wobec tego ostatniego pojawiają się oskarżenia o gwałt, którego miał dokonać podczas jednej z influencerskich imprez. Jego była dziewczyna, która zgłosiła sprawę policji, opowiada, że znalazła w jego telefonie nagranie ukazujące całą sytuację. Ofiara miała być nieświadoma tego, co się dzieje. Chłopak zdecydowanie zaprzecza i zapewnia, że oczyści się z tych oskarżeń.

W „Pandora Gate" pojawiają się także wątki dotyczące m. in. youtubera DeeJayaPallaside'a. – To, co robił Pallaside, jest szkodliwe, obrzydliwe, infantylne, interesowne i bezwstydne [...]. Ale nie otrzymałem żadnych materiałów i dowodów na jakiekolwiek prywatne kontakty z małoletnimi widzkami, tak jak np. w przypadku Stuu. Chcę tu zaznaczyć, żeby nie wrzucać go do tego samego worka – wskazuje w swoim materiale Konopskyy. DeeJayPallaside prowadził na YT serię, w ramach której otwierał na wizji rozbierane zdjęcia od swoich fanek, prawdopodobnie w większości nieletnich.

Także youtuber Vertez miał prowadzić nieodpowiednią, nacechowaną seksualnie korespondencję z fankami. Miał on, według Konopskyy'ego, utrzymywać relacje pisemne z 13-latką, gdy sam miał 22 lata. Dziewczyna twierdzi, że wysyłał jej nieodpowiednie wiadomości. „Nie tylko obrzydliwe, jak ma się ponad 20 lat, ale także nielegalne" – oceniał Mikołaj Tylko. Pokazał zrzuty ekranów, na których widoczna ma być korespondencja. Vertez miał też wyrażać chęć spotkania się z nastolatką. Youtuber przekonuje, że materiał Konopskyy'ego jest „całkowicie oszczerczy, zawiera nieprawdziwe informacje i fałszywe wnioski". Warto wskazać, że w materiale pokazano zrzuty ekranu.

Nieodpowiednie, seksualne wiadomości do nastolatki wysyłał też (przyznał się do tego) Boxdel, zaangażowany w projekt „Fame MMA" (już został z niego wykluczony). On jednak nie dążył do seksualnych spotkań.

ZMOWA MILCZENIA

Historie opisane przez Wardęgę i Konopskyy'ego mają niezwykle niepokojące tło – to zmowa milczenia ludzi, którzy od lat mogli coś wiedzieć o działalności Stuu, ale nie reagowali. W Internecie krąży wiele tzw. shotów, pokazujących, jak jego znajomi w żartach odnoszą się do historii z „czternastką" czy tego, że „Stuu jest zboczony". Była przyjaciółka i współpracownica mężczyzny influencerka Sukanek, która jako pierwsza kilka lat temu sygnalizowała, że miał on dopuścić się strasznych czynów, została oskarżona o bycie sfrustrowaną, nieszczęśliwie zakochaną w Stuu wariatką, która mści się za to, że ją odrzucił. Dziś ci, którzy wtedy ją potępiali, przyznają kobiecie rację.

Dlaczego „Pandora Gate" była możliwa? Z pewnością m.in. przez warte wiele tysięcy kontrakty reklamowe, które teraz, po wybuchu afery, są rozwiązywane. Oskarżenia o pedofilię i jakiekolwiek powiązanie z pedofilią, szczególnie gdy ktoś tworzy materiały skierowane do dzieci, oznaczają koniec kariery. To może tłumaczyć, dlaczego osoby, które mogły mieć jakąś wiedzę o zachowaniach Stuu, nie chciały jej ujawniać. Trzeba też zaznaczyć, że to, iż ktoś słyszał jedynie o możliwym przestępstwie, nie oznacza, że może realnie zadziałać. Z taką ścianą zmierzyła się Sukanek, która jako pierwsza poszła ze sprawą Stuu na policję, ale z braku dowodów (żadna z poszkodowanych nie zgłosiła się wtedy do odpowiednich organów) została odesłana do domu.

Kolejny wymiar to pojmowana w najgorszy możliwy sposób „solidarność" środowiska i rażący brak świadomości, że w trakcie tego procederu krzywdzone są dzieci. Że nie jest to zabawa i niewinna gierka, ale realna krzywda. To także w pewnym stopniu odpowiedzialność rodziców. Tych rodziców, którzy nie interesują się nie tylko tym, co dziecko robi w Internecie, lecz także tym, gdzie spędza noce. Jednym z wątków afery są bowiem imprezy, podczas których nastolatki przebywały w nocy poza domem w towarzystwie dorosłych mężczyzn.

YOUTUBE ZAWIESZA KANAŁ, REKLAMODAWCY UCIEKAJĄ

Niektórzy z oskarżanych dziś o niewłaściwe zachowanie wobec nieletnich bronią się, twierdząc, że kiedyś humor był inny, a chamskie i pełne seksualnych odniesień odzywki stanowiły standard. Ta linia obrony, co już widać, nie przyniesie pożądanych efektów. Firmy zadziałały natychmiast. Serwis YouTube poinformował o zawieszeniu kanału Stuu. Rzecznik prasowa Rossmanna przekazała, że kosmetyki z kolekcji „Team X" zniknęły z oferty sklepu internetowego tej firmy, zostaną też wycofane z drogerii stacjonarnych.

Znana z publikowania treści fitnessowych influencerka Deynn, właścicielka biznesu produkującego suplementy, zrezygnowała ze współpracy z Lexy, która według Wardęgi i Tylki mogła mieć jakąś wiedzę o działalności Stuu. Autorzy internetowego śledztwa apelują, aby „odlajkować" i odsubskrybować profile osób powiązanych z aferą i w ten sposób okazać swój sprzeciw. Fala ruszyła, co pokazują statystyki.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie na polecenie prokuratora generalnego wszczęła z urzędu postępowanie w sprawie seksualnego wykorzystania osób małoletnich w środowisku youtuberów. Rzecznik prokuratury przekazał mediom, że „postępowanie to pozostaje w toku". Dodał, że „trwają intensywne czynności procesowe zmierzające do zgromadzenia materiału dowodowego w sprawie, przesłuchiwani są kolejni świadkowie. Szczegółowej analizie, pod kątem procesowego wykorzystania, poddawane są pojawiające się materiały prasowe, w tym także materiały publikowane w portalach społecznościowych oraz w serwisie YouTube".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Znachor, wiedźmin i Pan Cogito

Nowy „Znachor" okazał się fenomenem w krajach hiszpańskojęzycznych FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek z Madrytu

Po raz pierwszy w historii Polska była gościem honorowym Międzynarodowych Targów Książki LIBER w Madrycie. Czego zazdroszczą nam Hiszpanie?

Nieoczekiwany pożytek z Netflixa: na polskim stoisku w Madrycie niespodziewaną atrakcją (i sensacją) okazuje się hiszpańskie wydanie „Znachora". Czemu nie, nie mam nic przeciwko temu, by częściej tłumaczono i wysyłano w świat Tadeusza Dołęgę-Mostowicza – przynajmniej jest pewność, że nie będzie go ekranizować Agnieszka Holland. A i czasy takie, że w innych krajach też wiele mogą wyciągnąć z lektury np. „Kariery Nikodema Dyzmy". Dodajmy też, że moda na literaturę retro od ponad dekady mebluje półki księgarskie świata. Nie dziwi mnie to, zwłaszcza w przypadku literatury sprzed stulecia: żadnych przymusowych wkładek politycznej poprawności, za to dużo emocji i przygody, świetnie nakreślone postacie. No i niezaprzeczalny atut: zwykle autorzy nie żyją już od tak dawna, że można ich wydawać za darmo.

I dzieje się tak, że na gwiazdę wyrasta Higinio J. Paterna Sanchez, czyli Hiszpan zakochany w Polsce i żyjący w Krakowie, który bez żadnego specjalnego zamówienia, po prostu z własnej inicjatywy, przełożył „Znachora" na hiszpański. Czekał długo na wydawcę, ale się udało. Na półkach polskiego stoiska dwa miejscowe wydania „El Curandero", w tym jedno z twarzą Jerzego Bińczyckiego na okładce. Jak mówi hiszpański wydawca, trwają negocjacje z Netflixem w sprawie wykorzystania zdjęcia z nowej wersji filmowej – wtedy polską literaturę promował będzie swym obliczem Leszek Lichota. Tymczasem w Madrycie dyskusje o tym, czy spodoba się Hiszpanom opowieść o profesorze Wilczurze w wersji książkowej, powracają nieustannie do tego, że nowa filmowa wersja „Znachora" idzie jak burza przez światowy ranking Netflixa i plasuje się w ścisłej czołówce (w chwili gdy piszę te słowa – na drugim miejscu najchętniej oglądanych filmów na świecie). Dałby dobry Bóg, żebyśmy z książkami notowali takie wyniki.

– Nowy film „Znachor" okazał się fenomenem w krajach hiszpańskojęzycznych – mówi mi Sanchez. I wylicza – numer jeden w Argentynie, Meksyku, Hiszpanii.

TARGI DLA ZAWODOWCÓW

Wszystko to rozgrywa się na Międzynarodowych Targach Książki LIBER w Madrycie, imprezie trochę hermetycznej, ale niesłychanie ważnej. To nie jest spęd łowców okazji, którzy chcą uzupeł-

eprasa.pl cae6db74eb

nić księgozbiór o nowości w promocyjnej cenie – na targach LIBER spotykają się nie czytelnicy, lecz zawodowcy. Są to największe tego typu targi dla krajów hiszpańskojęzycznych, brama do obecności nie tylko w Hiszpanii, lecz także na większości rynków Ameryki Łacińskiej.

Polska była w tym roku gościem honorowym – po raz pierwszy w historii tej prestiżowej imprezy. A organizatorami polskiej prezentacji są Instytut Książki, Instytut Polski w Madrycie i Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Studwudziestometrowe stoisko zaprojektowane przez Jana Strumiłło skonstruowano tak, by znalazło się jak najwięcej miejsca nie tylko dla ekspozycji książek i katalogów z Polski, ale przede wszystkim dla wydawców z naszego kraju (od wielkich, jak Wydawnictwo Literackie, do małych, lecz ambitnych, jak ArtRage), którzy mogą tu spotkać partnerów zainteresowanych przekładami z polskiego i bezpośrednio negocjować.

Sprawa poważna – podczas otwarcia targów przemawia minister kultury i sportu Hiszpanii, Miquel Iceta i Llorens, jest i list od naszego ministra, czyli Piotra Glińskiego. – Jesteśmy krajami katolickimi, w obydwu krajach szczególną wartość stanowią rodzina i poczucie wspólnoty. Przez długi czas żyliśmy jednak daleko od siebie – mówi Daniel Fernández, prezes Stowarzyszenia Wydawców Hiszpańskich, który robi wrażenie głęboko zainteresowanego polską obecnością. Potem, kiedy oficjele odwiedzają polskie stoisko, sprawa się wyjaśnia. W kuluarowych rozmowach Fernández błyska nie tylko znajomością Jana Potockiego i Adama Zagajewskiego, lecz także przyznaje, że jego syn zakochał się przed laty w pięknej Polce i wyjechał do tego egzotycznego dla Hiszpanów kraju. Co zamieniło rodzinę Fernándezów w polonofilów.

A z tą egzotyką rzecz jak najbardziej prawdziwa i teraz, i kiedyś – „Życie jest snem" Pedra Calderóna de la Barki to jedna z najbardziej uznanych klasycznych sztuk teatralnych naszego złotego wieku. Akcja dzieje się w odległej Polsce. – Dlaczego właśnie tam? – pyta Daniel Fernández. I sam odpowiada: – Polska dla Hiszpanów w tamtym czasie jawiła się jako kraina bardzo odległa, gdzie mogło dochodzić do zdarzeń wręcz magicznych.

Ripostuje więc dyrektor polskiego Instytutu Książki, Dariusz Jaworski: – Przyjechaliśmy tu po to, żeby Polska była nie tylko jak jakiś dziwny kraj z Calderona. Żeby polska literatura była czytana, a poprzez literaturę żeby była rozumiana polska dusza, polska tożsamość.

Odwiedzają więc polskie stoisko miejscowi wydawcy, agenci, tłumacze, przedstawiciele agend rządowych, bez których promować w świecie ambitną literaturę jest coraz trudniej. (Był temu zresztą poświęcony jeden z paneli: „Wsparcie sektora wydawniczego przez administrację publiczną"). Zwłaszcza w kwestii przekładów zasada „siedź w kącie, znajdą cię" niespecjalnie się sprawdza. I tu kolejny powód, dla którego obecność Polski jako gościa honorowego LIBER jest ważna. W najnowszej edycji programu translatorskiego ©POLAND, prowadzonego przez polski Instytut Książki, najwięcej grantów otrzymali wydawcy z Hiszpanii – 24 przekłady na hiszpański i siedem na kataloński. Jak istotny to wkład, zobaczyłem, przeglądając katalog zbierający informacje o wszystkich wydaniach polskich książek w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej w latach 2020–2023. To niespełna 80 tytułów dla dorosłych plus ok. 50 dla dzieci. Czyli program IK odpowiada za niemal jedną czwartą.

Po kogo najchętniej sięgają tamtejsi wydawcy? Czołówka nie zaskakuje – najsilniejszą pozycję mają Andrzej Sapkowski i Stanisław Lem. Ten ostatni jest zdecydowanym liderem. „Kongres futurologiczny" ukazał się nawet w dwóch konkurencyjnych przekładach, a „Bajki robotów" – w trzech, w tym w jednym katalońskim. Jest współczesna klasyka: Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska; są trzy książki Karola Wojtyły. A z autorów najnowszych: Jacek Dukaj, Szczepan Twardoch, Olga Tokarczuk, Jan Polkowski, Żanna Słoniowska.

STARCIE KSIĄŻKI Z OBRAZKIEM

Przyglądam się uważnie pełnej ofercie hiszpańskich wydawców i spacerując po targach LIBER, widzę, że jednak pozostajemy krajem odległym, jeśli chodzi o krąg tematów. Mówimy często w Polsce, że wkład naszej kultury w kulturę Zachodu to m.in. unikatowe doświadczenie starcia z totalitaryzmami i trudnej sztuki przetrwania pod rosyjskim i sowieckim jarzmem. Prawda, ale ten kierunek mało kogo tu interesuje. Zaskakujące jest to, jak niewiele oficyn hiszpańskich publikuje rzeczy objaśniające historię Europy Środkowej, rosyjskie zagrożenie czy trwającą już ponad półtora roku otwartą wojnę Rosji z Ukrainą. Nad Ebro słabo słychać odgłosy dział znad Dniepru i niewiele wiadomo o dylematach znad Wisły. Dobrze więc, że w przygotowanym przez IK katalogu nowych pozycji wartych przekładu znalazło się miejsce dla prof. Andrzeja Nowaka czy reportażu z Ukrainy „Śniadanie pachnie trupem". Z tego punktu widzenia ciekawe zdaje mi się podejście Greków, którzy na własnym stoisku przedstawiają nie tylko klasykę i literaturę współczesną, lecz także naukowe książki historyczne.

Ale jest także coś, czym Hiszpanom imponujemy. Jednym z głównych tematów dyskusji na targach jest kwestia czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży. I tu wiadomość o tym, że udało się w Polsce przygotować w ramach programu „Mała książka – wielki człowiek" 5 mln (tak, to nie pomyłka!) wyprawek czytelniczych dla niemowląt, przedszkolaków i pierwszoklasistów, budzi lekki szok i mocną zazdrość. Oto odpowiedź na pytanie, co robić w czasach wszechobecności kultury audio-wideo.

I nawiązując do tego ostatniego wyzwania, czyli jak pomóc książce w starciu z obrazkiem, dostaję ciekawą podpowiedź od Hiszpanów podczas wręczania nagród na targach LIBER. Na gali w siedzibie Fundacji José Ortegi y Gasset-Gregorio Marañón statuetki dostają nie tylko biblioteki, księgarnie i pisarze (w tym roku Elvira Lindo znana w Polsce z serii książek dla dzieci o Mateuszku), lecz także twórcy serialu „Pacjenci doktora Garcii". Istnieje bowiem kategoria „najlepsza adaptacja literatury" i w niej wyróżnieni zostają producenci serii Netflixa na podstawie powieści Almudeny Grandes (przekładanej i u nas). To jest dobry pomysł – jeśli nie możesz ich pokonać, to wykorzystaj ich siłę i obróć na własną korzyść, wszak kino, telewizja i streaming desperacko potrzebują literackich oryginałów. Rzecz w tym, by polscy filmowcy w nadwiślańskiej odnodze Netflixa częściej ekranizowali choćby i Dołęgę-Mostowicza niż powieści Harlana Cobena.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Antony Gormley, „Bez tytułu (dla Franciszka)", 1985 r. FOT. ANTONY GORMLEY/THE NATIONAL GALLERY, LONDON

Walka miłości z czystością

Wiesław Chełminiak

Umbria, jedna z mniej obleganych przez turystów prowincji Italii, nie bez kozery nosi przydomek Mistica. Urodziło się tu wielu świętych. Najsłynniejszy z nich wierzył, że natura jest zwierciadłem Boga. W Umbrii przyszedł również na świat artysta, który nadał sztuce religijnej nowy, poetycki wymiar

Włosi odebrali im imiona i nadali nowe. Święty wielbiący wszystkie boże stworzenia naprawdę nazywał się Giovanni Bernardone. Przezwisko Francesco, czyli Francuzik, zawdzięczał pochodzącej z Prowansji matce, która nauczyła go pieśni z ojczystych stron. Z kolei Pietro Vannucci przyszedł na świat w miasteczku Castel della Pieve, lecz mając lat 20, przeniósł się do Perugii. Gdy sława malarza przekroczyła granice Umbrii, nikt już nie mówił o nim inaczej niż „Perugino".

PAPIŚCI KONTRATAKUJĄ

„Stań twarzą w twarz z jedną z najbardziej inspirujących i szanowanych postaci w historii" – zachęcają kuratorzy wystawy poświęconej życiu i dziedzictwu św. Franciszka z Asyżu. Nie zorganizowało jej żadne włoskie muzeum, lecz londyńska National Gallery. Można powiedzieć, że proces oswajania Brytyjczyków z katolicyzmem postępuje. Jeszcze w XIX w. na ulicach stolicy Zjednoczonego Królestwa palono publicznie podobizny biskupa Rzymu, politycy zaś budowali swoje kariery na (deklarowanej) niechęci do „papizmu". Masowy napływ imigrantów z Irlandii, a potem z Polski, zrobił jednak swoje. Kamieniem milowym była konwersja byłego premiera Tony'ego Blaira. Karol III, zapraszając na swoją koronację katolickich hierarchów, złamał zasady, lecz nie miał innego wyjścia. Dyskryminacja wyznania, które zaczyna dominować na Wyspach, źle przysłużyłaby się monarchii. Zwłaszcza że jej tradycyjna podpora – anglikanizm – słabnie w oczach.

Wstęp na wystawę był bezpłatny, co spodobałoby się Franciszkowi, gdyż pieniądze uważał za wynalazek diabła. Na reklamowych plakatach umieszczono fragment obrazu Francesca de Zurbarána, kiedyś z przekąsem nazywanego „malarzem mnichów", dziś ulubieńca historyków sztuki. Twarz świętego częściowo jest ukryta w cieniu. Czaszka, którą przytula do piersi, nie zmieściła się w kadrze. Wybór dzieła promującego ekspozycję z pewnością nie był łatwym zadaniem. Jeśli wierzyć ekspertom, to 100 lat po śmierci twórcy zakonu Braci Mniejszych istniało już co najmniej 20 tys. jego wizerunków. A gdyby wziąć pod uwagę iluminowane rękopisy – jeszcze więcej.

Sława ojca założyciela wymusiła na franciszkanach częściowe odejście od pierwotnych ideałów ubóstwa i skrom-

eprasa.pl cae6db74eb

ności. Jak Europa długa i szeroka, budowali wielkie kościoły i klasztory, dekorowane przez najwybitniejszych artystów. Zaczęło się od Asyżu, w którym wyrosła trzykondygnacyjna bazylika, godna przyjąć szczątki człowieka, który najbardziej ze wszystkich zbliżył się do Jezusa.

POKUSA MĘCZEŃSTWA

Giovanni Bernardone stał się radykalnym ascetą poniekąd w reakcji na raczkujący w Italii kapitalizm. Nie chciał jak ojciec służyć mamonie. Ten bunt okazał się zaraźliwy. Młodzi ludzie, często z dobrych domów, jęli porzucać ustabilizowane życie, by zostać pokutnikami i żebrakami. Chiara Favarone, przyszła św. Klara, gdy Franciszek pomógł jej uciec z domu, miała lat 18. Niektóre z jej towarzyszek były jeszcze młodsze.

Bracia mniejsi wygłaszali żarliwe kazania. Choć nie mieli żadnego przygotowania teologicznego, to zawstydzali kościelnych hierarchów swoją pokorą i pogardą dla dóbr doczesnych. Oskarżenie o herezję wisiało w powietrzu, lecz „biedaczyna z Asyżu" nie popełnił błędu Savonaroli. Zawsze deklarował posłuszeństwo Rzymowi i nie były to czcze słowa. Z kolei przychylność kurii bardzo ułatwiła ekspansję franciszkańskich idei w Europie.

Zachowały one żywotność do dzisiaj. W epoce rozpasanej konsumpcji tudzież uzależnienia od gadżetów powrót do prostego, ewangelicznego stylu życia wcale nie wydaje się szalonym pomysłem. Do idei Franciszka, oprócz jego imiennika papieża, odwołują się jednak również zdeklarowani ateusze. Widzą w świętym z Umbrii opiekuna biednych i chorych, a przede wszystkim społecznego radykała, pacyfistę, pioniera ekologii, obrońcę praw zwierząt, a nawet zwolennika dialogu z innymi religiami.

W rzeczywistości żadnego dialogu nie było. Franciszek, chcąc nawrócić Saracenów, postanowił wyprawić się do Hiszpanii (której południową częścią wciąż władali muzułmanie) i Maroka. W wypełnieniu straceńczej misji przeszkodziła mu choroba, lecz kilku Braci Mniejszych dotarło do celu. Zostali pobici, gdy ogłosili w meczecie, że Mahomet był szalbierzem, a Koran to stek bzdur. Uzyskawszy audiencję u miejscowego władcy, powtórzyli owe tezy, osiągając

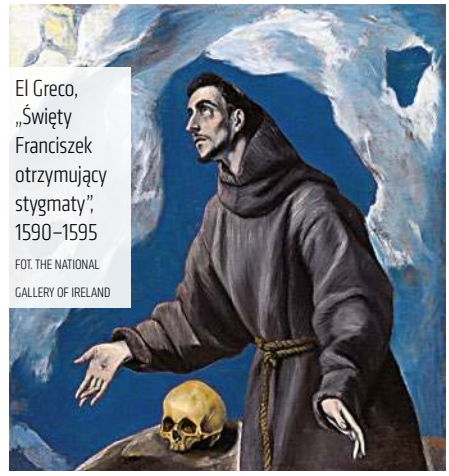

El Greco, „Święty Franciszek otrzymujący stygmaty", 1590–1595

FOT. THE NATIONAL GALLERY OF IRELAND

cel: śmierć męczeńską. Kilka lat później superior dołączył do armii krzyżowców próbujących opanować Egipt. Sułtan go przyjął i wysłuchał, lecz islamu się nie wyrzekł.

Rogu, podarowanego mu przez Malika Al-Kamila, Franciszek używał ponoć, by zwoływać braci do modlitwy. Był on eksponatem w Londynie, podobnie jak wystrzępiony i połatany habit (sprowadzony z florenckiego kościoła Santa Croce) i jeden z dwóch zachowanych listów, skreślonych własnoręcznie przez świętego. Na wystawie dominowały jednak nie relikwie, lecz dzieła sztuki.

BRAT SŁOŃCE, SIOSTRA ZIEMIA

Cykl malowideł Sassetty, ilustrujący najważniejsze epizody z życia Franciszka, z całym szacunkiem dla XV-wiecznego artysty ze Sieny nie wytrzymuje porównania z freskami Giotta zdobiącymi górną część sanktuarium w Asyżu. Esteci mogą jednak kontemplować dzieła takich mistrzów jak: Fra Angelico, Botticelli, Altdorfer, Caravaggio, Murillo, El Greco czy wspomniany Zurbarán. Najstarszym artefaktem jest retabulum z połowy XIII w., przedstawiające pośmiertne cuda świętego, najmłodszymi są prace abstrakcjonistów oraz egzemplarz komiksu Marvela „Francis, Brother of the Universe" z 1980 r.

Jedną z sal dedykowano „ekologicznym" pasjom „biedaczyny z Asyżu", który nazywał wszystkie stworzenia braćmi i siostrami, a nawet głosił kazania ptakom. Dziwiętnastowieczny obraz Luca Oliviera Mersona przypomina najsłynniejszą z franciszkańskich legend – o wilku z Gubbio. Nasz bohater przekonał drapieżnika, by zaniechał ataków na ludzi i przeszedł na miejski wikt. W napisanym u schyłku życia hymnie dziękował zaś Bogu za słońce, księżyc, powietrze, wodę, ogień i ziemię.

„Pochwałę stworzenia", pierwszy w historii wiersz napisany po włosku, w XX w. wzięli na sztandary fanatycy głoszący konieczność obrony planety przed ludzką cywilizacją. Bywały już w historii gorsze nadużycia – Mussolini np. zrobił z Franciszka patrona faszyzmu.

Francuski filozof i historyk Ivan Gobry widział w „biedaczynie z Asyżu" wrażliwca, który, rozczarowany światem, zwrócił się w stronę duchowości. Z fenomenem człowieka, który już za życia miał opinię świętego, kilkanaście razy zmagało się kino, lecz efekty trudno uznać za zadowalające. Filmy Roberto Rosselliniego, Franco Zeffirellego i Michaela Curtiza (tego od „Casablanki") bardzo się zestarzały. Liliana Cavani, obsadzając w tytułowej roli Mickeya Rourke, który w 1989 r. był hollywoodzkim symbolem seksu, zyskała rozgłos i nic ponadto.

W KRAINIE ŁAGODNOŚCI

Perugino, drugi z Umbryjczyków, którego sława przekroczyła granice Italii, urodził się w połowie XV w. W tym roku minęła okrągła, pięćsetna rocznica śmierci malarza. Kto liczył, że jakieś wielkie muzeum zorganizuje z tej okazji retrospektywę, zawiódł się srodze. Kulturalna Europa i Ameryka w tym sezonie czciły Picassa, któremu zmarło się w roku 1973. O twórcy archetypu renesansowej Pięknej Madonny pamiętali tylko jego ziomkowie. W głównej siedzibie Museo Nazionale dell'Umbria w Perugii przez trzy miesiące można było podziwiać arcydzieła Pietra Vannucciego, wypożyczone z innych miast włoskich (najwięcej z florenckiej Gallerie degli Uffizi), a także z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec i ze Stanów Zjednoczonych.

Współcześni, mówiąc o jego sztuce, często używali przymiotnika „anielska". Dzisiejsi esteci chętniej używają terminu „magiczny realizm". Perugino nie unikał emocji, ale je łagodził. Większość jego dzieł rozpoznaje się na pierwszy rzut oka. Przesyca je melancholia. Świat jest piękny, nawet jeśli rozgrywają się w nim tragedie i dramaty – zdaje się mówić artysta. Jeden z krytyków nazwał Umbryjczyka „malarzem muzykiem".

eprasa.pl cae6db74eb

Rzeczywiście kompozycja jego prac zawsze jest nienaganna. Miał też oko do szczegółów i pejzażu, potrafił oddać ruch oraz perspektywę.

Z wykończeniem bywało gorzej, ale to już wina pomocników mistrza. Vannucci, chcąc nadążyć z realizacją zleceń, zorganizował bowiem (być może jako pierwszy nowożytny artysta) „fabrykę obrazów".

Zważywszy, że na tym procederze cierpiała jego reputacja, wolno sądzić, iż bardziej niż o zysk chodziło o zdominowanie rynku.

Ojciec Pietra był prawie tak samo bogaty jak tato św. Franciszka. Toskański szowinista Vasari, który uwielbiał oczerniać artystów z innych stron Italii, twierdził jednak, że młody Perugino klepał biedę i chwycił za pędzel dla pieniędzy. Biorąc pod uwagę społeczną hierarchię quattrocenta, możemy tę opinię włożyć między bajki. Czasy, w których malarzy i rzeźbiarzy ceniono wyżej niż zwykłych rzemieślników (o kupcach, bankierach i ziemianach nie wspominając), miały dopiero nadejść.

Vannucci spędził zresztą jakiś czas we Florencji. Widywano go w warsztacie Andrei del Verrocchia, nauczyciela Leonarda. Ojciec Rafaela popełnił rymowaną kronikę, w której Da Vinci i Perugino pojawiają się jako „młodzi mężczyźni, równi wiekiem i miłością", ale tylko drugi z nich zasługuje na miano „boskiego malarza". Pietro i Leonardo zapisali się do Bractwa Świętego Łukasza, które bardziej niż związek zawodowy przypominało klub towarzyski. Drogi obu panów wkrótce się jednak rozeszły – papież Sykstus IV zlecił Umbryjczykowi kierownictwo zespołu dekorującego Kaplicę Sykstyńską w Watykanie, da Vinci wyjechał zaś szukać szczęścia w Mediolanie.

MISTRZ PATRZY SPODE ŁBA

W ostatniej dekadzie XV w. Vannucci jest niekoronowanym królem włoskich malarzy. Sporo podróżuje, dociera aż do Neapolu. Wśród jego klientów są Wawrzyniec Medyceusz i rzymski bankier Mariano Chigi. Wenecki senat prosi, by raczył ozdobić freskami pałac Dożów. Umbryjczyk portretuje możnych tego świata, lecz największą sławę zdobywają wizerunki Matki Boskiej i świętych, zamawiane przez instytucje kościelne

Andrea Büttner, „Vogelpredigt" („Kazanie do ptaków"), 2010 r.

FOT. PRIVATE COLLECTION/ANDREA BÜTTNER

Sassetta, Ołtarz San Sepolcro, 1437–1444

FOT. THE NATIONAL GALLERY, LONDON

tudzież do prywatnej konfesji. Madonny Perugina prezentują jeden typ urody, ale – jak słusznie zauważył historyk sztuki Ernst Gombrich – nikomu, włącznie z autorem, nie przyszłoby do głowy, by zebrać je w jednym pomieszczeniu i porównywać. Każda trafiała w inne miejsce i tylko tam mogła być podziwiana.

Liryczna matka Jezusa, która na stałe podbiła wyobraźnię chrześcijan, miała swój ziemski pierwowzór. Chiara Fancelli, córka architekta, wyszła za Perugina, choć był od niej o ponad 20 lat starszy. Vasari nie omieszkał dodać, że Pietro zaliczał się do zaborczych mężów. Niechętnie wypuszczał lubą z domu, osobiście ją czesał i wymyślał eleganckie fryzury.

W 1504 r. malarza spotkał afront ze strony innej kobiety. Przemądrzała Izabela d'Este, mająca się za pierwszą damę renesansu i kulturalną wyrocznię, skrytykowała „Walkę miłości z czystością" – wielki obraz, który sama u niego wybłagała. Dzieło, dziś znajdujące się w zbiorach Luwru, istotnie jest pozbawione duszy. Mistrz przyłożył się tylko do krajobrazu, mitologiczne postacie przypominają marionetki. Może po prostu nie lubił pogańskiej mitologii?

Afera z księżną Mantui była sygnałem, że gwiazda mistrza z Umbrii powoli gaśnie. Włosi znaleźli nowych ulubieńców: Rafaela, Michała Anioła i Tycjana, których okrzyknęli „boskimi". Vannucci pozostał wierny stylowi, który przyniósł mu sukces, choć na starość chętniej stosował efekty świetlne tudzież intensywne kolory. Po śmierci Rafaela dokończył jego fresk w kaplicy San Severo w Perugii, ściśle trzymając się reguł quattrocenta. Częściowo zachowane malowidło jest jedną z pomniejszych atrakcji turystycznych miasta, stolica Umbrii może się bowiem poszczycić wieloma cenniejszymi zabytkami, np. arcydziełem z Collegio del Cambio. Perugino, wykonując to zlecenie, był u szczytu artystycznej formy, lecz autoportret dołączony do imponującej, alegorycznej kompozycji ukazuje twarz człowieka nadąsanego.

PIĘĆ ODCIENI ŻAŁOBY

Czyżby mistrz już wtedy przewidywał, że potomni uznają jego sztukę za nazbyt utemperowaną, pobożną i przesłodzoną? Charakterystyczne dla renesansu dążenie do ideału oraz harmonii zostało zbanalizowane przez pokolenia średnio utalentowanych klasycystów. Trudno nazwać Perugina twórcą zapomnianym; koneserzy go cenią, lecz vox populi orzekł, że nie ma dlań miejsca w panteonie. Nawet na jubileuszowej wystawie Perugina zwiedzający więcej uwagi poświęcali obrazom Botticellego, Verrocchia i Rafaela. Spore zainteresowanie wzbudzał również Luca Signorelli, twórca ołtarza św. Onufrego. No cóż, cielesność, preferowana przez malarza z Cortony (który był rówieśnikiem Vannucciego) ma teraz większe wzięcie niż uduchowienie.

Jak na ironię w tej samej sali kuratorzy umieścili arcydzielną „Pietę", wypożyczoną z Gallerii degli Uffizi. To kompozycyjny majstersztyk i koronny dowód, że Perugino był najbardziej subtelnym artystą epoki. Sine ciało Zbawiciela, podtrzymywane przez św. Jana, spoczywa na kolanach matki, jakby skamieniałej z bólu. Na twarzach Nikodema i Józefa z Arymatei rysują się smutek oraz rezygnacja. Maria Magdalena po prostu płacze, odwracając wzrok od martwego oblicza Jezusa. Gdyby Giovanni Bernardone, czyli św. Franciszek, mógł zobaczyć ten obraz, na pewno byłby zachwycony.

Wystawę „Il meglio maestro d'Italia. Perugino nel suo tempo" w Gallerii Nazionale dell'Umbria w ciągu trzech miesięcy obejrzało ponad 102 tys. ludzi. Ekspozycja „Saint Francis of Assisi" w londyńskiej National Gallery była otwarta do 30 lipca.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Harcerskie ścieżki

Otwarte w ostatnich dniach września Muzeum i Centrum Ruchu Harcerskiego – Oddział Muzeum Krakowa – powstało z inicjatywy Związku Harcerstwa Polskiego Chorągwi Krakowskiej oraz Okręgu Małopolskiego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. I to obie te organizacje harcerskie, przy współpracy Muzeum Krakowa, stworzyły wystawę stałą – „Harcerskie ścieżki".

FOT. MUZEUM I CENTRUM RUCHU HARCERSKIEGO

Składa się ona z dwóch części. Pierwsza z nich jest opowieścią o historii harcerstwa, „zaczyna się od momentu powstania ruchu, na początku XX w. Prezentuje kilka ciekawych wątków z dziejów organizacji: wyprawę Fordem T dookoła świata [...], udział harcerzy w konspiracji podczas II wojny światowej, odrodzenie harcerstwa w okresie PRL-u [...]." Kończy się na czasach współczesnych i opowiada o tym, jak dziś harcerstwo wychowuje młodzież. Część druga to specjalna gra, w której przyda się znajomość harcerskich sprawności.

Muzeum mieści się w forcie Jugowice przy ul. Fortecznej 28. ©℗

GDZIE? ***Kraków,***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ODZYSKANE ŚREDNIOWIECZE

Prezentowane na wystawie sześć średniowiecznych rękopisów (a wśród nich jeden z najcenniejszych zabytków języka polskiego – „Kazania świętokrzyskie") to część znalezisk Aleksandra Brücknera, jednego z największych slawistów i historyków polskiej kultury. Wystawa „Brückner. Średniowiecze odzyskane" towarzyszy przeniesieniu prochów Aleksandra i Emmy Brücknerów z likwidowanego cmentarza Tempelhofer Parkfriedhof w Berlinie do Krakowa. ©℗

GDZIE? ***Biblioteka Narodowa w Warszawie***
KIEDY? ***do 6 listopada***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ego vs. arcydzieło

Wydana 1 marca 1973 r. płyta „The Dark Side of The Moon" zespołu Pink Floyd rozeszła się do dziś w ponad 45-milionowym nakładzie. Jest to obecnie trzeci najpopularniejszy album wszech czasów. Pół wieku później Roger Waters, główny autor tego wybitnego dzieła, postanowił go zreinterpretować.

Głównym powodem spektakularnej porażki nowej wersji jest wybujałe ego Rogera Watersa. Jego reinterpretacja „Ciemnej strony" sprowadziła się do trzech zabiegów. Pierwszym było usunięcie instrumentalnych solówek, co jest kolejną zemstą na Davidzie Gilmourze, który śmiał bez niego kontynuować działalność Pink Floyd. Drugim – wykonanie utworów w spowolnionym tempie, dzięki czemu uwaga jest bardziej skoncentrowana na słowach niż muzyce. Trzecim – wprowadzenie do narracji albumu współczesnych rozmyślań Rogera na temat kondycji świata czy śmiertelności. Roger nie chciał, aby jego przekaz był zakłócany przez gitarowe solówki, wokalizy, zmiany tempa czy efekty dźwiękowe, z których album wcześniej zasłynął. Dziś swym mamroczącym głosem recytuje prawdy objawione, które są niczym innym jak frustracjami zgorzkniałego gwiazdora. Zdecydowanie bardziej polecam kolejne przesłuchanie oryginalnej płyty, która dla wielu osób jest symbolem czasów, kiedy muzyka rockowa miała znaczenie. ©℗

★★☆☆☆☆
ROGER WATERS „THE DARK SIDE OF THE MOON REDUX"
COOKING VINYL

★★★★★☆
HANIA RANI „GHOSTS"
GONDWANA RECORDS

Pierwsza prawdziwie rozśpiewana płyta Hani. Pianistka kreuje na niej świat duchów współistniejących wraz z ludźmi. Nowością są zagraniczni goście oraz przestrzennie brzmiące syntezatory. Piękna płyta, na której nastroje mienią się dźwiękowymi barwami.

★★★★★☆
CREATION REBEL „HOSTILE ENVIRONMENT"
ON-U SOUND

Triumfalny powrót pionierów brytyjskiego reggae, którzy po 41 latach przerwy wydali nową płytę. Producent Adrian Sherwood wraz z trzema członkami kolektywu stworzył dubowo-psychodeliczny album pełen wolnościowych przesłań i popowych melodii. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Módl się i pracuj

★★★★☆☆

REŻ. ALEJANDRA MÁRQUEZ ABELLA „DALEKO OD DOMU" („A MILLION MILES AWAY") USA 2023

wyst. Michael Peña, Rosa Salazar
dystr. Amazon Prime

Oto film wyjątkowy poprzez swoją normalność. Opowieść o meksykańskim imigrancie, który pragnie zrealizować swoje wielkie marzenie – lot w gwiazdy – to jednocześnie opowieść o rodzinie, ciężkiej pracy, poświęceniu i pamięci. Nic z tego, co wymieniłem, nie jest tu wyszydzane. Wręcz przeciwnie: José Hernández znajdzie się tam, dokąd zmierza, właśnie dzięki wszystkim tym elementom, a nie wbrew nim. Trudno dziś o takie historie w kinach i w streamingu.

Musisz wiedzieć, czego pragniesz; musisz wiedzieć, jak osiągnąć cel; musisz wiedzieć, w którym miejscu drogi się znajdujesz. A kiedy myślisz, że osiągnąłeś sukces, musisz pracować jeszcze bardziej. Życiowa porada ojca głównego bohatera jest dla Jose inspiracją i busolą. Uboga rodzina z meksykańskiego stanu Michoacán przybywa do USA, by wieść niełatwe życie wędrownych robotników rolnych. Aby dać najbardziej uzdolnionemu z czworga dzieci chłopakowi szansę na naukę, rezygnują z powrotu w rodzinne strony i decydują się zapuścić korzenie na obczyźnie. Ale swoich zasad nie porzucają – nie oni jedni. W świecie filmu „Daleko od domu" naturalne jest, że chłopak spotkać się może z dziewczyną jedynie za zgodą i w obecności jej rodziców, że aby ją zdobyć, musi ją poślubić, że naturalną koleją rzeczy pojawią się dzieci, które – co oczywiste – zostaną ochrzczone. Marzący o transgresjach i dekonstrukcjach krytycy muszą zgrzytać zębami. I zgrzytają, zarzucając filmowi nadmierną konwencjonalność. To, co ich irytuje, dla mnie jest siłą tej opowieści.

„Czemu gwiazdy?" – pyta kuzyn dorosłego już Jose. „Nie wiem. Może dlatego, że za długo grzebałem rękami w ziemi" – odpowiada meksykański inżynier, który dzieciństwo spędził, zbierając plony, które zjeść mieli inni. Pogardzany imigrant miał do NASA drogę trudniejszą od innych, tak jak czarnoskóre matematyczki przypomniane przez film „Ukryte działania". Ale najważniejsze pozostaje to, że nikt ci nie pomoże, jeśli nie pomożesz sobie sam. „Mogę być lepszy, niż jestem, a potem jeszcze lepszy, a mimo to nie mam pewności, że mnie wybiorą" – mówi Hernández. Cóż, tak jest w każdym zawodzie: najciężej trenujący sportowiec nie ma gwarancji medalu, najbardziej pracowity pisarz nie dostanie gwarancji miłości czytelników i literackich laurów. Nie znaczy to, że nie należy próbować. ©℗

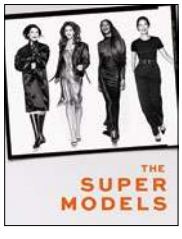

NOWE SERIALE: „SUPERMODELKI"

Naomi Campbell, Cindy Crawford, Linda Evangelista, Christy Turlington – ikony mody lat 80. opowiadają o blaskach i cieniach (uzależnienia, samotność i dziwne propozycje) kariery. Jak w przypadku każdej biografii autoryzowanej sporo tu banałów, ale mimo wszystko dostajemy ciekawy obraz życia za kulisami świata glamour. Pomińmy więc pretensjonalność; skupmy się na tym, co piękne. A reżyser sroce spod ogona nie wypadł – Williams zdobył Oscara za krótki metraż w 2009 r. ***Piotr Gociek***

• *reż. Roger Ross Williams, Larissa Bills* ***„Supermodelki"****, USA 2023* tv

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Frasier"****, USA 2023* sky SHOWTIME

• *miniserial* ***„Ciała" („Bodies")****, USA 2023* N

• *reż. Thomas von Steinaecker* ***„Werner Herzog. Radykalny marzyciel"****, Niemcy/USA 2022* CANAL+ ONLINE

eprasa.pl cae6db74eb

Był jazz

KINO

Skład podstawowy, czyli sześciu wspaniałych. Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz (saksofon), Andrzej „Idon" Wojciechowski (trąbka), Witold „Dentox" Sobociński (perkusja), Witold Kujawski (kontrabas) oraz pianiści: Andrzej Trzaskowski i Krzysztof Komeda. Zanim trafili na scenę filharmonii, grali do tańca. Znajomość nut nie była ich mocną stroną. Jazzu uczyli się, słuchając zakazanych stacji radiowych. Siedemdziesiąt lat temu synkopowane rytmy mogły uchodzić za substytut wolności, przede wszystkim dla muzyków pragnących improwizować, ile dusza zapragnie. Symbolem politycznej i obyczajowej odwilży okrzyknięto je później. Wpływ Melomanów na polską kulturę nie skończył się wraz z rozpadem tej supergrupy. Sobociński stanął za kamerą, Matuszkiewicz komponował zaś chwytliwe tematy do filmów i seriali.

Autorzy dokumentu podróżują śladami Melomanów do Krakowa, Łodzi, Ustronia Morskiego i Sopotu (tam jazz definitywnie wyszedł z katakumb). Odnaleźli nawet samolot, którym „Duduś" i spółka latali na koncerty. Wówczas była to muzyka dla młodych, grana przez młodych. Dziś jest domeną koneserów, niszą intrygującą muzyków szukających inspiracji w przeszłości. Takich jak rockman Marcin „Bzyk" Bąk, narrator filmu. Z całym szacunkiem dla dokonań bohaterów chciałbym jednak zauważyć, że w Polsce jazz grano już przed wojną.

★★★★☆☆
REŻ. RAFAŁ MIERZEJEWSKI
„NA ZAWSZE MELOMANI"
POLSKA 2022

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIES ZWANY ALASKĄ

Rakuten

Magiczny realizm po niemiecku. W cichym zakątku Westerwaldu niby wszyscy się znają, lecz każdy coś ukrywa. Matka głównej bohaterki nie kocha męża dentysty. Jej serce bije dla sprzedawcy lodów – Greka udającego Włocha. Przyszywany dziadek okulista słyszy głosy jak Joanna d'Arc. Babcia miewa złowróżbne sny, które wywołują panikę w wiosce. Narratorkę nękają zaś wizje godne Kasandry. Ekranizacja wydanej również u nas powieści Mariany Leky cynikom wyda się banalna i ckliwa. Widzowie bardziej wrażliwi podczas seansu ani chybi sięgną po chusteczki. Zdaniem terapeutów dla zdrowia psychicznego dobrze jest czasem spojrzeć na świat i ludzi oczami dziecka (które w końcu musi dorosnąć). A śmierć? Nie potrzebujemy niemieckich pośredników, żeby ją oswoić. Wystarczy nam uzbrojona w kosę hoża dziewoja z obrazów Malczewskiego tudzież Witkacy, twierdzący, że bez śmierci życie byłoby przerażająco nudne.

★★★★☆☆
REŻ. ARON LEHMANN
„SEN O OKAPI" („WAS MAN VON HIER AUS SEHEN KANN")
NIEMCY 2022

wyst. Luna Wedler, Corinna Harfouch, Karl Markovics

RANDKA Z KOCIARZEM

KINO

Czarna komedia, dreszczowiec i melodramat w jednym. Studentka wdaje się w on-line'owy flirt ze starszym facetem, o którym nic nie wie (i wiedzieć nie chce). Zderzenie z rzeczywistością okaże się obustronnie bolesne. Margot ma bowiem nader wybujałą wyobraźnię, Robert zaś tak często oglądał filmy z Harrisonem Fordem, że do cna zdziwaczał. Opowiadanie „Kociarz", opublikowane na łamach „New Yorkera", uznano za przenikliwy portret pokolenia millenialsów, które miota się między lękiem przed samotnością a seksualnym rozpasaniem. Takie diagnozy z reguły grzeszą jednostronnością, lecz papier jest cierpliwy, wszystko zniesie. W kinie literackie koncepty często tracą moc, a publiczność oczekuje, że chociaż jedna z postaci da się lubić. Dzieło Susanny Fogel owego warunku nie spełnia. Co ciekawe, kobiety są tu bardziej antypatyczne od mężczyzn. Signum temporis?

★★★☆☆☆
REŻ. SUSANNA FOGEL
„NIEBEZPIECZNY KOCHANEK" („CAT PERSON")
USA 2023

wyst. Emilia Jones, Nicholas Braun, Geraldine Viswanathan

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „EA SPORTS FC 24"

Koniec starej i początek nowej epoki polegający na porzuceniu nazwy FIFA w grach piłkarskich od EA przebiegł – co było do przewidzenia – bez rewolucji. Nowości to m.in. mieszane, damsko-męskie składy Ultimate Team (co wzbudziło mieszane uczucia i jeszcze bardziej odrealniło i tak dość odbiegającą od prawdziwych boisk serię), przebudowane menu, tryb ewolucji w UT, odświeżony gameplay i inne drobne nowości. Niezależnie od nazwy jest to najlepsza gra piłkarska i nic nie wskazuje na to, by została prędko zdetronizowana. ***Radosław Wojtas***

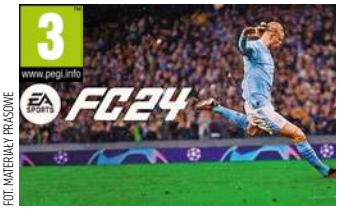

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *sportowa*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *EA Sports, Electronic Arts*

eprasa.pl cae6db74eb

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mrożek w złym humorze

Pozwoliłem sobie zatytułować ten tekst świetnym sformułowaniem Jarosława Marka Rymkiewicza, którym opatrzył swą książkę o Aleksandrze Fredrze. Sławomir Mrożek, bohater wydanej właśnie biografii pióra Anny Nasiłowskiej, w złym humorze bywał na ogół, bo „… był trudnym człowiekiem, miał wyraźny neurotyczny rys, jego postępowanie nie było wolne od sprzeczności i cechował go egotyzm". Cóż z tego jednak? Był znakomitym dramaturgiem, którego sztuki, nawet te mniej udane, pozostają w absolutnym kanonie teatralnym, niezależnie od dąsów twórców młodszego pokolenia, za złe mającym autorowi „Tanga" budowanie dialogów z całych, poprawnie skonstruowanych zdań, ostatnimi laty wypartych przez rozpanoszony na scenicznych deskach bluzg.

Asertywny ponad miarę, wycofany, Mrożek niemal od zawsze budził ciekawość, może właśnie na skutek swojej, jak by to ujął Marcin Świetlicki, nieprzysiadalności. Legendarne były jego wywiady sprowadzające się zazwyczaj do kilku ogólników, odburknięć, „tak" lub „nie". Potrafił być jednak uroczy i to nie wyłącznie w stosunku do pań, za którymi przepadał. Ale żony (miał dwie) miały z nim nielekko. Pod koniec życia dowiedział się, że ma córkę, już dorosłą. Był już wtedy bardzo chory i „na pewno – pisze Anna Nasiłowska – nie mógł stać się tym, kim nigdy nie chciał się stać: patriarchalnym, dominującym ojcem, który budzi strach". Jego obawa przed ojcostwem nie wynikała zresztą ze złych wspomnień; z ojcem nie mógł się dogadać, wspólny język znaleźli dopiero u schyłku życia Antoniego Mrożka, ale o żadnych poważnych konfliktach rodzinnych mowy być nie może. Odnośnie do dzieci zaś ważniejsze wydaje się co innego – skoro do rozpaczy doprowadzała go chłodząca się lodówka, a szmery za ścianą uniemożliwiały pisanie, to uznał, że musi zrezygnować: i z dzieci, i z lodówki.

Autorka biografii Mrożka nie kryje Mrożkowych dziwactw, natręctw, nawyków i nałogów, nie usprawiedliwia go też z czynów, najdelikatniej mówiąc, niepięknych. Ale – co najważniejsze – nie dezawuuje jego mitu, nie atakuje go, nie kryjąc, że Mrożek to jeden z pięknych mitów jej literackiej młodości. Może dlatego, że i mojej także, z tym większą przyjemnością czytałem „Mrożka. Biografię". Cóż tu wiele mówić, skoro przez całe życie nie widziałem spektaklu, który zrobiłby na mnie takie wrażenie jak „Tango" w reżyserii Erwina Axera grane w warszawskim Teatrze Współczesnym, z m.in. Mieczysławem Czechowiczem jako Edkiem i Barbarą Ludwiżanką jako Eugenią. Było to moje inicjacyjne spotkanie z wielkim teatrem i po części pewnie dlatego niezapomniane, ale z przeczytanej książki wynika, że i jej autorka dobrze zapamiętała swój wieczór z „Tangiem" granym przy ulicy Mokotowskiej.

Siedmiusetstronicowa biografia ze szczegółami opowiada o młodości i jego uporczywej wspinaczce na literackie szczyty, na których się znalazł, w pewnym czasie wydawany i wystawiany na całym świecie, a nawet wymieniany jako kandydat do Nagrody Nobla. Skupia się też na najważniejszych momentach w jego życiu, na decyzjach ważących nie tylko na jego osobistych losach, lecz także na twórczości. Takimi były m.in. wystąpienie z PZPR w 1959 r. (wcześniej, niestety, podpis pod złożonym w 1953 r. potępieniem księży skazanych w procesie krakowskiej Kurii za rzekome szpiegostwo i posiadanie walut!), w 1968 r. protest przeciw inwazji państw Układu Warszawskiego, w tym Polski, na Czechosłowację czy niesłusznie zapomniany indywidualny protest po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Ze spraw niepolitycznych zwraca uwagę świetny opis spotkania z Gombrowiczem, gdy ten w 1965 r. przyjechał z Ritą na wakacje do Chiavari we Włoszech, gdzie mieszkał wówczas Mrożek.

Profesor Anna Nasiłowska umiejętnie łączy wręcz dziennikarską opowieść z literaturoznawczą wiedzą i doświadczeniem, które pozwalają jej umiejętnie poruszać się po meandrach twórczości Mrożka, także i tej lotów może nie najwyższych, że wspomnę tu „Alfę", a także „Szczęśliwe wydarzenie", a w mniejszym stopniu „Krawca", „Wielebnych" czy „Miłość na Krymie". W 1991 r., co Nasiłowska nieprzypadkowo przypomina, spytano go w Ameryce, w którym stuleciu chciałby żyć.

Odpowiedział, że w oświeceniu. Mnie kojarzy się ta epoka z upadkiem Polski i myślę o niej jak najgorzej. A Mrożek, cóż, wyciągał wnioski z tego, że „wolał Polskę racjonalną, inteligentną i dowcipną od patetycznej, tak jak wolał zdania dobrze napisane od rozwlekłych i niedokończonych, choćby dyktowało je natchnienie. A nad wszystko przedkładał rozum, dobrze wiedząc, że i w niego należy czasem wątpić". ©℗

★★★★☆☆

ANNA NASIŁOWSKA „MROŻEK. BIOGRAFIA" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2023

eprasa.pl cae6db74eb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Serce Ameryki

Wiele książek Johna Steinbecka podziwiam, ale tę jedną naprawdę lubię – śmieję się w głos podczas lektury, bo rzecz jest urocza i zawadiacka. Jest także dużo mądrzejsza, niż zdawać by się mogło z pierwszego wrażenia, a przecież to niby tylko pełna anegdot relacja z włóczęgi.

Jest oto rok 1960, 58-letni pisarz stwierdza: „Odkryłem, że nie znam własnego kraju. Ja, pisarz amerykański piszący o Ameryce, pracowałem z pamięci, a pamięć jest w najlepszym razie niedoskonałą, spaczoną zbiornicą". Aby odnaleźć duszę Ameryki, kupuje kamper (ochrzci go „Rosynantem"), ładuje doń skrzynie książek, garnków i napojów wyskokowych, po czym wyrusza w podróż, która liczyć będzie 10 tys. mil. Przemyślenia o samej naturze podróżowania, relacje z rozmów z napotkanymi ludźmi – to już jest proza najwyższej jakości i – jak wspomniałem – często bardzo zabawna.

Jednak to dopiero początek. „Podróże z Charleyem" (tak zowie się pies, z którym pisarz ruszył w drogę) są w jednakowym stopniu autobiografią noblisty. Z luźnego potoku anegdot, obserwacji, wspomnień wyłania się portret Steinbecka, który traktuje siebie samego z dawnych lat tak, jak wszystkich napotkanych w podróży. Co ciekawe – zapisze, co zabawne – łagodnie wykpi, co mądre – rzuci niby od niechcenia, ale wiedząc, że dostrzeżemy, co trzeba. Podróż w poszukiwaniu serca duszy i serca Ameryki okazuje się także podróżą do duszy i serca pisarza. Steinbeck wiedział, że umiera – tak przynajmniej twierdzi jego syn – i tak naprawdę w każdej chwili mógł odejść z tego świata. Zdaniem Thoma Steinbecka była to podróż pożegnalna i rodzina zdumiona była, że ówczesna żona pisarza w ogóle mu na taką eskapadę pozwoliła.

Los nie okazał się okrutny, dał Steinbeckowi jeszcze 10 lat życia. Nie zmienia to faktu, że „Podróże z Charleyem" okazały się książką pożegnalną, bo potem ukazywały się już tylko składanki drobnych artykułów oraz kolekcje pośmiertne. Co znalazł pisarz w drodze? Tu dochodzimy do skarbu, którego nie doceniono w czasach premiery, a który lśni przed nami teraz: wielkie zbiorowe przekonanie, że świat stał się nie do pojęcia, nie do ogarnięcia, że dzieje się zbyt wiele i zbyt szybko. Przeczucie nowoczesności jest od początku przeczuciem chaosu i zagubienia. To, co Amerykanie mówili Steinbeckowi pół wieku temu, my widzimy za oknem. ©℗

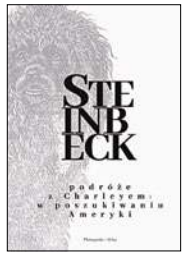

★★★★★☆
JOHN STEINBECK „PODRÓŻE Z CHARLEYEM" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zapomniana klasyka powraca. Druga powieść autora „Nadberezyńców" to także słynnej książki kontynuacja, choć z nowym bohaterem. Czas akcji: wiosna, lato roku 1920.

FLORIAN CZARNYSZEWICZ „WICIK ŻYWICA" ARCANA

„Księżniczka w cieniu gilotyny" (podtytuł) to biografia najmłodszej siostry Ludwika XVI. Kobieta silna i przedsiębiorcza, nie opuściła monarchy nawet wtedy, gdy odeszli inni. Stracono ją, gdy miała 30 lat.

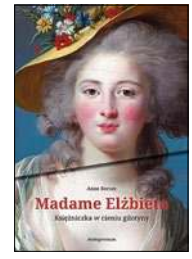

ANNE BERNET „MADAME ELŻBIETA" INSTYTUT ANDEGAVENUM

Były dowódca 10. Eskadry Lotnictwa Taktycznego w Łasku (opisał swą karierę w książce „Pilot F-16") debiutuje jako powieściopisarz świetnym thrillerem, którego akcja rozgrywa się w ogarniętej wojną Syrii.

MARCIN MODRZEWSKI „STRACH" WARBOOK

Kilkadziesiąt opowieści z pierwszego wydania „Baśni dla dzieci i domu" (1812–1815), dużo bardziej makabrycznych niż późniejsze uładzone wersje. Zatem: bracia Grimm nieznani.

recenzuje Piotr Gociek

BRACIA GRIMM „ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE, PÓKI NIE UMARLI" DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA: „BRADL", CYKL II, T. 1

Po pięciotomowej serii pierwszej przyszedł czas i na drugą – oby pojawiły się kolejne. Bohaterem komiksu jest Kazimierz Leski ps. Bradl, legenda wywiadu i kontrwywiadu AK. Tym razem poznajemy wydarzenia z roku na terenach okupowanej Francji w dwóch opowieściach: „Ostatni pasażer do Berlina" i „Cote Dangereuse". Wstęp historyczny: Sebastian Pawlina. Bradl pełni swą misję w przebraniu niemieckiego generała.

Piotr Gociek

MAREK OLEKSICKI „BRADL", CYKL II, T. 1 MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO EGMONT 2023

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. ADOBE STOCK

Cyfrowy makkartyzm

eprasa.pl cae6db74eb

Jakub Wozinski

Mimo że każda kolejna odsłona afery „Twitter Files" demaskowała przez kilka miesięcy coraz bardziej szokujący mechanizm politycznej manipulacji na wielką skalę, wiodące media najzwyczajniej w świecie odmawiały informowania o niej. Przestrzeń dla niezależnego obiegu informacji niebezpiecznie zawęża się nawet w takim kraju jak Stany Zjednoczone

Na początku grudnia ubiegłego roku znany amerykański dziennikarz śledczy Matt Taibbi opublikował na swoim twitterowym koncie pierwszy z serii bogato udokumentowanych wpisów, ukazujących, w jaki sposób ścisłe kierownictwo Twittera na polecenie służb specjalnych i polityków najwyższego szczebla dopuszczało się niezliczonych manipulacji oraz aktów bezprawnej cenzury w związku z kampanią przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. oraz wieloma innymi wydarzeniami. Taibbi był dotąd znany głównie z tego, że po ostatnim kryzysie finansowym doskonale opisał machinacje banku inwestycyjnego Goldman Sachs, określając go mianem „wampirzycy piekielnej".

Dane w postaci obfitej korespondencji między Twitterem a rządowymi pracownikami i służbistami przekazał mu nie kto inny, jak nowy właściciel portalu, Elon Musk, który z racji obfitości materiału skorzystał także z pomocy m.in. Barriego Weissa oraz Michaela Shellenbergera. Wybór Muska był bardzo roztropny, gdyż żaden ze wspomnianych dziennikarzy nie reprezentował nigdy środowisk prawicowych. Dzięki temu można było zakładać, że lewej stronie sceny politycznej łatwiej przyjdzie uznanie skandaliczności odkrytego procederu.

NIC SIĘ NIE STAŁO

Poufna korespondencja wielkiego koncernu przekazana przez najbogatszego człowieka na ziemi słynnemu dziennikarzowi śledczemu brzmi niemal jak idealny przepis na wielką aferę roztrząsaną tygodniami w mediach i znajdującą się na ustach większości osób. Tak mogło się wydawać nawet w pierwszych dniach po publikacji, gdy wiodące stacje, portale i gazety zgodnie odnotowały to, że Taibbi opublikował w serwisie Muska informacje dotyczące ostatniej kampanii wyborczej. Już wtedy jednak publicyści głównego nurtu zaczęli fałszywie przekonywać, że ujawnione dokumenty odsłoniły co najwyżej ożywioną debatę między pracownikami Twittera o tym, jak administrować serwisem w sytuacji, gdy szerzy się na nim tyle dezinformacji.

Tego rodzaju interpretacja afery obowiązuje w mediach głównego nurtu do dziś. W popularnym serwisie Politico.com można przeczytać m.in. o tym, że afera „Twitter Files" uświadomiła wszystkim, jak wiele kadra zarządzająca mediów społecznościowych musi poświęcać czasu na dostosowywanie swoich wewnętrznych zasad do potrzeb polityków i celebrytów, a spotkania kierownictwa Twittera z przedstawicielami służb specjalnych sprowadzają się do luźnych pogawędek o bejsbolu i ewentualnie niektórych kwestiach bezpieczeństwa.

Od czasu, gdy w grudniu ubiegłego roku ujawniono pierwszą część dokumentów, większość wiodących mediów najzwyczajniej w świecie nabrała wody w usta lub przyjęła strategię ukazywania Elona Muska jako republikańskiego sługusa. W BBC i wielu innych mediach cała afera posłużyła zaś m.in. do skierowania uwagi ku zastępczemu tematowi dyskryminacji w Internecie. W efekcie znaczna część amerykańskiego społeczeństwa może dziś żyć w fałszywym przeświadczeniu, że tajne dokumenty Twittera potwierdziły zaledwie dobrze znany i banalny fakt posiadania przez Big Tech potężnych narzędzi wpływania na przeglądane przez nas treści.

Elementem wielkiej akcji dezinformacyjnej mającej na celu zneutralizowanie rewelacyjnych doniesień Taibbiego była także próba przedstawienia afery „Twitter Files" jako dużo mniej interesującego i słabiej udokumentowanego odpowiednika afery „Facebook Files" z 2021 r. Zatrudniona w Facebooku na stanowisku menedżerskim Frances Haugen ujawniła wówczas, że stosowane przez firmę Marka Zuckerberga algorytmy promują nieodpowiednie treści podsycające nienawiść oraz wpędzają masowo nastolatki w uzależnienia, obniżają ich poczucie własnej wartości i sprzyjają zachowaniom autodestrukcyjnym. Informacje ujawnione przez Haugen miały jednak wielokrotnie lżejszy ciężar gatunkowy, gdyż nie odsłaniały w żaden sposób mechanizmu powiązań Facebooka z politykami czy służbami specjalnymi. Z tego właśnie powodu afera „Facebook Files" spełniała wszelkie kryteria bezpiecznej afery, którą mogły się zainteresować wiodące media. Za publikację materiału odpowiadał „Wall Street Journal", który swoim statusem mainstreamowego pisma legitymował powagę afery, a w ślad za nim cała sprawa była szeroko opisywana w największych stacjach telewizyjnych. Sama Frances Haugen została zaś zaliczona przez magazyn „Time" do grona 100 najbardziej wpływowych osób na świecie. Ten sam tygodnik po wybuchu afery „Twitter Files" zamiast o ujawnionym skandalu zaczął zaś rozwodzić się szeroko o… zagrożeniu dla demokracji i wolności słowa, które miałby stanowić nowy właściciel Twittera.

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI Z POLITYKAMI

Jako że medialny mainstream, również w Polsce, wciąż nie zdał wyczerpującej relacji z afery Twittera, warto przypomnieć, czego dokładnie dzięki niej się dowiedzieliśmy.

Najczęściej w przekazie medialnym można było usłyszeć, że z zaprezentowanych dokumentów wynikało co najwyżej, iż kierownictwo Twittera blokowało publikację doniesień gazety „New York Post" na temat zawierającego kompromitujące i poufne materiały

eprasa.pl cae6db74eb

laptopa Huntera Bidena, lecz później samo uznało swój błąd i zrezygnowało z tego rodzaju zabiegów. W rzeczywistości, w czasach gdy prezesem Twittera był jeszcze Jack Dorsey, serwis społecznościowy przyjmował regularne polityczne zlecenia z Waszyngtonu. Początkowo zdarzało się, że również na prośbę niektórych przedstawicieli Partii Republikańskiej, lecz stopniowo niemal wyłącznie demokratów. Gdy w 2020 r. decydowały się losy wyborów prezydenckich, sztab wyborczy Joe Bidena nieustannie wysyłał żądania dotyczące cenzorowania nieprzychylnych sobie osób oraz treści. Zdaniem Matta Taibbiego właśnie to, że ogromna większość pracowników miała zdecydowanie lewicowe poglądy, tłumaczy, dlaczego wyświadczanie cenzorskich przysług przychodziło nad wyraz łatwo. Jak z kolei zademonstrował inny z dziennikarzy, Bari Weiss, powszechną praktyką było stosowanie tzw. shadow banningu, czyli nakładania ograniczeń w wyświetlaniu profilu i dostępie do wielu funkcji bez wiedzy użytkownika. Wcześniej stosowaniu tego typu praktyk kierownictwo Twittera wyraźnie zaprzeczało nawet w czasie przesłuchań pod przysięgą przed senackimi komisjami.

Konsekwencje ograniczania zasięgów w naszym zdominowanym przez media społecznościowe świecie są oczywiste. Szczególnie jeśli na miesiąc przed wyborami prezydenckimi materiał opisujący skandale z udziałem syna jednego z dwóch głównych kandydatów na prezydenta zostaje w celowy sposób wyciszony przez Twittera i resztę Big Techu. Pracownicy Twittera uruchomili nawet w 2020 r. w związku z nadchodzącymi wyborami specjalny wewnętrzny kanał komunikacyjny służący nieustannemu omawianiu, kogo należy usunąć z serwisu lub ograniczyć zasięg jego postów. Matt Taibbi określił nawet dwóch dyrektorów wykonawczych firmy mianem „ekspresowego Sądu Najwyższego", który karał zawieszeniem konta za nawet cień podejrzeń.

Czysto teoretycznie Twitter był prywatną firmą i miał prawo się opowiedzieć po tej stronie, po której chciał. Sęk jednak w tym, że ze zgromadzonej dokumentacji wynika, iż taki, a nie inny profil działalności był ściśle inspirowany działaniami m.in. służb specjalnych. Uwagę zwraca tu choćby historia byłego oficera FBI Jamesa Bakera, który kilka miesięcy przed wyborami został zatrudniony w Twitterze i w momencie gdy decydowała się kwestia wyciszania historii laptopa Huntera Bidena, zorganizował spotkanie z wysokim przedstawicielem FBI Matthew Perrym.

Zdaniem dziennikarzy ze zgromadzonych przez nich materiałów można wręcz odnieść wrażenie, że pracownicy i zarząd Twittera zachowują się tak, jakby znany serwis społecznościowy był wręcz w domyślny sposób podporządkowany służbom

Ścisłe kierownictwo Twittera odbywało także regularne spotkania z innymi przedstawicielami FBI oraz innych służb, m.in. z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz przedstawicielami Dyrektora Wywiadu Narodowego. Oficerowie wywiadu nie pozostawili oczywiście po sobie żadnych śladów z odbytych tajnych narad, lecz udowodnione w dziennikarskim śledztwie tak bardzo zażyłe kontakty między służbami specjalnymi a Twitterem rzucają na znany serwis społecznościowy ogromny cień podejrzeń. Zdaniem badających całą sprawę dziennikarzy ze zgromadzonych przez nich materiałów można wręcz odnieść wrażenie, że pracownicy i zarząd Twittera zachowują się tak, jakby znany serwis społecznościowy był wręcz w domyślny sposób podporządkowany służbom.

TRUMP GORSZY NIŻ PUTIN

Bezpośrednie zaangażowanie polityczne Twittera stało się dla wszystkich oczywiste, gdy w następstwie budzącego do dziś wiele wątpliwości wtargnięcia na Kapitol grupy osób konto Donalda Trumpa zostało usunięte. Za sprawą „Twitter Files" dowiedzieliśmy się, że szefostwo korporacji uciekło się do pospiesznej modyfikacji własnego wewnętrznego regulaminu zakazującego cenzurowania treści wybranych demokratycznie polityków, o ile tylko przyczyniają się do lepszego zrozumienia spraw publicznych. Jak jednak tłumaczył później jeden z dyrektorów firmy Yoel Roth, „żyjemy w bardzo szybko zmieniającym się świecie" i dlatego potrzebna była szybka reakcja. W efekcie od stycznia 2021 r. na Twitterze swoje konto mogli mieć dalej m.in. prezydent Federacji Rosyjskiej czy wenezuelski dyktator Nicolas Maduro, ale już nie Donald Trump.

Związki między Twitterem a Federalnym Biurem Śledczym aż do samego przejęcia firmy jesienią 2022 r. były cokolwiek zastanawiające. Oprócz wspomnianego już Jamesa Bakera pracę w firmie z niebieskim ptaszkiem w logo znajdowało w ostatnich latach także wielu innych byłych pracowników wywiadu. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje Dawn Burton, była szefowa sztabu dyrektora FBI Jamesa Comeya, który później wszczął śledztwo przeciwko Donaldowi Trumpowi.

Po ujawnieniu tych informacji w mediach głównego nurtu pojawiły się tłumaczenia, że ożywiony kontakt między sektorem prywatnym a służbami specjalnymi stanowi naturalny porządek rzeczy i wynika wprost z troski o zapewnienie Amerykanom bezpieczeństwa. W przypadku Twittera związki te były jednak nad wyraz zażyłe i dotyczyły zbyt wielu obszarów. Przeforsowanie tezy, że popularny portal społecznościowy nie był narzędziem wielkiej manipulacji, wymagałoby tak naprawdę przyjęcia absurdalnej tezy, że niezliczone kontakty i związki personalne stanowią wielkie nagromadzenie zupełnie niepowiązanych ze sobą zbiegów okoliczności.

WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ

Prawdziwe znaczenie afery „Twitter Files" wykracza jednak daleko poza sam portal należący obecnie do Elona Muska. W swoim wystąpieniu przed specjalną senacką podkomisją Matt Taibbi naświetlił prawdziwy, dużo bardziej poważny obraz całego problemu. „Dowiedzieliśmy się, że Twitter, Facebook, Google i inne firmy opracowały sformalizowany system moderowania »wniosków« z każ-

eprasa.pl cae6db74eb

dego zakątka rządu: FBI, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego [...], a nawet CIA. Na każdą agencję rządową skanującą Twittera przypadało prawdopodobnie 20 quasi-prywatnych podmiotów, które robiły to samo, w tym Election Integrity Project na Uniwersytecie Stanforda, Newsguard, Global Disinformation Index itd., wiele z nich finansowanych przez podatników" – przekonywał dziennikarz. Jego zdaniem ujawniona przez Elona Muska korespondencja odsłoniła pokaźną sieć stale monitorującą i manipulującą głównymi platformami mediów społecznościowych i najbardziej popularnych serwisów Big Techu. Co więcej, ta rozbudowana sieć nieustannie kategoryzuje ludzi i przydziela im zasięgi zgodnie z tym, na ile ich przekaz jest zgodny z poglądami środowisk kontrolujących cały mechanizm.

Zdaniem Taibbiego opisany przez niego system kontroli treści pojawiających się w Internecie tworzy coś, co sam określił mianem „cyfrowego makkartyzmu". Tak jak w szczytowym momencie skądinąd słusznego poszukiwania sowieckich szpiegów w latach 50. zapanowała histeria pozwalająca oskarżyć dosłownie każdego, tak obecnie na celowniku tropicieli „dezinformacji" znaleźć się może nawet osoba wygłaszająca najbardziej zdroworozsądkowe opinie. Pretekstów do bycia posądzonym o przestępstwo myślenia w niedozwolony sposób stale przybywa, a cyfrowa policja jest gotowa ukarać każdego, kto wygłasza inne niż jedyne słuszne poglądy na temat globalnego ocieplenia, transseksualizmu, COVID-19, szczepionek, imigracji czy ideologii LGBT.

Wbrew pozorom to, co dziennikarzom śledczym udało się ustalić na temat ingerencji władz poprzez Twittera w debatę publiczną, nie dotyczy tylko Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Elona Muska pod poprzednim zarządem firma aktywnie angażowała się m.in. w wybory prezydenckie w Brazylii, które ostatecznie wygrał lewicowy kandydat Lula da Silva. Jeden z pomniejszych wątków afery „Twitter Files" dotyczył także bliskiej współpracy z Pentagonem w zakresie prowadzenia kompleksowej akcji propagandowej w mediach społecznościowych na Bliskim Wschodzie (głównie Iranu). Nie ulega wątpliwości, że znalezione dowody stanowią zaledwie czubek góry lodowej, a zakres oddziaływania amerykańskiego „deep state" na wszystkie kraje świata jest ogromny.

W czasie przesłuchania przed senacką komisją Matt Taibbi zwrócił także uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt całej sprawy – cyfrowi nadzorcy publicznej debaty ograniczają zasięgi w mediach społecznościowych przede wszystkim osobom publicznym, dla których obecność na Twitterze, YouTube czy Instagramie to podstawowe narzędzie kontaktu z całym społeczeństwem. W przypadku zwykłych osób stosuje się już inne, nieco bardziej dyskretne środki, jak choćby odcięcie od platform płatniczych takich jak PayPal, serwisów crowdfundingowych czy też uniemożliwienie korzystania z usług reklamodawców cyfrowych. Odmowa obsługi przez tego rodzaju firmy stanowi niestety bardzo skuteczny środek wywierania nacisku, ponieważ dokonuje się całkowicie bez rozgłosu i dotyka tylko wybranych, odizolowanych użytkowników, którzy nie mają praktycznie żadnego sposobu na obronę. Jesienią ubiegłego roku firma płatnicza PayPal miała nawet zagrozić, że będzie karała swoich użytkowników grzywną w wysokości 2,5 tys. dol. za stosowanie „dezinformacji", choć później oficjalnie wycofała się z tego pomysłu.

Przejęcie przez Elona Muska Twittera miało uczynić dla wolności słowa prawdziwy wyłom w świecie Big Techu, ale – jak się okazuje – przeciwnik jest o wiele silniejszy, niż się mogło wydawać

DYKTAT PRZEBUDZONYCH CENZORÓW

Przejęcie przez Elona Muska Twittera miało uczynić dla wolności słowa prawdziwy wyłom w świecie Big Techu, ale – jak się okazuje – przeciwnik jest o wiele silniejszy, niż się mogło wydawać. Wewnętrzna komunikacja zarządu i pracowników firmy odsłoniła coś, co wynajęci przez Muska dziennikarze śledczy określają czasem mianem „kompleksu cenzorsko-przemysłowego". Jeżeli do tej pory ktoś uważał, że istnienie „deep state" stanowi teorię spiskową, to afera „Twitter Files" pokazuje jasno i wyraźnie, że tego rodzaju struktury istnieją i są doskonale zorganizowane, a gdy wreszcie udało się je wręcz złapać na gorącym uczynku, dziwnym trafem nie przykuwa to uwagi wiodących mediów.

Do tej pory dominowało przekonanie, że cyfrowa policja myśli Big Techu funkcjonuje jedynie w oparciu o osobiste przekonania kadr Facebooka, Google czy Twittera. „Przebudzone" załogi wielkich firm technologicznych stanowią jednak zaledwie jeden z elementów większej układanki, na którą składają się również koordynowane na szeroką skalę działania obejmujące także świat mediów tradycyjnych, serwisów płatnościowych czy też firm reklamowych. Dostępne mechanizmy demonetyzacji, shadow banningu, usuwania kont, wpisywania na czarne listy czy też blokowania dostępu do systemów płatności i kont bankowych zapewniają samozwańczym władcom kompleksu cenzorsko-przemysłowego potężne narzędzia dyskretnego tłumienia wszelkiego sprzeciwu.

Elon Musk musiałby więc tak naprawdę przejąć jeszcze wiele innych firm technologicznych, aby stworzyć prawdziwą alternatywę dla wspomnianego kompleksu. W jego serwisie wpisy dokumentujące całą aferę śledziło wiele milionów osób, lecz zdecydowana większość Amerykanów żyje wciąż w przekonaniu, że w gruncie rzeczy nic się nie stało. Cyfrowi „makkartyści" zdołali pod pretekstem walki z dezinformacją rozpętać polowanie na czarownice na tak dużą skalę, że coraz więcej mediów głównego nurtu woli posłusznie przemilczeć nawet najbardziej sensacyjne doniesienia i manipulować swoimi odbiorcami, byleby tylko uniknąć konfrontacji i móc dalej swobodnie zarabiać pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

DEBATA DO RZECZY Czy wyjść z UE?

O polexicie, już bez znieczulenia

Wojciech Golonka

Z Unii Europejskiej należy wystąpić z bardzo prostego, a zarazem najważniejszego powodu: członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest sprzeczne z polską racją stanu, nie przewiduje bowiem istnienia docelowo polskiej racji stanu

Ojcowie założyciele tej „nowej Europy", z Jeanem Monnetem na czele, mówili o tym jasno, ale i przynajmniej od czasu traktatu lizbońskiego wiadomo oficjalnie, że integracja europejska dąży do zniesienia państw narodowych, pozostawiając im co najwyżej autonomię regionalną wewnątrz unijnego superpaństwa, które ma je wchłonąć (na ich gruzach). Autonomię regionalną – dodajmy na marginesie – mniejszą niż ta, którą posiadają poszczególne stany członkowskie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tak, najprościej rzecz ujmując, mógłby i w sumie powinien wyglądać główny argument w debacie o polexicie, wznowionej ostatnio na łamach naszego tygodnika. I choć można go było wywnioskować z argumentów przytoczonych przez Tomasza Cukiernika (których zasadność uznał także polemizujący z nim Łukasz Warzecha), to w takiej pryncypialnej formie akurat on nie padł.

REFORMA UNII TO MRZONKA

Osobiście podpisuję się pod tak sformułowanym argumentem dwoma rękami. Ba! Myślę, że trzeba być wariatem, aby jako Polak świadomie uważać, iż polska racja stanu jest nam niepotrzebna. Odrzucam też tu na wstępie założenie, że Unię da się zreformować w innym kierunku. To sprzeczne z jej pierwotnym DNA, a osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy jedynie ukazało, że hasło reformy Unii jest co najwyżej pobożną mrzonką.

Zatem wybór jest prosty. Co nie znaczy, że sam pomysł na polexit jest prosty; jest wręcz odwrotnie. Co innego bowiem wiedzieć, dlaczego coś należy zrobić, a co innego, jak tego dokonać, tym bardziej że to „jak" w tym wypadku jest mocno złożone, choć można je sprowadzić do dwóch elementów.

Po pierwsze: Jak przekonać odpowiednią większość Polaków do podobnej decyzji (kto miałby ich przekonać i jakim dyskursem wobec przeciwnej narracji strachu, w jakiej perspektywie czasowej itd.)? Po drugie: Jak miałby wyglądać polexit w praktyce, czyli w jaki sposób opuścić Unię, minimalizując związane z tym bolączki, i jak sobie ułożyć na nowo stosunki z naszymi unijnymi sąsiadami (czyli sensowna odpowiedź na pytanie, jeśli polexit, to co dalej)?

Ma się rozumieć, całe to „jak" jest problemem gigantycznym, a także z pewnością wątek osobowy tego „jak" – a mianowicie: „kto" – nie jest bez znaczenia. W rzeczy samej, wystąpienie z Unii Europejskiej przypominałoby poniekąd ponowne założenie państwa polskiego, a jak wykładał św. Tomasz z Akwinu, znacznie trudniejszą rzeczą jest państwo na wstępie urządzić niż nim następnie rządzić. Chcę przez to powiedzieć, że wynikający z samego oczywistego imperatywu zachowania polskiej racji stanu polexit wydaje się w ogóle niemożliwy do przeprowadzenia bez wyjątkowego męża stanu tudzież elity politycznej z najwyższej półki, cieszącej się wystarczającym zaufaniem i zdolnej wypłynąć samodzielnie (co nie znaczy, że nie w nowych sojuszach) na głębokie wody międzynarodowej polityki.

Chcę się przy tym wątku nieco zatrzymać, bo wydaje mi się, że brak widocznego na horyzoncie Mojżesza, zdolnego przeprowadzić nas mniej lub bardziej suchą nogą przez Morze Czerwone do Ziemi Obiecanej, jest obecnie kluczowym wątkiem, jeśli chodzi w ogóle o polot dla samej idei polexitu w społeczeństwie polskim.

Przykład Mojżesza jest zresztą dobry pod kilkoma względami. Otóż Tomasz Cukiernik, opisując przejawy pogwałcenia polskiej racji stanu przez politykę unijną i jej ekonomiczne skutki, równie dobrze mógłby opisywać nieciekawe położenie Izraelitów w ziemi Egipskiej pod rządami faraona. Czy były one jednak wówczas wystarczającym impulsem do działania bez odpowiedniego lidera? Przywołując starotestamentalny przykład do

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. JAN

naświetlenia bieżącej problematyki politycznej, bynajmniej nie zamierzam nadawać polexitowi jakiegoś religijnego czy mesjańskiego znaczenia tudzież oczekiwać jego cudownej realizacji pod auspicjami jakiegoś proroka; zresztą już sama historia Mojżesza jest przestrogą przed idealizmem: po spektakularnym wyjściu z Egiptu nastąpiło 40 lat kluczenia po pustyni, a ostatecznie do Ziemi Obiecanej wstąpili jedynie ci Żydzi, którzy nie urodzili się w niewoli egipskiej…

Odrzucając zatem pokusę opracowania tu biblijnego poradnika na rzecz polexitu, chciałem jedynie zaznaczyć, że cel jest naprawdę prosty, ale jego realizacja gigantycznie trudna, począwszy od kadr. Co nie znaczy, że nic się nie da zrobić, wręcz przeciwnie, a histeryczna reakcja (owszem, na potrzeby kampanii wyborczej) na okładkę tygodnika „Do Rzeczy" jedynie to potwierdza – trzeba po pierwsze odczarować krążącą wokół tego konceptu atmosferę radykalizmu.

SUWERENNOŚĆ

Wyrażony przeze mnie na wstępie pogląd, choć rzeczywiście radykalnie uderzający w zapatrywania i odczucia wielu Polaków, a także w ekonomiczne interesy dyżurnych ajatollahów gotowych rozrywać z tego powodu szaty przed kamerami, sam w sobie radykalny bynajmniej nie jest, ani trochę. Mniej więcej 20 lat temu pytano nas, jako społeczeństwo, w referendum akcesyjnym, czy chcemy wstąpić do Unii Europejskiej czy nie. Mieszkając wówczas w Unii, w mym zdecydowanym „nie" kierowałem się bardziej podpartą własnym doświadczeniem życia w Unii intuicją niż jasno wyrażonymi metapolitycznymi zasadami. Niemniej jednak dziś jasno widzę, że intuicja ta sprowadzała się właśnie do kwestii zasady samostanowienia, czyli suwerenności. Nawiasem mówiąc, to, że kampania na rzecz „tak" była nieczysta, tzn. odwoływała się do dość nachalnej i iluzorycznej propagandy, jedynie utwierdzała mnie w mym „nie", skoro ktoś tak bardzo się starał, abym zmienił zdanie, podważając tym samym idee samego referendum, w którym najwyraźniej były a priori odpowiedzi lepsze i gorsze. Jednak abstrahując od tego, na ile większość na „tak" była świadomym wyborem Polaków, a na ile efektem socjotechniki, nie było jednak żadnego radykalizmu w fakcie, że pytana o zdanie niemała część obywateli odpowiedziała „nie".

Otóż mimo możliwych plusów naszego członkostwa w Unii swego zdania nie zmieniłem, nie ewoluowałem w mej pozycji (mogę powiedzieć, że dalszy rozwój wypadków jedynie ją utwierdził), a skoro nie ewoluowałem, to nie zradykalizowałem się w mym poglądzie. Nie byłem radykałem w tej kwestii 20 lat temu, stąd nie jestem nim i dzisiaj, a jeśli komuś me zapatrywanie wydaje się radykalne, to najwyraźniej to on, w rzeczy samej, sam uległ radykalizacji, „dogmatyzując" nasze członkostwo w Unii – by użyć trafnego określenia Łukasza Warzechy. Jednak podczas gdy mój redakcyjny kolega uważa, że należy tymczasem zostawić ten „dogmat" w spokoju, uważam przeciwnie, że najwyższa pora, aby strach zmienił obóz – polexit jest w pełni uprawnionym poglądem w społeczeństwie demokratycznym, a wszelkie próby stłumienia możliwości wygłaszania tego poglądu muszą być napiętnowane jako przejaw politycznego mobbingu, który równie dobrze można by nazwać faszyzmem czy ekstremizmem.

Stanowczość w walce z podobną postawą nie oznacza przy tym braku wyrozumiałości, by nie powiedzieć – taktu dla mas ludzi, dla których rzeczywiście już samo hasło polexitu oznacza atak apopleksji. Niezależnie od tego, czy podobna postawa bierze się z wpojonego silnego lęku paraliżującego wyobraźnię (niezdolną do stwierdzenia, że poza Unią jest tlen, a samo niebycie w Unii nie oznacza niemożliwości mniej lub bardziej zażyłej z nią współpracy gospodarczej) czy z głęboko zakorzenionych kompleksów (że rzekomo przynależymy do wspólnoty państw zachodnich czy cywilizacji europejskiej tylko pod warunkiem bycia w Unii, że będąc „unijczykami", jesteśmy światli, postępowi, „naj" i lepszego sortu), praca nad podobnymi behawioralnymi uprzedzeniami jest możliwa, choć wymaga cierpliwości, roztropności i wytrwałości. Tu jest mimo wszystko pole do manewru, o wiele gorzej natomiast, kiedy politycy mogący podobną pracę wykonywać abdykują już na wstępie, czekając na lepszą koniunkturę nastrojów. Otóż czasów bardziej sprzyjających tej pracy nie tylko może po prostu nie być, nie tylko przybędą kolejne pokolenia, które nie znały innego położenia Polski jak w ramach „integracji europejskiej", lecz także – i to jest najbardziej niebezpieczne – możemy dojść do punktu, kiedy na gruncie czysto pryncypialnym wartość suwerennego, samostanowiącego się państwa zostanie wprost zanegowana – przecież już ma to tu i ówdzie miejsce. Mówiąc bez ogródek: lata tkwienia w stanie, gdzie brak pełnej decyzyjności i asertywności łatany jest demagogią, doprowadzą siłą rzeczy u wielu do zwątpienia w potrzebę istnienia państwa polskiego w ogóle, by nie powiedzieć – do obrzydzenia nam idei państwa. Po co nam własne państwo z pozoru, skoro i tak mamy mniej lub bardziej sprawną administrację, niezależnie od tego, gdzie znajduje się jej ośrodek władzy? Gospodarczo-społeczne plagi unijne wymienione przez Tomasza Cukiernika? Tak. Ale czy dla socjotechniki mas to jest aż tak duży problem, aby przekonać wielu, że jest to konieczność moralna, a dzięki podejmowanym krokom, wyrzeczeniom ekonomicznym etc. unikamy wręcz dziejowych katastrof? Podobnie nie będzie problemem – to tylko kwestia rozeznania mądrości etapu – aby pewnego dnia zaryglować drzwi awaryjne w procesie integracji europejskiej, kneblując słowa krytyki pod jej kątem na kanwie walki z mową nienawiści, radykalizmami, siewcami niepokojów społecznych… Nieprzekonanym polecam ponowną lekturę „Nowego wspaniałego świata" Huxleya.

Powtórzę: stawka – a zatem cel – jest i powinna być oczywista dla całego obozu suwerennościowego, jej realizacja przy obecnych uwarunkowaniach wewnętrznych i lewarach nacisku z zewnątrz jest niezwykle skomplikowana, ale z pewnością nie polepszymy sytuacji ani nie rozwiążemy problemu, odpuszczając temat sine die.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

DO TEJ PORY O POLEXICIE PISALI:
- **TOMASZ CUKIERNIK, „NALEŻY WYJŚĆ Z UNII!", „DO RZECZY" NR 40/2023**
- **ŁUKASZ WARZECHA, „JAK WYJŚĆ Z UNII, POZOSTAJĄC W NIEJ", „DO RZECZY" NR 41/2023**

eprasa.pl cae6db74eb

Taktyka, nie

Jacek Płaza

PiS zaostrzył retorykę wobec Ukrainy. Wbrew głosom, że to taktyka podporządkowana kampanii wyborczej, Polska wchodzi w mainstream zachodniej polityki. Morawiecki i Kaczyński widzą, w którą stronę wieje wiatr – źródło pomocy wojskowej dla Kijowa pozostanie płytkie przynajmniej do listopada 2024 r. Czas na asertywność, transakcyjność i bezpośrednie korzyści dla wspierających Ukrainę państw – w tym Polski

Choć emocje ostatnio ucichły po wrześniowej serii dyplomatycznych kuksańców, to między Warszawą a Kijowem nadal wyczuwane jest napięcie. Wiele osób oceniało niedawno zwrot polityki Polski wobec Ukrainy jako populistyczne zagrania wpisane w kampanię wyborczą i próbę odzyskania przez PiS rosnącej grupy wyborców sceptycznie patrzących na bezwarunkowe wsparcie Ukrainy. To niepełny obraz sytuacji. Polska, odzierając retorykę wobec Ukrainy z moralności, wchodzi w zachodni mainstream.

Mimo ciepłych słów w stronę Niemiec (według Zełenskiego Niemcy zasługują na stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ) kanclerz Scholz zablokował dostawy pocisków manewrujących Taurus, o które Ukraina prosi od maja. Co więcej, według PAP Berlin blokuje 3 mld euro pomocy finansowej z pakietu opiewającego na 9 mld euro. W Stanach Zjednoczonych kilka dni temu Kongres wyrzucił 6 mld dol. z wojskowego pakietu wsparcia dla Ukrainy, ograniczając go aż o 30 proc. przez presję republikanów. Litewski minister spraw zagranicznych stwierdził, że obserwuje zwolnienie tempa i coraz mniejszą pilność w zachodnim wsparciu dla Ukrainy, w tym więcej „biurokratycznego podejścia" do tej kwestii. Jego zdaniem nastrój w Waszyngtonie „może się zmieniać", choć liczy on na odwrócenie tej tendencji. Tymczasem Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, zamiast na pomocy Ukrainie przez UE w wysokości 20 mld euro, rozłożonej na 4 lata, skupia się ostatnio jedynie na 5 mld euro w przyszłym roku.

WIATR ZMIAN

Nie świadczy to o tym, że pomoc dla Ukrainy nieuchronnie zmierza do końca. Przeciwnie, w Brukseli determinacja we wspieraniu Kijowa jest duża. Już w grudniu mają rozpocząć się rozmowy akcesyjne, a Ukraina może zostać przyjęta do unijnej wspólnoty już w 2030 r. Tu leży pies pogrzebany. O ile brukselscy urzędnicy zabiegają o większe wsparcie dla Ukrainy, o tyle unijne stolice coraz śmielej podnoszą jego cenę. Niemcy przekonują się do francuskiej idei Europy dwóch prędkości i otwarcie mówią o zniesieniu weta w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa jako warunku przystąpienia Ukrainy do UE. Z cenzurowanego schodzą nawet Węgry, które do zniesienia weta na 12. pakiet sankcji na UE i pośrednio na pakiet pomocowy dla Ukrainy Komisja Europejska chce przekupić uwolnieniem 13 mld euro środków (stopniowo, zaczynając od 4 mld euro). Budapeszt głośno podnosi też prawa mniejszości węgierskiej do nauki języka węgierskiego w szkołach i m.in. od spełnienia tych jasno postawionych postulatów uzależnia swoje ustępstwa w kwestii polityki wobec Kijowa.

Wygląda więc na to, że to asertywność i transakcyjność we wspieraniu Ukrainy – a nie bycie po stronie prawdy i moralna słuszność – popłacają. Paliwo

eprasa.pl cae6db74eb

populizm

FOT. ADOBE STOCK

na okładanie Niemiec przez Polskę (i nie tylko, zresztą nawet w samych Niemczech media krytykowały Scholza) za opieszałość w dostarczaniu sprzętu wojskowego się wyczerpało. Co więcej, brak tej asertywności odbija się na poparciu społecznym. Na Słowacji wybory wygrała otwarcie kontestująca proukraińską politykę UE partia byłego premiera Ficy, sympatyzująca z Rosją. W Stanach Zjednoczonych republikanie coraz głośniej kwestionują zasadność kolejnych wydatków na zbrojenie Ukrainy, a Joe Biden będzie musiał na część z tych głosów odpowiedzieć konkretnymi obietnicami i decyzjami, jeśli chce liczyć na reelekcję. O zmianie nastrojów na Zachodzie najdobitniej jednak świadczy „oburzenie" (a raczej dzika satysfakcja), które przetoczyło się przez światowe media po źle zinterpretowanej wypowiedzi premiera Morawieckiego o zakończeniu przekazywania sprzętu wojskowego na Ukrainę – chociaż miał na myśli dokonany fakt, to odebrano to jako zapowiedź obcięcia pomocy Ukrainie w reakcji na jej wojownicze ruchy podczas kryzysu zbożowego i pozwanie Polski do Światowej Organizacji Handlu za embargo na zboże.

Polscy decydenci dostrzegli, że wiatr zmian wieje w niekorzystnym dla Ukrainy (zresztą także dla Polski oraz innych państw wschodniej flanki NATO) kierunku, co postawiło nas przed pytaniem, czy dostosować się do asertywnego mainstreamu Zachodu czy pozostać na proukraińskiej szpicy w NATO-wskim i unijnym dyskursie.

Politykę zagraniczną w dużym stopniu determinują polityka wewnętrzna i nastroje społeczne, a te również w ciągu ostatniego półtora roku się zmieniły. To stworzyło pole do zapoczątkowania taktycznej zmiany polityki wobec Ukrainy z bezwarunkowej i moralnie słusznej na asertywną i nastawioną na konkretne rezultaty oraz korzyści. Oczywiście nie zmienia to strategii wobec Ukrainy, wektor polityki pozostaje stabilny, niemniej inne rozłożenie zarówno akcentów w narracji, jak i rozmowach z Kijowem stało się faktem.

Oczywiście kampania wyborcza daje pole do grania na emocjach społecznych, karykaturalizowania i wyolbrzymiania niektórych zdarzeń, nagłych zwrotów czy toporności przekazu, czego przykładów w mijających tygodniach było niemało. Odpowiedzialni politycy nie powinni „przegrzać" prowokacyjnych decyzji i wypowiedzi ukraińskich decydentów, bo po wyborach nasza współpraca, choć urealniona i chłodniejsza, będzie trwać.

RDZEŃ KOREKTY

Jednak rdzeń korekty sposobu prowadzenia rozmów z Kijowem jest znacznie głębiej zakorzeniony niż w narastającym społecznym sceptycyzmie co do skali wsparcia dla Ukrainy. Co więcej, nasi wschodni sąsiedzi w ostatnich tygodniach sami popełnili znaczące błędy, nie zapraszając na spotkanie w Kijowie polskich firm zbrojeniowych, choć były tam obecne koncerny m.in. z Francji, Turcji, Szwecji, USA czy Czech, oraz nie spotykając się z polskimi władzami podczas podróży powrotnej Zełenskiego z USA na Ukrainę przez Lublin.

PiS doszedł do wniosku, że skoro i na krajowym poletku nie jest w stanie ugrać więcej poparcia na proukraińskim kursie, na arenie międzynarodowej bycie w awangardzie pomocy Ukrainie przestaje dawać korzyści i w końcu sama Ukraina ostentacyjnie ignoruje polską rolę w zapewnieniu jej bezpieczeństwa, to szkoda pary w gwizdek – zagrajmy zatem w tę grę co inne zachodnie państwa, przynosząc razem z armatohaubicami fakturę (wersja oschła) za sprzęt lub umowę (wersja cywilizowana), w której Ukraińcy zobowiązują się do konkretnych kroków, reform lub ustępstw czy to w kwestiach handlowych, czy politycznych, czy historycznych. Wchodzimy więc do zachodniego mainstreamu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Auto jest członkiem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego.

eprasa.pl cae6db74eb

Paweł Pawłowski

Pokazywanie prawdy

W Pałacu Westminsterskim w Londynie otwarto wystawę prezentującą niemieckie zbrodnie popełnione w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Wydarzenie stanowiło okazję, by w brytyjskiej debacie publicznej poruszyć problem należnych Polsce reparacji wojennych, które do dziś nie zostały wypłacone przez Niemcy

Już co najmniej od czasów Thietmara z Merseburga, kronikarza opisującego przełom wieków X i XI w Europie, wśród Niemców można zauważyć charakterystyczną niechęć i ton wyższości wobec Polaków, których sam Fryderyk II von Hohenzollern nazwał przecież nawet „Irokezami Europy" wymagającymi oswojenia z europejską cywilizacją. Minęły wieki, a współcześnie Niemcy także wskazują Polakom, jak mają postępować, by w ich oczach mogli się wreszcie stać oświeconymi Europejczykami godnymi miana obywateli Unii Europejskiej. Co więcej, ci współautorzy projektu uzależnienia naszego kontynentu od gazu z Rosji od niedawna strofują również Polskę w kwestii właściwego wspierania walczącej Ukrainy. Mając na uwadze osiągnięcia samych Niemiec na tym polu, tego typu uwagi są szczególnie rażące. Tym dobitniej w takich momentach należy przypominać w kraju i poza jego granicami, że ten szlachetny naród Schillera, Goethego i Beethovena ma w swoim dorobku wciąż nierozliczone zbrodnie, których skala i okrucieństwo wstrząsnęły światem przed 80 laty.

DWIE PERSPEKTYWY

Szczególnie istotne jest, by świadomość potwornych strat zadanych Polsce przez nazistowskie Niemcy była budowana i wzmacniana wśród decydentów w krajach sojuszniczych traktujących poważnie zagrożenia, przed którymi stoi dziś Europa. Z tego względu Fundacja Niezależny Zespół Badawczy we współpracy z British Poles, wiodącym polskim portalem w Wielkiej Brytanii, zorganizowała w Pałacu Westminsterskim w Londynie, gdzie swoją siedzibę ma brytyjski parlament, wystawę pt. „The price of freedom – Polish losses during World War II" poświęconą polskim stratom poniesionym podczas największego konfliktu w dziejach. Dzięki wsparciu brytyjskiej ponadpartyjnej grupy parlamentarnej do spraw Polski w uroczystości otwarcia wystawy wzięli udział nie tylko czołowi przedstawiciele Polonii na Wyspach, lecz także reprezentanci wiodących brytyjskich mediów, parlamentarzyści, członkowie korpusu dyplomatycznego i przedstawiciele angielskiego życia publicznego, jak chociażby Lord Mackenzie of Framwellgate. Sfinansowana ze środków KPRM w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023 wystawa została także objęta patronatem honorowym prezesa Rady Ministrów, ministra spraw zagranicznych oraz ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

Podczas otwarcia wystawy w parlamencie głos zabrali zarówno przedstawiciele państwa polskiego w osobach Piotra Wilczka, ambasadora RP w Wielkiej Brytanii, i Arkadiusza Mularczyka, sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak i Brytyjczycy polskiego pochodzenia – Daniel Kawczyński, członek Izby Gmin z Partii Konserwatywnej, oraz Justin Maciejewski, dyrektor The National Army Museum w Londynie. Zrozumienie dla polskich strat i podnoszonych po latach milczenia roszczeń wobec Niemiec wybrzmiewało również w wypowiedziach brytyjskich mówców. Szczególnie poruszająca była dość osobista opowieść Daniela Kawczyńskiego, jedynego brytyjskiego parlamentarzysty urodzonego w Polsce, który łamiącym się głosem przybliżył los rodziny brata swojego dziadka, Jana Kawczyńskiego. Podczas wojny ukrywał on w swoim majątku kilka żydowskich rodzin. Gdy Niemcy to wykryli, kazali mu wykopać grób, następnie zmusili go do patrzenia, jak mordują jego nastoletnią córkę i żonę, a na koniec zastrzelili także jego samego. Brytyjski parlamentarzysta przypomniał, że tylko w okupowanej przez Niemców Polsce karą za pomoc dla Żydów była śmierć.

Minister Mularczyk w swoim wystąpieniu podkreślił ogrom strat wojennych Polski, stwierdzając: „Raport Wojenny Polski, opublikowany w 2022 r., stwierdza, że ok. 5,2 mln Polaków zginęło w drugiej wojnie światowej z rąk niemieckich. Wiemy również, że kolejne 6 mln Polaków zostało przesiedlonych z powodu wojny. Całkowita utrata ludności Polski wyniosła ponad 11,2 mln. Innymi słowy, Polska straciła co najmniej 30 proc. swojej populacji". Dwie perspektywy – szeroka, ujmująca ogromne liczby wskazujące ofiary niemieckich zbrodni i straty materialne Polski, a także węższa,

eprasa.pl cae6db74eb

„The price of freedom – Polish losses during World War II" to wystawa poświęcona polskim stratom poniesionym podczas drugiej wojny światowej FOT. BRITISH POLES

ukazująca dramaty poszczególnych osób – pozwalały zgromadzonym lepiej zrozumieć tragiczne losy Polski i jej obywateli podczas drugiej wojny światowej oraz rażącą postawę władz Niemiec wobec zgłaszanych obecnie przez polski rząd roszczeń dotyczących należnych reparacji wojennych.

WYMAZYWANIE POLSKI

Celem wydarzenia było z jednej strony przypomnienie niemieckich zbrodni w Polsce, a z drugiej podkreślenie słuszności polskich roszczeń zgłaszanych przez rząd RP wobec Republiki Federalnej Niemiec. Zwiedzający wystawę mieli możliwość zapoznania się z poszczególnymi aspektami nazistowskich zbrodni w Polsce, które wcześniej zostały szczegółowo przedstawione w „Raporcie o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945" opracowanym przez Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego. Zbrodnie dokonane przez Niemców na ziemiach polskich do dziś szokują swoją skalą i okrucieństwem. Śmierć 5 219 000 obywateli II RP, z których aż 21 proc. stanowiły dzieci, była tak znaczącą stratą, że dopiero w 1978 r. liczba ludności Polski osiągnęła swój poziom sprzed wybuchu wojny. Ze względu na planową politykę eksterminacyjną III Rzeszy straty te w sposób szczególny dotknęły polskie elity. Straty w niektórych grupach zawodowych były wręcz porażające. Aż 70 proc. stomatologów, 55 proc. prawników, 40 proc. lekarzy i 20 proc. nauczycieli akademickich przedwojennej Polski nie dożyło końca wojny. Na wystawie odrębnie pokazany został okrutny los obywateli polskich żydowskiego pochodzenia. Podobnie jak dziś putinowska Rosja szokuje świat, porywając ukraińskie dzieci w celu ich wynarodowienia, tak również Niemcy porwali aż 196 tys. wyselekcjonowanych według „kryteriów rasowych" polskich dzieci. Niestety, zaledwie 30 tys. spośród nich wróciło do swoich domów. Ważne, by nie zapominać także o tej zbrodni.

Odwiedzający wystawę mogli również dowiedzieć się więcej na temat pracy przymusowej, do której Niemcy zaangażowali aż 2,1 mln polskich obywateli. Z ich niewolniczego wysiłku nie korzystała abstrakcyjna III Rzesza, ale aż 200 tys. konkretnych niemieckich przedsiębiorstw i gospodarstw rolnych. Na pracy przymusowej Polaków wzbogaciły się również firmy, które do dziś stanowią filary niemieckiej gospodarki. Jako najbardziej znane z nich należy wskazać chociażby BMW, Audi, Opel, Porsche, Volkswagen AG, Mercedes-Benz, Siemens, Bayer, IG Farben, Deutsche Bank, Dresdner Bank, Allianz czy Hugo Boss.

W imponującym gmachu brytyjskiego parlamentu wspomniane zostały także ogromne straty, które Polska poniosła na polu kultury. Przy czym zwiedzający wystawę mogli się dowiedzieć, że nie tylko były one efektem zmasowanych działań wojennych prowadzonych na terenie II RP, lecz także wynikały z systematycznej i planowej działalności Niemców, której celem było wymazanie polskiego dorobku kulturalnego stanowiące element polityki eksterminacyjnej prowadzonej wobec Polski.

FOT. BRITISH POLES

„Nie okazujcie litości! Bądźcie brutalni! Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem!" – takie wytyczne przekazał Adolf Hitler oficerom Wehrmachtu zgromadzonym 22 sierpnia 1939 r. na konferencji w Obersalzbergu. Trzeba przyznać, że Niemcy bardzo zaangażowali się w wypełnianie tego rozkazu Führera. Niestety, dziś – 84 lata po wybuchu drugiej wojny światowej – jest już za późno, by pociągnąć do odpowiedzialności poszczególnych zbrodniarzy, którzy uniknęli kary za swoje okrucieństwo. Rażące zaniedbania w tym względzie, których symbolem stał się Heinz Reinefarth, kat warszawskiej Woli, a po wojnie burmistrz miasta Westerland, są już dziś nie do naprawienia. Wciąż jednak możliwe jest finansowe zadośćuczynienie RFN dla Polski za wszystkie zbrodnie, których Niemcy dopuścili się w naszym kraju w latach 1939–1945. Dzięki żmudnej pracy autorów wspomnianego „Raportu strat wojennych" dysponujemy szczegółowymi wyliczeniami w tym względzie. Biorąc pod uwagę wszystkie składniki strat materialnych i demograficznych poniesionych przez Polskę, łącznie zostały one wycenione na aż 1 532 170 mln dol.

GESTY TO ZA MAŁO

Niemcy dążą dziś do uzyskania stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i roszczą sobie prawo do wyznaczania i oceny przestrzegania zasad demokratycznego państwa prawa w odniesieniu do różnych państw w Europie.

Trudno sobie wyobrazić, by państwo, które po 80 latach wciąż nie rozliczyło się ze swoich zatrważających zbrodni, mogło występować w takiej roli. Pomiędzy Polską a Niemcami, bliskimi partnerami gospodarczymi i sojusznikami w NATO potrzebne jest prawdziwe pojednanie, wykraczające poza symboliczny uścisk premiera Mazowieckiego i kanclerza Kohla w Krzyżowej, a jego podstawą musi być zamknięcie kwestii należnych Polsce reparacji ze strony RFN. Potrzebne jest szersze zrozumienie dla polskiego stanowiska wśród społeczności międzynarodowej, a wystawa w Pałacu Westminsterskim stanowi świetny przykład działań, które należy podejmować w tym względzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. BAGHRACH/GETTY IMAGES

eprasa.pl cae6db74eb

Madame Czang

Łukasz Czarnecki

Wiek XX był świadkiem życia wielu niezwykłych pań, często przyćmiewających swą osobowością sprawujących władzę mężów. Na myśl przychodzą choćby Jacqueline Kennedy czy księżna Diana. Mało kto na Zachodzie pamięta o najbardziej charyzmatycznej i olśniewającej pierwszej damie zeszłego stulecia – Song Meiling, żonie przywódcy Republiki Chińskiej Czang Kaj-szeka

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikt z państwa, drodzy czytelnicy, nigdy dotąd nie słyszał o Madame Czang, jak tytułowano za życia naszą bohaterkę. Wydawać by się więc mogło, że musiała ona być postacią zupełnie marginalną. Rzeczywistość przedstawiała się zgoła odwrotnie. Meiling z domu Song przez blisko pięć dekad wspierała swego małżonka. Była z nim, gdy dopiero budował swój reżim, trwała przy jego boku w mrocznych latach wojny z Japonią, a potem po klęsce w starciu z komunistami i ucieczce Kuomintangu na Tajwan podążyła za Czangiem na ową wyspę.

W czasie drugiej wojny światowej amerykańska opinia publiczna widziała w żonie chińskiego dyktatora uosobienie ducha oporu, z którym Państwo Środka sprzeciwiało się japońskiemu najeźdźcy, a jej ośmiomiesięczny objazd po Stanach okazał się wielkim sukcesem, który zjednał narodowi chińskiemu serca zarówno polityków, jak i zwykłych Amerykanów.

Kilka lat wcześniej, kiedy niestabilny psychicznie marszałek Zhang Xueliang podjął próbę zamachu stanu i porwał Czang Kaj-szeka, to właśnie Song Meiling doprowadziła do uwolnienia męża. Jej sława przetrwała upadek władzy Kuomintangu na kontynencie – jeszcze przez długie lata komunistyczna propaganda straszyła w szkołach małych Chińczyków opowieściami o rozpustnej żonie Czang Kaj-szeka biorącej kąpiele w mleku.

RODZINA, ACH RODZINA

Song Meiling przyszła na świat jako córka Charlesa Songa 5 marca 1898 r. Jej ojciec był zamożnym biznesmenem z Szanghaju, człowiekiem obdarzonym wielkim poczuciem humoru i patriotą, który przez lata potajemnie wspierał ruch rewolucyjny doktora Sun Yat-sena, dążący do obalenia cesarskiej władzy i przemienienia Chin w Republikę. Do wszystkiego, co miał, Song doszedł sam, ciężką pracą. Jako młody chłopak trafił do Bostonu, gdzie zaczął pomagać wujowi w prowadzeniu sklepu z jedwabiem i ceramiką. Źle traktowany zbiegł z domu krewniaka i zaciągnął się na statek jako chłopak okrętowy. Polubiwszy się z kapitanem, został jego protegowanym i po przenosinach wraz ze swym patronem do Wilmington w Północnej Karolinie wszedł w środowisko miejscowych metodystów, przyjął chrzest (stąd tak mało chińskie imię Charles) i dzięki pomocy zamożnych sponsorów ukończył studia, by następnie wrócić do Chin jako misjonarz.

Song był mocno wierzący i wiele czasu spędzał na modlitwie. Kiedy jednak wziął ślub z pochodzącą ze starego chrześcijańskiego rodu dziewczyną imieniem Nyi Kwei Twang, szybko zrozumiał, że z datków z tacy nie utrzyma powiększającej się rodziny (Songowie doczekali się sześciorga dzieci). Charles zdecydował się zatem porzucić pracę misyjną i zająć się biznesem, a pomysł na ten ostatni miał wprost genialny – założył firmę… drukującą Biblię! Jako że misjonarze rozdawali konwertytom olbrzymie ilości Pisma Świętego, generowali na rynku olbrzymie zapotrzebowanie. Wkrótce Song doszedł też do wniosku, że – trawestując słowa Ewangelii – „Nie samym bożym słowem żyje człowiek" i poszerzył ofertę o… produkcję makaronu. W efekcie zbił ogromny majątek, który pozwolił mu wysłać sześcioro swoich potomków (trzy córki i trzech synów) na naukę do USA.

Najmłodsza z córek obrotnego Chińczyka, czyli nasza bohaterka, znalazła się w Stanach w roku 1907 jako zaledwie dziewięcioletnia dziewczynka. Następną dekadę spędziła z dala od domu, pobierając najlepszą możliwą edukację w amerykańskich szkołach średnich i na uniwersytetach. Studia ukończyła z dyplomami z literatury angielskiej oraz filozofii, do tego biegle opanowała język angielski, którym posługiwała się, używając arystokratycznego akcentu wyższych sfer z południa kraju. Całkowicie przesiąkła zachodnim stylem życia, w późniejszych latach mawiała żartem, że chińską ma wyłącznie twarz.

W 1917 r. Song Meiling wróciła do rodzinnego Szanghaju. Powrót po 10 latach nieobecności był gorzki. Na miejscu okazało się, że jej starsza siostra Song Qingling pokłóciła się z rodzicami i uciekła ze starszym od niej o 30 lat guru chińskiej rewolucji Sun Yat-senem, z którym wbrew woli bliskich wzięła

eprasa.pl cae6db74eb

ślub (siwowłosy pan młody popełnił przy tej okazji bigamię, bo miał już żonę), Charles zaś był ciężko chory – powalił go rak żołądka. Meiling wiernie czuwała przy szpitalnym łóżku ojca, opiekując się nim niczym profesjonalna pielęgniarka. Niestety, ówczesna medycyna nie była jeszcze na poziomie pozwalającym ocalić życie króla Biblii i makaronu. 3 maja 1918 r. Charles Song zmarł, gorzko opłakiwany przez żonę i dzieci.

MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU I WIELKA MIŁOŚĆ

Przez następne kilka lat nasza bohaterka pędziła w Szanghaju beztroskie życie przedstawicielki złotej młodzieży. Mogła sobie na to pozwolić, bo fortuna zgromadzona przez ojca czyniła Songów jednymi z najbogatszych ludzi w Chinach, ponadto najstarsza z córek Charlesa, Song Ailing, pojąwszy za męża obrotnego biznesmena Konga Xiangxi (znanego na Zachodzie jako H.H. Kung), pomnażała ją jeszcze w zastraszającym tempie. Ponadto zdominowany przez cudzoziemców (zwłaszcza Brytyjczyków) Szanghaj był jednym z niewielu bezpiecznych miejsc w ówczesnej Republice Chińskiej (powstałej po rewolucji 1911 r.), pogrążonej w wojnie domowej, w której każdy walczył z każdym. Pekin wyrywali sobie z rąk kolejni watażkowie, a na południu szwagier Meiling, Sun Yat-sen, z pomocą Sowietów zorganizował własny rząd i szkolił za rosyjskie pieniądze armię mającą narzuć Chinom władzę Kuomintangu, stopniowo infiltrowanego przez członków posłusznej Moskwie Komunistycznej Partii Chin. Jednakże doktor rewolucjonista swych planów nie zrealizował, zmarł bowiem 12 marca 1925 r.

Po śmierci Suna wśród jego współpracowników zaczęła się rywalizacja o przejęcie spuścizny legendarnego bojownika o demokrację. Zwycięsko wyszedł z niej komendant wojskowych sił Kuomintangu – gen. Czang Kaj-szek. W 1926 r. poprowadził kantońską armię na tzw. ekspedycję północną, w wyniku której zjednoczył (choć było to zjednoczenie bardzo chwiejne, a niektóre prowincje uznawały zwierzchność nowego rządu wyłącznie nominalnie) podzielone na dzielnice Chiny i objął nad nimi władzę. W lipcu 1927 r. Czang ostatecznie zerwał też z Moskwą, przeprowadzając wielką czystkę, w trakcie której wymordowano najaktywniejszych działaczy KPCh. Niedobitki komunistów uciekły z będących dotychczas terenem ich działania miast na wieś. Wkrótce jednak zaczęły się organizować i tworzyć własne siły zbrojne, efektem czego była kolejna wojna domowa toczona z przerwami aż do roku 1949 i zakończona klęską Kuomintangu.

Wśród historyków do dziś trwają spory, czy inicjatywa zawarcia mariażu między Czang Kaj-szekiem a Song Meiling wypłynęła ze strony Songów czy samego generała. Dla szanghajskiej familii sprzymierzenie się z rosnącymi w siłę dyktatorem z oczywistych względów byłoby bardzo korzystne, jednakże i on sam dzięki takiemu małżeństwu wiele by zyskał, m.in. dostęp do ogromnej fortuny oligarchicznego klanu, a do tego zostałby szwagrem nieżyjącego Sun Yat-sena, co opromieniłoby jego nazwisko nową chwałą. Jakkolwiek było, zaczęły się gry matrymonialne mające doprowadzić do upragnionego przez obie strony aliansu. Problemem stojącym na przeszkodzie szybkiej realizacji tych zamiarów było to, że Czang Kaj-szek miał już żonę (zresztą drugą) – młodziutką Chen Jieru, a ponadto w przeciwieństwie do Songów wyznawał buddyzm. Z pierwszym problemem uporano się szybko – Jieru, zwaną pieszczotliwie Jenny, małżonek wysłał na studia do USA, a kiedy była już za oceanem, pod jej nieobecność załatwił formalności rozwodowe! Dziewczyna o tym, że nie jest już panią Czang, dowiedziała się z gazet – wyczytała w nich wypowiedź wiarołomcy twierdzącego, że nigdy nie była jego żoną, lecz zaledwie konkubiną! Jeśli chodzi o kwestie religijne, to generał obiecał przyszłej teściowej, że przestudiuje Biblię, a potem podejmie decyzję co do ewentualnego przyjęcia chrztu, gdyż zmiana wyznania nie jest rzeczą łatwą i nie można się jej podejmować bez zastanowienia.

Gdy żona generała wyjeżdżała na dłużej, wpadał on w tak głęboki smutek, że nocami miał problemy z zaśnięciem

1 grudnia 1927 r. Czang Kaj-szek i Song Meiling stanęli na ślubnym kobiercu. Niedługo później dyktator przyjął chrzest w obrządku metodystycznym. Wielu mogłoby pomyśleć, że i jedno, i drugie stanowiło szczyt cynicznego oportunizmu, w rzeczywistości jednak stała się rzez niebywała – państwo Czang namiętnie się w sobie zakochali i przez następnych 48 lat stanowili mieli nierozłączną parę. Gdy żona generała wyjeżdżała na dłużej, wpadał on w tak głęboki smutek, że nocami miał problemy z zaśnięciem. Nic chyba lepiej nie świadczy o oddaniu, którym darzyli się małżonkowie, niż sposób, w jaki zwracał się Czang Kaj-szek do żony – mówił do niej zawsze „kochanie", a jako że w języku chińskim nie było słowa o takim znaczeniu, przywódca Republiki musiał używać angielskiego zwrotu „my darling".

Pod wpływem małżonki zaczął też zmieniać się jego charakter. Czang, który dawniej miał tak choleryczny temperament, że w atakach szału rozbijał o swą łysą głowę porcelanowe wazy, teraz złagodniał i stał się uosobieniem spokoju konfucjańskiego mędrca. Jeśli zaś chodzi o konwersję na chrześcijaństwo, to dyktator swojej wierze oddany był z gorliwością właściwą neofitom i nieustannie studiował Biblię, szukając w niej wskazówek.

CESARZOWA LUDZKICH SERC

Jedność kraju wywalczona przez wojska Kuomintangu była niezwykle krucha. Przeciwko władzy stolicy, przeniesionej do Nankinu, raz za razem wybuchały bunty. Czang Kaj-szek, który średnio ufał swoim podwładnym, ciągle wyruszał na front, Meiling zaś częstokroć towarzyszyła mu w tych niebezpiecznych wyprawach. Wrogowie czaili się wszędzie, wciąż dochodziło do zamachów na życie dyktatora. Żona chińskiego przywódcy żyła w nieustannym stresie, co źle odbiło się na jej zdrowiu. Kiedy zaszła w ciążę, poroniła – i to tak nieszczęśliwie, że nie była już w stanie urodzić więcej dzieci.

Pierwsza dama Państwa Środka nie była jednak postacią stojącą w cieniu męża i robiącą mu herbatkę. Co to, to nie! Z całej

eprasa.pl cae6db74eb

W 1934 r. Czang Kaj-szek zainicjował tzw. Ruch Nowego Życia. Wielka społeczna akcja miała walczyć z panującym w Chinach niechlujstwem. Zakładała nauczenie Chińczyków dobrych manier

siły oddawała się pracy na rzecz polepszenia losu Chińczyków. Jako że ciągłe wojny generowały tysiące sierot po zabitych żołnierzach, które przymierały głodem, Madame Czang zorganizowała dla nich doskonale wyposażone domy dziecka, w których znalazły schronienie i odpowiednią edukację. Meiling była tak oddana temu projektowi, że sama przepytywała nauczycieli mających dołączyć do kadry ochronek.

W 1934 r. Czang Kaj-szek zainicjował tzw. Ruch Nowego Życia. Była to wielka społeczna akcja, mająca walczyć z panującym w Chinach niechlujstwem. Plan w wielkim skrócie zakładał nauczenie zwykłych Chińczyków dobrych manier – walczono z pluciem i oddawaniem moczu w miejscach publicznych, brakiem higieny oraz poszanowania zasad ruchu drogowego. Nasza bohaterka w pełni poświęciła się pracy na rzecz owych zmian. Jak napisała do swej amerykańskiej przyjaciółki, była przekonana, że doprowadzenie do sukcesu Ruchu Nowego życia jest zadaniem, które powierzył jej Bóg.

12 grudnia 1936 r. w Xi'anie dowodzący operacją wojskową przeciwko komunistom Mao Zedonga, tzw. Młody Marszałek Zhang Xueliang porwał wizytującego front Czang Kaj-szeka. Niestabilny psychicznie oficer wierzył, że dzięki temu posunięciu uda mu się wymusić wypowiedzenie wojny Japończykom, którzy pięć lat wcześniej wyparli go z jego ojczystej prowincji – Mandżurii, w której rządził jak udzielny pan. Spisek uknuł wraz z przywództwem komunistów, z którymi miał walczyć, z tym że Mao planował zdradzić alianta i zamordować uwięzionego dyktatora. W Nankinie generałowie Kuomintangu nie zamierzali jednak wdawać się z puczystą w żadne negocjacje i zaczęli szykować się do zbombardowania Xi'anu.

Ten bieg wydarzeń przeraził Meiling, bojącą się, że doprowadzi do śmierci jej męża. Wysłała zatem do „Młodego Marszałka" w charakterze osobistego wysłannika swojego przyjaciela – australijskiego dziennikarza Williama H. Donalda – i za jego pośrednictwem zaczęła na własną rękę negocjować uwolnienie Czanga, ostatecznie zaś osobiście poleciła do bazy buntowników. Jej odwaga przyniosła skutek. Zhang Xueliang, widząc, że wszystko idzie nie tak, jak sobie zaplanował, i rząd, zamiast iść na ustępstwa, szykuje się, by rozprawić się z nim zbrojnie, dostrzegł w osobie pierwszej damy jedyną deskę ratunku. Cała afera skończyła się, gdy w Boże Narodzenie „Młody Marszałek" nie tylko pozwolił dyktatorowi i jego żonie odlecieć do Pekinu, lecz także, bojąc się zemsty własnych ludzi, osobiście oddał im się w niewolę i zabrał z nimi.

W 1937 r. zaczęła się japońska inwazja na Republikę Chińską. Władze centralne porzuciły Nankin i przeniosły się do Chongqingu w Syczuanie, który ustanowiono tymczasową stolicą. Meiling wiernie trwała tu przy mężu, poświęcając się ponownie pracy humanitarnej. Mimo iż trudne warunki klimatyczne (upał i ogromna wilgotność) niekorzystnie odbijały się na jej zdrowiu, dzielna Madame Czang odwiedzała rannych żołnierzy, dbała o sieroty. Pod koniec roku 1942 wyjechała do USA, a spędziwszy trochę czasu w tamtejszych szpitalach, w roku 1943 odbyła objazd po Stanach, przemawiając m.in. w Kongresie czy spotykając się z tłumami Amerykanów w Nowym Jorku i innych miastach. Jej wygłaszane doskonałym angielskim przemówienia zjednywały sprawie chińskiej dziesiątki tysięcy zwolenników. Gdy w końcu zmęczona pierwsza dama wróciła do Chongqingu, jej mąż nie posiadał się z dumy i radości.

Pod koniec wojny, gdy zdrowie Meiling ponownie zaczęło szwankować, wyjechała do Brazylii, a potem do Nowego Jorku. Tym razem była to podróż prywatna. W USA zastała ją kapitulacja Japonii, tam też spędziła okres chińskiej wojny domowej z lat 1946–1949. Do męża dołączyła dopiero w 1950 r., gdy obszar jego władzy skurczył się już tylko do Tajwanu. Jednakże jej przybycie miało potężny wydźwięk propagandowy – na wyspie spodziewano się lada dzień komunistycznej inwazji i kto mógł, starał się z niej uciec. To, że pierwsza dama Republiki Chińskiej, na którą czerwoni wydali już zaocznie wyrok śmierci, w takiej sytuacji porzuca bezpieczne schronienie w Stanach Zjednoczonych i przybywa na front, znacząco podniosło morale.

OSTATNIE LATA

Przez następne 26 lat Song Meiling trwała przy boku męża, pełniącego de facto dożywotnio (kolejne wybory były fingowane) funkcję prezydenta Republiki Chińskiej, obejmującej już tylko Tajwan i przyległe wysepki. Nie angażowała się w politykę, poświęcając nowej pasji – malarstwu w stylu chińskim. Równocześnie nadal wiele czasu zajmowała jej praca charytatywna, zjednująca serca zarówno uciekinierów z kontynentu, jak i rdzennych Tajwańczyków nieprzepadających za reżimem Kuomintangu. Osobiście zainicjowała akcję walki z chorobą Heinego-Medina siejącą spustoszenie wśród tajwańskich dzieci, odwiedzała też leprozoria, gdzie niczym księżna Diana spotykała się z chorymi na AIDS czy, zdjąwszy rękawiczki, witała się uściskiem dłoni z trędowatymi.

W roku 1975 r. 87-letni Czang Kaj-szejk umarł. Po jego śmierci czule opiekująca się nim w ostatnich chwilach żona wyemigrowała do Nowego Jorku, gdzie spędziła resztę życia, rozpamiętując niezwykłe koleje swoich losów i wspominając ukochanego mężczyznę, którego zdjęcie stało na honorowym miejscu w jej apartamencie. Okazała się zaskakująco długowieczna, dożyła bowiem matuzalemowego wieku 105 lat, zachowując przy tym pełną sprawność umysłu! Pod koniec życia często słyszano jak mówi: „Dlaczego jeszcze nie umarłam? Bóg chyba o mnie zapomniał". Wszechmogący przypomniał sobie o naszej bohaterce dopiero w nocy 23 października 2003 r., gdy zgłosił się po jej duszę. Pierwsza dama Państwa Środka zmarła we śnie, zamykając niezwykłą epopeję obejmującą trzy stulecia.

W Chinach nazwisko stawia się przed imieniem i tej tradycji trzymał się autor artykułu, wyjątek robiąc tylko dla silnie zamerykanizowanego Charlesa Songa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Bolesław Bierut

Bierut był drugim z kolei władcą Polski Ludowej. Funkcję przywódcy PPR-PZPR sprawował po Władysławie Gomułce od sierpnia 1948 r. do marca 1956 r. Był też „prezydentem". Podczas kadencji towarzysza Aleksandra Kwaśniewskiego w latach 1995–2005 Bierut wisiał… na stronie prezydent.pl. Bardzo często można się spotkać z opinią, że był gorszy od swego poprzednika, choć na taką ocenę może mieć jakiś wpływ druga kadencja Gomułki – od października 1956 do grudnia 1970 r.

Bierut, tak jak oni wszyscy, był człowiekiem Moskwy. Odpowiednie przeszkolenie i przygotowanie otrzymał w Związku Sowieckim w okresie międzywojennym (jako „Iwan Iwaniuk"). Został również przyjęty do stalinowskiej partii komunistycznej, Stalin dbał bowiem o to, aby mieć w zanadrzu dość szerokie zaplecze kadrowe nie tylko dla krajów podbitych, lecz także dla tych, które podbić zamierzał. Po stratach w wyniku czystek w KPP (1937–1939) i nieuniknionych stratach wojennych tacy funkcjonariusze jak Bierut nagle znaleźli się w samej czołówce agentów dla Polski.

Gdy w lipcu 1944 r. zainaugurowana została sowiecka okupacja Polski (pod pozorem „samodzielnej" Polski Ludowej), Bierut kumulował najwyższe funkcje, choć początkowo oficjalnie był… bezpartyjny, co było wyłącznie chwytem propagandowym. Jako „głowa państwa" miał prawie nieograniczone prawo życia i śmierci wobec polskich patriotów skazywanych masowo m.in. przez komunistyczne sądy, które – nawiasem mówiąc – działały bez prawa do zaistnienia i działania nawet w systemie Polski Ludowej. Na ogół owe wyroki zatwierdzał. Nie korzystając z prawa łaski wobec nich, w tym wobec Witolda Pileckiego, stawał się ich współmordercą.

Szczególną uwagę poświęcał sprawom Kościoła, pilnując, aby jak najszybciej doprowadzić do jego upadku i likwidacji, tak, jak to się działo w innych krajach komunistycznych.

Po śmierci Stalina i szczególnie po XX zjeździe partii sowieckiej zaczęły się poważne zmiany kadrowe. W Moskwie doszło do masowego pomoru przywódców krajów komunistycznych. Nie ominęło to i Bieruta. Dwunastego marca 1956 r. towarzysz Bierut zmarł tam oficjalnie z powodu „zakrzepicy tętnicy płucnej". Miał niespełna 64 lata. Członkowie „wielkiej trójki" – Jakub Berman i Hilary Minc – uszli wprawdzie z życiem, ale stracili stanowiska. To na poprzednie kierownictwo partii miała spaść wszelka odpowiedzialność za „stalinizm", choć następcy Bieruta, Edward Ochab i Władysław Gomułka, nie byli lepsi.

Bierut spoczywa do dziś na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w okazałym mauzoleum w Alei Zasłużonych. Ale zasłużonych dla kogo? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nie tylko Szpicbródka

Stanisław Cichocki uchodził za króla kasiarzy, miał jednak znakomitych poprzedników. Była to grupa przestępcza znienawidzona przez bankierów, przemysłowców czy zamożnych kupców, jednak szerokie kręgi społeczeństwa traktowały ich z pewną dozą sympatii. Nie potępiano specjalnie rabowania najbogatszych, z reguły dobrze ubezpieczonych, i czasami wręcz kibicowano złodziejom. Kasiarze stanowili bowiem elitę zawodu, unikali brutalnych metod, a uszczuplanie majątku zamożnych obywateli często uważano za rodzaj „sprawiedliwości społecznej". Doceniano zresztą pomysłowość, tupet oraz bezczelność włamywaczy i wbrew oficjalnemu nastawieniu prasy ich działania nieraz spotykały się z przychylnymi komentarzami…

Pierwsze kasy pancerne zaczęto wprowadzać w połowie XIX w., pojawiły się wówczas też systemy alarmowe, które miały zawiadamiać o próbach rabunku, zanim przestępcy przystąpią do prucia kas. Złodzieje działali jednak z niezwykłym tupetem, a jedną z najbardziej ich bezczelnych akcji było włamanie przez dach do ekskluzywnego składu futer w Warszawie. Zanim przystąpili do rabunku, zjedli elegancką kolację, a dopiero potem przystąpili do pracy, opróżniając zarówno kasę pancerną, jak i sklep z najcenniejszego towaru.

Doświadczeni złodzieje doskonale orientowali się w słabych stronach różnego rodzaju sejfów. Wiedzieli, do których modeli można dostać się z boku, a do których wyłącznie od strony ściany tylnej. Prawdziwi fachowcy nigdy nie włamywali się bez dobrego rozpoznania – od doboru odpowiednich narzędzi zależało powodzenie całego przedsięwzięcia. Nie pracowano też wyłącznie w jednym miejscu, a częste zmiany terenu działania zwiększały skuteczność kradzieży. Dzięki dużej mobilności najlepsi fachowcy mogli bez większych przeszkód rabować przez długie lata.

Wybitni specjaliści od prucia kas cieszyli się wielkim szacunkiem w środowisku i gdy policja Wolnego Miasta Gdańska zastrzeliła jednego z najlepszych kasiarzy, niejakiego Birnbauma, jego znajomi z półświatka sprowadzili na własny koszt jego zwłoki do Warszawy. W pogrzebie na warszawskim Bródnie wzięło podobno udział aż 5 tys. żałobników, a cała impreza przypominała uroczystości żałobne amerykańskich rodzin mafijnych. Jednak to nie Birnbaum stał się symbolem kasiarza; rola ta miała przypaść Stanisławowi Cichockiemu nazywanemu Szpicbródką, a utrwalił to znakomity film pt. „Hallo Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy". Obraz w reżyserii Janusza Rzeszewskiego i Mieczysława Jahody miał premierę 16 października 1978 r. i do dzisiaj cieszy się dużym powodzeniem. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

FOT. ADOBE STOCK

WSZYSTKIE DZIECI NASZE SĄ

W tym miesiącu na świat ma przyjść w Barcelonie dziecko, które postanowiono sprowadzić na świat w ramach tzw. coparentingu. Założona w Katalonii firma Copaternidad zajęła się kojarzeniem ludzi tak, jak szuka się partnerów w biznesie. Przyszli rodzice nie będą więc tworzyć rodziny, nie będą nawet żadną bliską sobie parą (ba, mogą mieć nawet innych partnerów, z którymi żyją), nie będą mieć wobec siebie żadnych zobowiązań. Po prostu chcieli mieć dziecko, tak jak chce się mieć lodówkę czy psa. Będą więc w ramach umowy naprzemiennie zajmować się dzieckiem. „Ludzie mają utrwalone pewne struktury mentalne, ale to się zmienia" – przekonuje w hiszpańskiej prasie założycielka firmy i antropolog Carmen Balaguer.

TRENER ZASTRZELONY

Club Tigres de Bogota to drugoligowa drużyna piłki nożnej z Kolumbii. W drugiej lidze radzi sobie słabo i grozi jej spadek. Pod koniec września drużyna znów przegrała – z Atletico FC 2:3. Kibice postanowili ukarać za to trenera. Gdy 63-letni Edgar Paez wracał wraz z córką z przegranego meczu, jeszcze obok stadionu Metropolitano de Techo zatrzymało się obok niego dwóch motocyklistów. Otworzyli ogień. Trener nie przeżył zamachu. W Kolumbii to nie pierwszyzna. W 1994 r. na mundialu w USA Kolumbia grała z gospodarzami. Kolumbijski obrońca Andrés Escobar strzelił w tym meczu samobójczego gola. Po powrocie z mistrzostw wybrał się do baru w Medellin. Tam kibic, który nie mógł przełknąć porażki, strzelił do niego sześć razy. Piłkarz tego nie przeżył.

MAKIETY ZAMIAST TOWARÓW

Już co najmniej rok temu pojawiały się informacje (podawaliśmy je w tej rubryce), że na zachodzie Europy część spożywczych towarów – takich jak ser czy masło – jest zabezpieczana specjalnymi antykradzieżowymi magnesami. Za wzmożenie kradzieży winiono pandemię i wzrost cen. Teraz jest jeszcze gorzej. W Niemczech w porównaniu z ubiegłym rokiem kradzieże w sklepach wzrosły o 30 proc. W Wielkiej Brytanii i USA mówi się już nawet o „epidemii" sklepowych kradzieży. W tych dwóch krajach na półkach czasem zamiast towarów umieszcza się tylko makiety, a prawdziwy towar wydaje jedynie obsługa.

POSTRACH RESTAURACJI

Restauratorzy w hiszpańskim regionie Costa Blanca zaczęli się wzajemnie ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Przesyłają sobie wizerunek 50-letniego Litwina, który nie zapłacił za posiłek już co najmniej w 20 lokalach. Mężczyzna zjawiał się w restauracji, zamawiał, zjadał, a potem symulował atak serca. Po udaniu sceny omdlenia i wezwaniu pomocy nagle powoli do siebie dochodził i opuszczał lokal. Bez uregulowania rachunku. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Holendrzy non grata

Najwyższy czas, aby europosłowie zaczęli się domagać unijnego dochodzenia w sprawie naruszeń praworządności w Holandii i rosnących problemów tego kraju z rasizmem i ksenofobią. I nie chodzi o stereotypowy wizerunek Holendrów w wielu kulturach, zgodnie z którym są to ludzie nie tylko bardziej skąpi od Szkotów, lecz także tak „bezpośredni", że podobne zachowanie w krajach cywilizowanych określałoby się już po prostu mianem chamstwa.

Wiele wskazuje na to, że w kraju potomków kolonialistów, który dziś bardziej niż z pięknymi polami tulipanów jest raczej kojarzony z niestabilnymi rządami oraz naćpanymi klientami coffee shopów, ofiarą systemowego rasizmu i ksenofobii kolejny raz padli Polacy.

Z licznych relacji piłkarzy i działaczy Legii Warszawa wynika, że nasi rodacy zostali bestialsko potraktowani przez holenderskie służby. I że padli ofiarą szowinistycznego ataku tylko dlatego, że są Polakami. Na skandaliczne zachowanie Holendrów w Alkmaar skarżył się też m.in. polityk PO Andrzej Halicki, który podkreślał, że naruszano jego nietykalność cielesną, mimo że zwracał uwagę, iż jest europosłem.

Słusznie więc polskie MSZ wezwało na dywanik ambasador Holandii, a wiceszef dyplomacji Paweł Jabłoński żądał ukarania osób odpowiedzialnych za dyskryminację naszych obywateli. Słusznie też wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski pytał w jednym z wywiadów, jak taki kraj śmie nas pouczać w sprawie praworządności. Niezależnie od wyniku wyborów tej sprawy nie wolno odpuścić. Bez ukarania winnych i oficjalnych przeprosin ze strony burmistrz Alkamaar trudno wyobrazić sobie dobre stosunki między Polską a Holandią. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

Palestyńsko-izraelski Armagedon

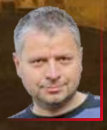

Witold Repetowicz

Ponad 2 tys. ofiar ataku Hamasu na Izrael to dopiero początek. Można się spodziewać publicznych egzekucji zakładników oraz gigantycznej katastrofy humanitarnej, a ostateczny bilans konfliktu po kilku miesiącach może sięgnąć kilkudziesięciu tysięcy zabitych. O ile świat zachodni zszokowały zdjęcia zamordowanych Izraelczyków, o tyle nastroje w świecie muzułmańskim podgrzewać będą obrazy ginących Palestyńczyków. Ekstremistom po obu stronach na tym zależy, choć z różnych powodów

To, że Izrael dał się zaskoczyć Hamasowi, jest z pewnością największą klęską tego państwa co najmniej od 1973 r., tj. od wojny Jom Kippur. Wówczas armie Egiptu i Syrii zaskoczyły Izrael, spychając go do defensywy przez pierwsze trzy dni wojny. Ostatecznie Izrael odzyskał wszystkie terytoria, ale w ciągu trzech tygodni zginęło ponad 2,5 tys. Izraelczyków, a prawie 300 dostało się do niewoli. Różnica między tamtą sytuacją a obecną jest jednak taka, że wówczas walki toczyły się na Synaju i Wzgórzach Golan, czyli terenach okupowanych, a nie we właściwym Izraelu. Jeńcy natomiast znaleźli się w rękach wrogich państw rządzonych przez autorytarne, ale świeckie reżimy, a nie dżihadystycznych organizacji terrorystycznych, takich jak Hamas i Islamski Dżihad. Ponadto tamto społeczeństwo izraelskie było inne, pamiętające Holokaust, doświadczone wojnami z lat 1948 i 1967 oraz znacznie bardziej zjednoczone. Na czele państwa stały osoby z ogromnym autorytetem, takie jak premier Golda Meir czy minister obrony Mosze Dajan. Tymczasem obecnie jest ono wyjątkowo podzielone, premier jest znienawidzony przez połowę społeczeństwa, a jego przyszłość oparta jest na poparciu kahanistów, czyli żydowskich ekstremistów pod wodzą Itamara Ben-Gwira oraz Becalela Smotricza.

IZRAELSCY EKSTREMIŚCI

To właśnie te podziały doprowadziły Państwo Żydowskie do wyjątkowego chaosu i osłabiły jego instytucje, w tym w szczególności te odpowiedzialne za bezpieczeństwo. Kluczowe znaczenie w tym kontekście miały oskarżenia Netanjahu o korupcję, które znacznie ograniczyły jego możliwości koalicyjne. Ponadto jedyną szansą na uniknięcie postawienia w stan oskarżenia (a w konsekwencji najprawdopodobniej więzienia) było dla niego utrzymywanie się przy władzy. Dlatego

eprasa.pl cae6db74eb

– Walczymy z ludźmi-zwierzętami i postępujemy adekwatnie – oznajmił minister obrony Izraela Joaw Galant. Na zdjęciu: bombardowanie Strefy Gazy

FOT. AHMED ZAKOT/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

między kwietniem 2019 r. a listopadem 2022 r. Izraelczycy pięć razy szli głosować w wyborach parlamentarnych. Silnie spolaryzowaną scenę polityczną w Izraelu dodatkowo komplikuje to, że ok. 10 proc. mandatów przypada partiom arabskim. Jednak największym szokiem politycznym był ogromny sukces religijno-syjonistycznych ekstremistów w ostatnich wyborach. Jeszcze w 2019 r. uzyskali oni tylko dwa mandaty w 120-osobowym Knesecie, a teraz mają ich 14. Netanjahu mógł stworzyć koalicję tylko z nimi i dwoma partiami ortodoksyjnymi. Ceną za to było oddanie znacznej kontroli nad polityką palestyńską liderom ekstremistów, tj. Itamarowi Ben-Gwirowi, który został ministrem bezpieczeństwa wewnętrznego, oraz Becalelowi Smotriczowi, który objął tekę ministra finansów oraz wysokie stanowisko w ministerstwie obrony.

Obaj są rasistami nienawidzącymi Arabów i dążącymi do całkowitej eliminacji Palestyńczyków z terenów, które według nich powinny należeć do Izraela, a zatem z całego Zachodniego Brzegu. Smotricz występował zresztą na tle mapy jeszcze większego Izraela, co groziło kryzysem w relacjach z Jordanią. Z kolei z Ben-Gwirem związane są bojówki osadników żydowskich, które napadają na Palestyńczyków, a w marcu urządziły pogrom w wiosce Huwara. Oczywiście tamte akty przemocy wobec Palestyńczyków są nieproporcjonalne wobec skali masakry dokonanej 7 października przez Hamas, jednakże pokazują, jak nakręcana była eskalacja trwającego od dekad konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Ruch kahanistów, z którego wywodzi się Ben-Gwir, został w latach 90. uznany za terrorystyczny w USA i Izraelu, gdyż jeden z jego aktywistów, Baruch Goldstein, w 1994 r. dokonał masakry w Jaskini Praojców w Hebronie, mordując tam 29 Palestyńczyków i raniąc ponad 100.

Podczas gdy proces pokojowy utknął w martwym punkcie, perspektywy państwa palestyńskiego zmalały niemal do zera, ekstremiści w rządzie izraelskim dokonywali ekspansji żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu, a państwa arabskie wykazywały coraz większe zainteresowanie normalizacją relacji z Izraelem w imię wspólnych interesów oraz obawy przed Iranem. W 2020 r. Zjednoczone Emiraty Arabskie, Maroko – oraz kilka innych państw – podpisały z Izraelem historyczne Porozumienia Abrahamowe. Następna w kolejce miała być Arabia Saudyjska, na czym bardzo mocno zależało zarówno amerykańskiemu prezydentowi Joe Bidenowi, jak i premierowi Izraela Beniaminowi Netanjahu. Obaj, znajdując się pod coraz silniejszą presją przeciwników politycznych, potrzebowali sukcesu. Saudyjski następca tronu postawił jednak bardzo problematyczny warunek, żądając od USA zgody na uruchomienie saudyjskiego programu nuklearnego i – by podnieść poprzeczkę – znormalizował stosunki z Iranem. Jednakże po krótkim okresie okazywania sobie ostentacyjnej miłości „przyjaźń" się jednak nie rozwinęła, a do dealu saudyjsko-izraelskiego było coraz bliżej. Oprócz kwestii nuklearnej konieczne były jednak jeszcze jakieś ustępstwa w kwestii palestyńskiej, by uspokoić „arabską ulicę", która wykazywała znacznie większą więź ze swoimi palestyńskimi „braćmi" niż przywódcy. Na to nie było jednak zgody ze strony ekstremistycznych sojuszników Netanjahu.

PRZYCZYNY SPEKTAKULARNEJ KLĘSKI

Również Iran był zainteresowany storpedowaniem tego porozumienia, i to nie tylko ze względu na samą normalizację z Izraelem, lecz także perspektywę atomowego saudyjskiego rywala. Iran oczywiście wsparł Hamas, ale to, czy atak był planem opracowanym w Teheranie czy też autonomiczną decyzją palestyńskich ekstremistów, jest kwestią otwartą. Administracja Bidena unika oskarżenia Iranu, gdyż wymagałoby to adekwatnej odpowiedzi, zwłaszcza że w ataku zginęło co najmniej 14 obywateli USA i są oni też wśród zakładników, a republikanie już obarczają obecnego prezydenta odpowiedzialnością za to, co się stało. Relacje między Bidenem a Netanjahu były bowiem bardzo napięte i izraelski premier dostał zaproszenie do Białego Domu dopiero po dziewięciu miesiącach urzędowania. Z kolei Smotricz i Ben-Gwir zostali uznani za persona non grata i USA odmówiły z nimi współpracy. Ekipa Trumpa z całą pewnością będzie za to Bidena atakować, sugerując, że osłabiło to kooperację z zakresu bezpieczeństwa. Przyczyną chłodnego stosunku Bidena do Netanjahu był nie tylko problem kahanistów, lecz także forsowana przez Netanjahu reforma sądownictwa, która w bezprecedensowy sposób podzieliła Izrael i doprowadziła nie tylko do masowych protestów, lecz także do strajków rezerwistów etc. Uderzyło to niewątpliwie w funkcjonowanie instytucji bezpieczeństwa, z czego skorzystał Hamas.

Chaos, podziały, osłabienie współpracy izraelsko-amerykańskiej oraz niekompetencja Ben-Gwira i Smotricza i ich spory z ministrem obrony Joawem Gallantem – to przyczyny spektakularnej klęski. Bitwa stoczona pierwszego dnia wojny została przez Izrael przegrana w sposób kompromitujący, a liczba ofiar przekroczyła 1 tys.

eprasa.pl cae6db74eb

Do tego dojdą egzekucje zakładników, które Hamas już zapowiedział, i są one raczej, niestety, nieuniknione. Będą one nagrywane, by zastraszyć stronę izraelską, a choć świat zachodni będzie oburzony barbarzyństwem terrorystów, to reakcja świata arabsko-muzułmańskiego będzie zupełnie inna. Tam działać będą obrazy cierpień palestyńskich kobiet i dzieci, które również są nieuniknione. Izrael ogłosił całkowitą blokadę Strefy Gazy i odciął dostawy prądu, żywności i nawet wody. To oczywiście spowoduje gigantyczną klęskę humanitarną, która wpisuje się w plany Hamasu. Jego członkowie będą ostatnimi, których te działania dotkną, a organizacja ta uzyska amunicję w wojnie informacyjnej. Izrael wprawdzie wezwał mieszkańców Strefy Gazy do ewakuacji do Egiptu, ale, po pierwsze, granica z Egiptem jest zamknięta i wątpliwe, by kraj ten chciał ją otworzyć i wpuścić dwumilionowy strumień uchodźców, a po drugie – równie wątpliwe jest to, by Hamas chciał tych ludzi wypuścić. Dla Egiptu byłby to gigantyczny problem humanitarny oraz zagrożenie terrorystyczne, gdyż Hamas i Islamski Dżihad powiązane są z Bractwem Muzułmańskim, które w tym kraju jest nielegalne, a jego liderzy są w więzieniu. Amerykański doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, Jake Sullivan, poinformował wprawdzie, że USA rozmawia z Izraelem o „bezpiecznym przejściu" cywilów z Gazy, tyle że nie wiadomo dokąd i czy Hamas tego nie zablokuje, gdyż ludność cywilna potrzebna jest mu jako żywe tarcze i potencjalni męczennicy.

Oblężenie Strefy Gazy i zmasowane ataki rakietowe obracające zabudowania Strefy Gazy w gruzy nie przetrącą Hamasowi kręgosłupa, co ma być teraz celem Izraela. Gaza to bowiem również sieć korytarzy podziemnych, w których Hamas poukrywał swoje aktywa. Zatem najprawdopodobniej Izrael wejdzie do Strefy Gazy, jednakże walki tam będą długie i krwawe (zwłaszcza że trzy dni po ataku Netanjahu przyznał, iż Izrael wciąż nie zdołał oczyścić własnego terytorium i wciąż możliwe jest przenikanie do niego terrorystów), a i tak nie gwarantują sukcesu. Liderzy Hamasu siedzą bowiem za granicą: w Turcji, Katarze i Libanie, a im więcej będzie „męczenników", tym więcej pojawi się chętnych, by ich zastąpić. Aby wyplenić Hamas z Gazy, Izrael musiałby pozbyć się stamtąd wszystkich mieszkających tam Palestyńczyków, czyli 2 mln. I być może to jest plan kahanistów. Nie można wykluczyć, że ludzie Ben-Gwira i Smotricza sabotowali informacje o zagrożeniu ataku ze strony Hamasu, by wywołać szok w Izraelu i spowodować, by ich rasistowska percepcja Arabów jako zwierząt stała się powszechna. Celem tego nurtu jest po prostu „ostateczne rozwiązanie kwestii palestyńskiej". Jednak większość Izraelczyków odcina się od nich, a opozycja, oferując Netanjahu stworzenie wspólnego rządu, postawiła warunek, by nie było w nim tych ekstremistów. Przyszłość samego Netanjahu rysuje się w ciemnych barwach. Już teraz pojawiły się doniesienia, że ignorował ostrzeżenia np. wywiadu egipskiego. On sam zaprzecza, ale możliwe, że robił to, by nie zaszkodzić perspektywom normalizacji z Arabią Saudyjską, co było od dawna jego idea fix.

OTWARCIE INNYCH FRONTÓW?

Tymczasem Hamas wciąż zachowuje zdolność rażenia Izraela. We wtorek 10 października, odpowiadając na izraelskie wezwanie opuszczenia Gazy przez cywilów, sam ostrzegł mieszkańców izraelskiego miasta Aszkelon, że jeśli go nie opuszczą, to zginą od jego rakiet. Możliwe jest też otwarcie innych frontów, w szczególności północnego (szyicki Hezbollah atakujący z Libanu) i wschodniego (Zachodni Brzeg). Do niewielkiej wymiany ognia z Hezbollahem doszło już pierwszego dnia, ale później libański minister spraw zagranicznych oświadczył, że Hezbollah nie chce brać udziału w tym konflikcie. Jest to zrozumiałe, gdyż choć byłby to dodatkowy cios dla Izraela, to dla Libanu byłaby to kompletna katastrofa, a ostatecznie pokonany Hezbollah straciłby tam wpływy. Hamas tego obawiać się nie musi, bo ma w Gazie monopol. Jednak w poniedziałek doszło do eskalacji na linii Hezbollah – Izrael, w której zginęło czterech bojowników libańskiej organizacji. Netanjahu wprawdzie zapowiedział, że celem Izraela jest ograniczenie walk do Gazy, ale sytuacja może łatwo wymknąć się spod kontroli, a Izrael na wszelki wypadek zgromadził już swoje wojska również na tym kierunku.

Zjednoczone Emiraty Arabskie ostrzegły natomiast Baszara Assada, by Syria nie włączała się do konfliktu. Pojawiły się też doniesienia, że Izrael miał zagrozić bombardowaniem Damaszku, jeśli Hezbollah otworzy front libański.

Na Zachodnim Brzegu na razie nie wybuchły walki na dużą skalę, ale od dawna spekulowano o możliwym wybuchu tam nowej intifady. Młodzieżowa organizacja terrorystyczna Jaskinia Lwa już wezwała tam do konfrontacji z Izraelem i pojawiają się doniesienia o zabitych oraz rannych, choć nie na taką skalę jak w Strefie Gazy, gdzie po czterech dniach walk zabitych było już ponad 900 osób, a rannych ponad 4 tys. osób.

WZROST ZAGROŻENIA TERRORYZMEM

Konflikt w Strefie Gazy spowoduje też wzrost zagrożenia terrorystycznego, i to nie tylko w Izraelu, lecz także w Europie. Już w pierwszych dniach wojny pojawiły się informacje o możliwych zamachach. Gdy Hamas zacznie epatować zdjęciami palestyńskich ofiar, to w świecie arabsko-muzułmańskim narastać będą oskarżenia wobec Zachodu o hipokryzję, które z całą pewnością podsycać będzie Rosja, odgrywająca rolę „patrona" sprawy palestyńskiej. Dlatego też narracja przypisująca Rosji to, że stała za atakiem Hamasu na Izrael, jest szkodliwa, gdyż sprzyja budowaniu jej pozytywnego obrazu po tamtej stronie. Rosyjska propaganda będzie podjudzać muzułmanów do atakowania Zachodu, wykorzystując jego jednoznaczne poparcie dla Izraela. Dotyczy to w szczególności USA, które wysłały tam swój lotniskowiec Gerald Ford, a także grupę uderzeniową, a amerykańscy specjaliści prawdopodobnie wezmą udział w izraelskiej inwazji na Gazę.

Groźba zamachów będzie większa, jeśli wojna ta przekształci się w konflikt regionalny, a także jeśli Hamas zdecyduje się na wypuszczenie części lub całości cywilów ze Strefy Gazy i popłyną do Europy. Oczywiście wśród uciekających pełno będzie terrorystów, których zadaniem będzie uderzenie w cele żydowskie w Europie. Bedzie to korzystne dla Rosji, więc może ona udzielić odpowiedniej „zachęty" Hamasowi. No i oczywiście będzie to korzystne dla Izraela, bo pozbędzie się Palestyńczyków z Gazy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

Ukraińska partia na uchodźstwie

Maciej Pieczyński

Wojna zmusiła miliony Ukraińców do opuszczenia ojczyzny. Nawet jeśli nie wrócą do kraju, to poza jego granicami mogą efektywnie służyć interesom Kijowa. O „ukraińskiej partii" w Polsce mówią dziś już sami Ukraińcy. To odległa i mglista, ale realna perspektywa

Ukraińska diaspora na świecie czasem niechcący zaszkodzi Kijowowi. Symptomatycznym przykładem jest afera związana z odznaczeniem weterana SS-Galizien Jarosława Hunki w parlamencie kanadyjskim, w obecności prezydenta Zełenskiego i premiera Trudeau. Spiker parlamentu Anthony Rota nazwał Hunkę „ukraińskim i kanadyjskim bohaterem, który walczył z Rosjanami". Po protestach kanadyjskich organizacji żydowskich i polonijnych Trudeau i Rota przeprosili. Spiker zrezygnował nawet ze stanowiska. Ukraińskie władze w żaden sposób nie wyraziły ubolewania. Szef biura prezydenta, Andrij Jermak, umył ręce, stwierdzając, że Ukraina nie odpowiada za to, kto jest zapraszany do kanadyjskiego parlamentu. Tłumaczenie dość cyniczne, biorąc pod uwagę fakt, że zaproszony był przedstawiony jako „ukraiński bohater". Bardzo możliwe, że Zełenski, niezbyt dobrze znający historię, mógł nie do końca zdawać sobie sprawę z tego, czym była SS-Galizien. Gdy jednak skalę kontrowersji uświadomiła mu reakcja środowisk polskich i żydowskich, posypywać głowy popiołem nie zamierzał.

Ciekawie sprawę skomentował Wasyl Rasewycz, ukraiński historyk i publicysta, który sympatyzuje z Zełenskim, ale przy tym jest pozytywnie nastawiony do Polski. Jednocześnie jest krytyczny wobec prowadzonej niezmiennie od czasów Juszczenki i Poroszenki ukraińskiej polityki historycznej, polegającej na gloryfikacji OUN, UPA czy na usprawiedliwianiu SS-Galizien. Według Rasewycza owa polityka historyczna była „kierowana i finansowana przez ukraińską diasporę" w USA i Kanadzie, w dużej mierze złożoną z potomków nazistowskich kolaborantów. Jak ironizuje publicysta, „diasporę można zrozumieć", bo naturalna jest chęć wybielenia własnych ojców i dziadków, ale już władze w Kijowie powinny mieć świadomość, że promowanie kultu zbrodniarzy jest prezentem dla kremlowskiej propagandy. Rasewycz przypomina również, że podczas wyborów kanadyjska diaspora popierała Poroszenkę, nie zaś Zełenskiego. To zaś jego zdaniem może oznaczać, że afera z Hunką była zaplanowaną „zemstą" na nielubianym polityku.

Jest to jednak wśród ukraińskich komentatorów odosobniona opinia. Generalnie po aferze kanadyjskiej publicyści na Ukrainie wybielali SS-Galizien, argumentując, że jakoby formacji tej nie udowodniono zbrodni przed żadnym trybunałem, więc krytyka pod jej adresem to rezonowanie rosyjskiej propagandy. Ukraińcy zdają się nie rozumieć, że „SS" w nazwie jest wystarczającym powodem, aby ich „bohaterom" zarzucić nazizm…

KAŻDY JEST AGENTEM WPŁYWU

Skandal jednak szybko ucichł i nie spowodował trwałego uszczerbku na wizerunku Kijowa na świecie. Na co dzień ukraińska diaspora zajmuje się raczej lobbowaniem za Ukrainą w kontekście polityki bieżącej, a nie historycznej. Kilka miesięcy temu szefowa zajmującej się ochroną praw człowieka Sieci Obywatelskiej „OPORA", Olha Ajwazowska, oceniła, że najbardziej aktywne politycznie i społecznie są ukraińskie diaspory w Polsce, USA i w Niemczech. Powód jest prosty – im więcej w danym kraju Ukraińców, tym większa ich aktywność. „Każdy obywatel Ukrainy z ukraińskim paszportem jest agentem wpływu Ukrainy, gdzie by on się znajdował" – stwierdziła Ajwazowska w rozmowie z agencją Ukrinform. Realną perspektywą za jakiś czas może być powstanie „partii ukraińskiej" w Polsce. Jeśli przybysze zza naszej południowo-wschodniej granicy uzyskają prawa wyborcze, to mogą stworzyć wpływową siłę polityczną, reprezentującą interesy Kijowa nad Wisłą.

Prognozę zakładającą podobny rozwój wypadków pod koniec września przedstawił ukraiński politolog Witalij Kulik. W programie internetowym Jurija Romanenki stwierdził mianowicie, że w ciągu pięciu najbliższych lat kilkaset tysięcy Ukraińców w Polsce może zyskać obywatelstwo. W konsekwencji, jako

eprasa.pl cae6db74eb

wyborcy, będą mogli uzyskać realny wpływ na sytuację w swojej nowej ojczyźnie. Nie zapominając przy tym o tej poprzedniej, wciąż aktualnej. Kulik podkreślił przy tym znaczenie konsolidacji społeczności ukraińskiej i wejście do polityki, w tym na listy konkretnej partii walczącej o „interesy Ukraińców".

Pretekstem do poruszenia tematu Polski był skandal związany z uhonorowaniem weterana SS-Galizien w Kanadzie. Kulik bronił nazistowskiej formacji, argumentując, że jakoby nie udowodniono jej członkom żadnych zbrodni wojennych. Dodał przy tym, że z politycznego punktu widzenia samo uhonorowanie było ryzykownym krokiem. Intencje były więc dobre, ale wyszło na odwrót, ze szkodą wizerunkową dla Ukrainy. „Można było pomyśleć o następstwach politycznych, bo co dla nas ważniejsze było: pokazać tego weterana czy mieć konkretne konsekwencje" – dodał prowadzący. Wtedy Kulik zauważył: „Poza tym Ukraińcy w Kanadzie w większej liczbie będą mogli głosować za pięć lat [...]. Ta możliwość pojawia się u nas i w innych krajach. Dlatego że otrzymanie obywatelstwa przez naszych emigrantów to perspektywa czasowa do pięciu lat. I wtedy otrzymamy co najmniej kilkaset tysięcy obywateli Polski pochodzenia ukraińskiego, z którymi trzeba będzie ustanowić relacje polityczne. Oni będą wyborcami. To również dziesiątki tysięcy nowych wyborców w Kanadzie, w Niemczech setki tysięcy. To będą wyborcy". Na temat kanadyjskiej diaspory politolog stwierdził, że jest rozproszona, trochę konserwatywna, trochę niekonserwatywna.

„Dobrze by było, gdyby ktoś reprezentował nas w Sejmie" – stwierdziła w imieniu mieszkających w Polsce Ukraińców Natalija Panczenko, współzałożycielka organizacji Euromaidan-Warszawa

Jurij Romanenko zauważył, że „w Polsce i tak już jest ukraińska diaspora, która wynosiła prawie milion (przed wybuchem wojny). Wielu było migrantów zarobkowych, ale tych, którzy otrzymali obywatelstwo, jest kilkaset tysięcy". I kolejni o to obywatelstwo mogą się sukcesywnie ubiegać. Zdaniem Kulika pożądana byłaby polityczna konsolidacja społeczności ukraińskiej w Polsce pozwalająca na skuteczne lobbowanie za polskimi interesami. Zamiast rozpraszać swoje siły, Ukraińcy powinni postawić na jakąś jedną partię polityczną. Jeśli pojawi się w Polsce ugrupowanie, które zadeklaruje, że będzie bronić interesów ukraińskich, to przedstawiciele diaspory ukraińskiej powinni znaleźć się na jej listach wyborczych. „Wtedy zyskamy lobbystę, partnera, politycznego sojusznika i nasza gra stanie się ciekawsza" – prognozuje Kulik.

Przemarsz wdzięczności w związku z masowym przyjmowaniem przez Polaków uchodźców wojennych z Ukrainy, Warszawa, maj 2022 r. FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

Nic nie wiadomo o tym, aby już w tej chwili istniały plany powołania w przyszłości proukraińskiej siły politycznej w Polsce. Nie jest to jednak nierealna perspektywa. Witalij Kulik nie jest jedynym, który głośno artykułuje potrzebę powstania takiego ruchu. „Dobrze by było, gdyby ktoś reprezentował nas w Sejmie" – stwierdziła w imieniu mieszkających w Polsce Ukraińców Natalija Panczenko, współzałożycielka organizacji Euromaidan-Warszawa. Wypowiedź padła na antenie radia RMF FM 8 marca tego roku. „Skoro ta społeczność jest tak duża, to ktoś powinien ją reprezentować. Ale do tej pory o tym nie myśleliśmy, pewnie dlatego, że większość z tych osób i tak ma w tej chwili obywatelstwo ukraińskie, nie ma obywatelstwa polskiego, nie ma prawa głosu w Polsce" – mówiła ukraińska aktywistka mieszkająca w Polsce. Wspominając o „tej społeczności", miała na myśli Ukraińców, którzy przyjechali do Polski po 24 lutego 2022 r. Zwróciła jednak uwagę na to, że tuż przed wojną mieszkało w Polsce ok. 2,5 mln Ukraińców. „I te osoby zaczęły już powoli te obywatelstwa dostawać" – zaznaczyła.

Natalija Panczenko już od dekady działa w Polsce na rzecz interesu ukraińskiego. Jesienią 2013 r., gdy na ulicach Kijowa wybuchły protesty przeciwko Janukowyczowi, które dały początek rewolucji godności, Panczenko założyła organizację Euromaidan-Warszawa. Organizowała pikiety pod ukraińską ambasadą. Po wybuchu wojny w Donbasie prowadziła zbiórkę pomocy dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Prezentuje poglądy reprezentatywne dla sporej części ukraińskiej opinii publicznej i klasy politycznej. Czyli prozachodnie, prounijne, liberalne, antyrosyjskie i łagodnie neobanderowskie zarazem. Publicznie stawiała znak równości pomiędzy Banderą a Piłsudskim. Chwaliła UPA za walkę narodowowyzwoleńczą. Przyznała, że na Wołyniu doszło do zbrodni na Polakach, ale w tej samej wypowiedzi dziwiła się, dlaczego nikt nie pamięta o „ukraińskich ofiarach" polityki II RP. Można się spodziewać, że podobne poglądy na wspólną, polsko-ukraińską historię wyznawałaby potencjalna partia ukraińskiej diaspory. Jak nietrudno się domyślić, takie ugrupowanie zajęłoby miejsce raczej po lewej stronie sceny politycznej. Bez trudu znajdowałoby

eprasa.pl cae6db74eb

zapewne wspólny język z tymi partiami, dla których interes unijny ważniejszy jest od polskiego interesu narodowego.

UKRAIŃCY ZA LEWICĄ

Ukraińców w Polsce można podzielić na dwie grupy. Pierwszą stanowią emigranci zarobkowi i uchodźcy wojenni, przybyli w dużej mierze po 2014 r. albo po 24 lutego 2022 r. Drugą – mniejszość ukraińska w Polsce. Początkowo te dwie grupy wiele różniło. Mniejszość to obywatele polscy pochodzenia ukraińskiego, w dużej mierze potomkowie rodzin przesiedlonych na tzw. Ziemie Odzyskane w ramach akcji „Wisła". Wychowani w Polsce, o wiele lepiej mówiący po polsku niż po ukraińsku, mocno skupieni na rozwijaniu kultury ukraińskiej na obczyźnie. W tym środowisku dostrzegalne jest typowe dla diaspory zjawisko. Czyli idealizacja kraju pochodzenia i gorący patriotyzm, większy niż średnia w kraju pochodzenia.

Jak nietrudno się domyślić, działacze mniejszości ukraińskiej w Polsce trzymają z polską lewicą i liberałami, niechętnie odnoszą się do prawicy. W sporach o historię również przyjmują raczej punkt widzenia Kijowa niż Warszawy. Zupełnie odmienną grupą początkowo wydawali się obywatele ukraińscy, przybywający do Polski po 2014 r. W dużej mierze są to przybysze ze wschodu kraju, z terenów rosyjskojęzycznych. Ci spośród nich, którzy przyjeżdżali do Polski „za chlebem" przed lub po wybuchu hybrydowej fazy konfliktu, nastawieni byli raczej niezbyt patriotycznie. Po prostu szukali nowego, lepszego początku na Zachodzie, z dala od swojej skorumpowanej i nieobiecującej perspektyw ojczyzny. Dlatego raczej szukali dobrze płatnej pracy niż współpracy ze Związkiem Ukraińców w Polsce. Nie przyjeżdżali po to, aby pomagać w krzewieniu kultury ukraińskiej nad Wisłą, ale po to, by lepiej żyć. Wśród tych, którzy przyjechali po pełnoskalowej napaści rosyjskiej, z pewnością również takich jest wielu. Poza tym jednak podniosła atmosfera konfrontacji z agresorem, w której Kijowowi kibicuje cały świat, wpływa znacząco na nastroje wśród uchodźców. Z jednej strony, polskie społeczeństwo jest coraz bardziej zmęczone nadmiernie uległą wobec Ukrainy polityką rządu, czemu daje wyraz. Z drugiej strony, większość mediów i spora część klasy politycznej podtrzymuje swoje proukraińskie sympatie albo przynajmniej solidarność z Ukrainą i podziw dla bohaterskich pogromców armii rosyjskiej.

W tej sytuacji ukraińscy uchodźcy, nawet jeśli mieli szczerze dość swojego skorumpowanego kraju, mogą jednak czuć z niego autentyczną dumę. Być patriotą na bezpiecznej emigracji w rozwiniętym gospodarczo kraju jest łatwiej niż w ogarniętej wojną ojczyźnie. Tym bardziej jeśli ów patriotyzm lewicowe elity kraju przyjmującego podziwiają i szanują bardziej niż patriotyzm swoich rodaków. Dlatego można się spodziewać, że gdy tylko nadarzy się okazja, Ukraińcy, którzy znaleźli w Polsce schronienie, chętnie zaangażują się w proukraińską działalność polityczną, ciesząc się medialnym poparciem takich mediów jak „Gazeta Wyborcza", OKO.press czy TVN24. I to ramię w ramię z działaczami wspomnianej już mniejszości. Aktywiści Związku Ukraińców w Polsce mają już przetarte szlaki. Były szef ZUwP Piotr Tyma często krytykuje polską prawicę na łamach lewicowych mediów. W obecnych władzach Związku zasiada jeden polityk PO i jeden były polityk Unii Demokratycznej oraz Unii Wolności.

KRYTYKA PIS

Tym drugim jest Mirosław Czech. W latach 1993–2001 zasiadał w Sejmie z ramienia UD, a następnie UW. W ostatnich miesiącach często komentował konflikt na linii Kijów – Warszawa. Wypowiadał się zarówno na łamach polskich, jak i ukraińskich mediów. Za każdym razem broniąc ukraińskiego punktu widzenia. „W apelowaniu przez polskich rządzących do »poczucia wdzięczności« Ukraińców najbardziej oburzające jest to, że za »moralnością« podobnych apeli kryje się polityczna i ekonomiczna kalkulacja. I im ktoś głośniej stroi się w piórka wzoru etyki, tym bardziej chce na tym zarobić" – komentował w wywiadzie dla OKO.press. Na łamach skrajnie lewicowego polskiego portalu występował jako ekspert od Ukrainy.

Działacze mniejszości ukraińskiej w Polsce trzymają z polską lewicą i liberałami, niechętnie odnoszą się do prawicy

Z kolei w rolę eksperta od Polski wcielił się na antenie telewizji Espreso, gdzie narzekał na rządy PiS. Stwierdził m.in., że wielu Polaków ma już dość afer ekipy rządzącej, która „przegięła z propagandą", że „stawką tych wyborów jest członkostwo w Unii Europejskiej", które wisi na włosku, ponieważ PiS wybrał drogę konfrontacji z Zachodem. Mało tego, zdaniem Czecha partia Kaczyńskiego nie może się doczekać powrotu Donalda Trumpa do władzy w USA. Nie wyjaśnił, że sojusz PiS z byłym amerykańskim prezydentem miał podłoże światopoglądowe i nie miał w żadnym stopniu prorosyjskiego charakteru. Dla ukraińskiego odbiorcy słowa Czecha brzmią jednoznacznie – skoro obecna władza w Polsce sympatyzuje z Trumpem, to jasne jest, że sympatyzuje również z Putinem.

We władzach ZUwP zasiada również czynny polityk PO Miron Sycz, poseł w latach 2007–2015. Był członkiem PZPR, Kongresu Liberalno-Demokratycznego, UD, UW, związany przejściowo z SLD, od 2006 r. – z PO. Jego ojciec był partyzantem UPA, ale – jak zapewnia Sycz – „nie mordował Polaków". Jeśli powstanie kiedyś ukraińska partia w Polsce, to z pewnością może mieć twarz Mirona Sycza albo Piotra Tymy. Czyli prounijnego liberała, który Wołynia ludobójstwem nie nazwie, ale polski nacjonalizm zawsze chętnie potępi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

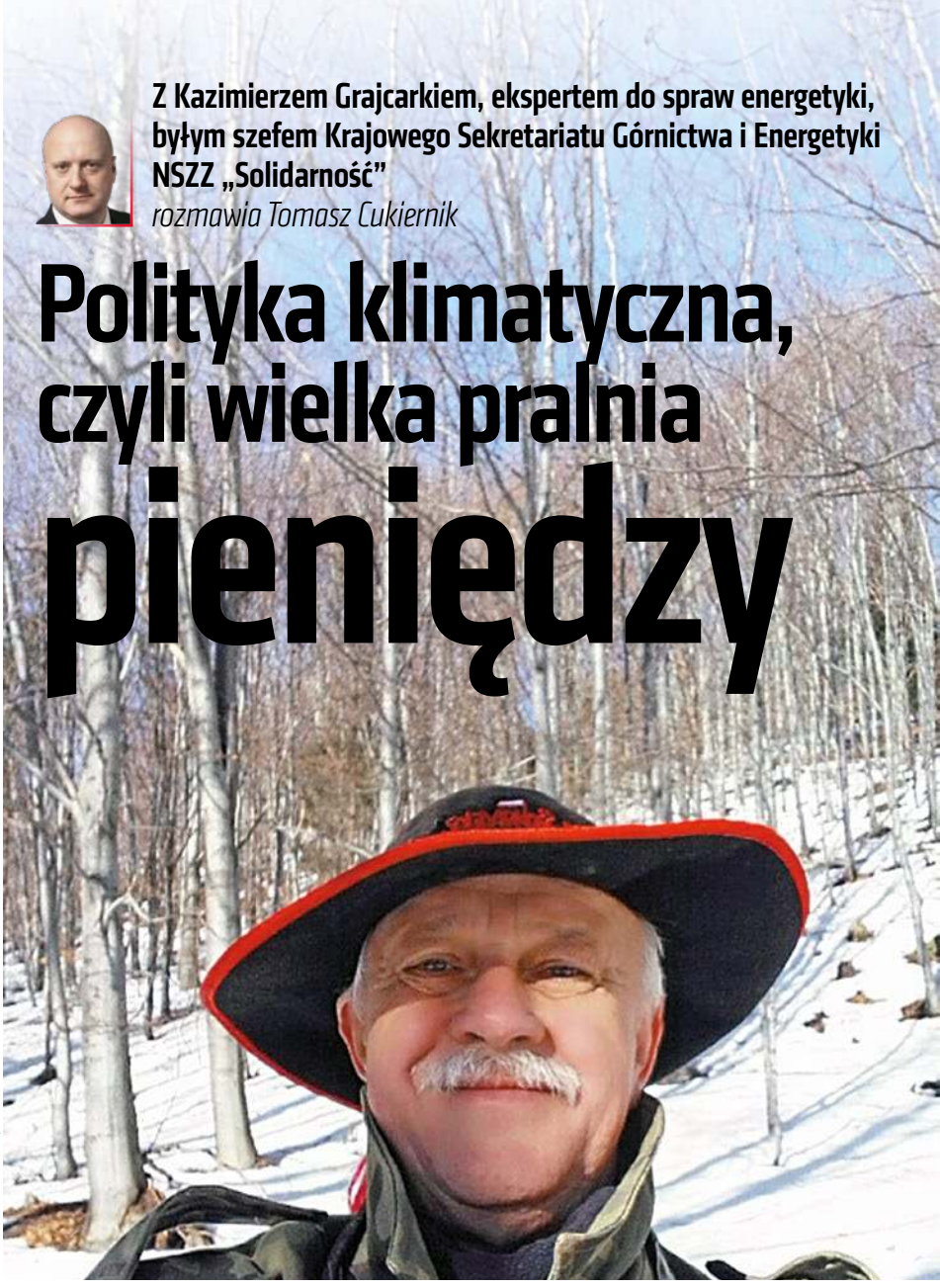

FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA GRAJCARKA

Z Kazimierzem Grajcarkiem, ekspertem do spraw energetyki, byłym szefem Krajowego Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność”

rozmawia Tomasz Cukiernik

Polityka klimatyczna, czyli wielka pralnia pieniędzy

TOMASZ CUKIERNIK: Na czym polega technologia CCS – z angielskiego „carbon capture and storage”, czyli wyłapywanie i magazynowanie węgla?

KAZIMIERZ GRAJCAREK: CCS polega na tym, że wychwytuje się od dużych emitentów dwutlenek węgla i transportuje się go rurociągami do miejsca, gdzie można te spaliny zatłaczać pod ziemię w skały chłonne czy inne miejsca, np. po wyrobisku gazu czy ropy.

O ile się dobrze orientuję, to jest to możliwe przede wszystkim w nieczynnych kopalniach soli, bo są szczelne.

Na pewno nie w kopalniach węgla, bo te wyrobiska są nieszczelne i gazy mogą się ulatniać na zewnątrz. Sól wydobywa się inną technologią, dlatego takie kawerny są szczelne.

Czy instalacja CCS pozwala wychwycić 100 proc. emisji dwutlenku węgla?

Różnie to wygląda w różnych technologiach. Nigdy nie wychwytuje 100 proc. Wysysa się dym z komina. Pompy wtłaczają go do rurociągów albo do instalacji, które oddzielają dwutlenek węgla od reszty składników tego „dymu”.

Gdzie do tej pory instalacja CCS została już wdrożona – i jak funkcjonuje?

Tak naprawdę to nigdzie nie funkcjonują takie instalacje. To wszystko są próby. Nie twierdzę, że ich nie ma, ale nie znam instalacji na szeroką skalę przemysłową, która zatłacza gdzieś dwutlenek węgla. Takie testowe instalacje robili m.in. Niemcy, Francuzi, Norwegowie, Amerykanie i Kanadyjczycy. Norwegowie robili próby wtłaczania CO_2 w skały przy okazji wydobycia gazu spod dna Morza Północnego. Nie w każdym miejscu można wtłoczyć ten dwutlenek węgla. Robiono więc próby, szukano miejsc, gdzie to można zrobić, i badano, czy to będzie bezpieczne.

Jak kosztowna jest to technologia?

Zrobienie takiej instalacji w zakładzie emitującym, zbudowanie rurociągu i wtłaczanie CO_2 pod ziemię to są ogromne koszty. Gdyby nie było olbrzymich kosztów przetłaczania dwutlenku węgla, pewnie na świecie mielibyśmy już wiele takich instalacji. To się po prostu nie opłaca. Ale to nie ma nic wspólnego z ekonomią. CCS czy opłaty za CO_2 są działaniami politycznymi czy ekologiczno-politycznymi. Z kosztami się nie liczą. Kiedy firmy zobaczą, jakie są to koszty, wycofują się z tego. W Polsce były też pomysły, by w miejscach, gdzie się wydobywa gaz, wtłaczać dwutlenek węgla. To się nie zawsze udaje. Był to wymysł ekologów, ale fizyka jest fizyką. Nie zawsze da się zrobić coś, co się wymyśliło. W moim przekonaniu technologia CCS nigdy nie zostanie zainstalowana na taką skalę, jak to sobie obmyślili ludzie mający wyobraźnię. To są tak ogromne koszty, że nikt za to nie zapłaci.

Czy bez istnienia unijnego ETS i unijnych opłat za uprawnienia do emisji dwutlenku węgla ktokolwiek by się tym zainteresował?

Moim zdaniem cały projekt ONZ-owskiej i unijnej polityki klimatycznej jest wielką pralnią pieniędzy. Na całym świecie na projekty ekologiczne wydawane są ogromne pieniądze, a potem z tych projektów niewiele wynika. To jest wyciąganie pieniędzy z naszej kieszeni, bo zazwyczaj finansują je państwa. Nie patrzy się na efekty, jakie te wydane pieniądze dadzą. Przed COP w Katowicach w 2018 r. odbył się pre-COP związkowy. Kiedy jako organizatorzy tej konferencji próbowaliśmy się dowiedzieć od przedstawicieli ONZ, jakie do tej pory gospodarka światowa poniosła koszty polityki klimatycznej, nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Pomimo wysłania wtedy tego zapytania do Sekretarza Generalnego

eprasa.pl cae6db74eb

ONZ nie otrzymaliśmy tej odpowiedzi do dzisiaj.

Jednak firmy, również polskie, będą zmuszone, żeby te instalacje robić, z uwagi na to, że tak wzrosły opłaty od emisji dwutlenku węgla... Bo mimo że te instalacje są tak kosztowne, to i tak to jest niższy koszt niż narzucone przez Unię Europejską – i już od kilku lat płacone przez polski przemysł – opłaty od emisji dwutlenku węgla.

Energetyki nie stać na pokrycie kosztu instalacji CCS. Ale jak wzrośnie opłata od emisji, to będzie się to bardziej opłacało niż te opłaty. To jest ekonomia ekologiczna – nie ma nic wspólnego z ekonomią. To są naciski polityczne, które doprowadzą do upadku energetyki węglowej. Celem nie jest ekologia. W składzie powietrza dwutlenku węgla jest 0,04 proc. Człowiek nie jest w stanie zakłócić całego cyklu. To jest jedno wielkie oszustwo. Podczas konferencji COP-owskiej w Paryżu w 2015 r. jako przedstawiciel związków zawodowych brałem czynny udział w 20 konferencjach, a byłem członkiem władz Światowej Konfederacji Związków Zawodowych Górników i Energetyków. Rozmawiałem z prof. Janem Szyszko i powiedział mi, że badania, które przedstawia ONZ, są sfałszowane. Pomyślałem, że chyba profesor przesadził. ONZ rozpisała wtedy konkurs dla wszystkich zainteresowanych uczelni świata, które chciały zrobić badania, czy człowiek ma wpływ na zmiany klimatyczne. Wtedy zapytałem prof. Szyszko, czy wszystkie wyniki tych badań zostały opublikowane. Okazało się, że opublikowane były tylko te dla nich wiarygodne, czyli te, które postawioną tezę udowodniły. Byłem też w miejscach, w których robiono te badania, bo to uderzało w miejsca pracy na całym świecie. Badaliśmy, jak polityka klimatyczna ONZ wpływa na likwidację czarnych i tworzenie zielonych miejsc pracy. Przez ONZ-owską politykę klimatyczną, później przeniesioną na poziom Unii Europejskiej, od Porozumienia z Kioto w 1997 r. do 2019 r. straciliśmy w Polsce ok. 600 tys., a zyskaliśmy ok. 20 tys. miejsc pracy. Na pre-COP w 2018 r. zaprosiliśmy na debatę profesorów z całego świata. Zarówno takich, którzy mówili, że człowiek ma wpływ na zmiany klimatyczne, jak i tych, którzy mówili, że nie ma wpływu. Po to, żeby dzięki odmiennym narracjom politycy mogli wyrobić sobie zdanie. A ONZ nie zapraszała profesorów, którzy mają odmienne zdanie niż takie, że człowiek ma wpływ na zmiany klimatyczne.

CCS to jest też problem cementowni, hut i innych zakładów. Opłaty od emisji dwutlenku węgla powodują niemal podwojenie ceny cementu.

To żadna nowość. Tak samo jest z energią elektryczną. Dotyczy to też koksowni i innych zakładów emitujących dwutlenek węgla. Za znikomą część tych pieniędzy realizuje się różne projekty. Na przykład projekt w Elektrowni Łaziska, gdzie wyłapywano CO_2 i – mówiąc w skrócie – przerabiano go chemicznie na metan, który był używany do napełniania butli w samochodach na gaz. To była instalacja testowa. Zrobiona po to, by sprawdzić, czy ten pomysł technologiczny jest skuteczny.

We wrześniu br. związkowcy i pracodawcy z przemysłu energochłonnego i górnictwa przyjęli deklarację skierowaną do rządu w sprawie konieczności stworzenia ogólnokrajowego programu rozwoju technologii CCS. O co konkretnie wnioskują? Chodzi im o ramy prawne czy drenowanie kieszeni podatników poprzez dofinansowanie tych projektów z budżetu państwa?

Z mojej wiedzy wynika, że przy obecnych technologiach tego się nie da zrobić, a z drugiej strony jest to niekorzystne dla przyrody. Trzeba znać efekt tych instalacji. Gdzie będziemy zatłaczać ten dwutlenek węgla? Co na to powiedzą ekolodzy? Jeśli wszystkie te działania mamy w powijakach, to do realizacji jest 10–15 lat. A zanim do tego dojdziemy, będzie już po przemyśle. Upadnie nie tylko przemysł, lecz także cała gospodarka, bo z jednej strony będziemy płacić ogromne kwoty za CO_2, a z drugiej będzie trzeba finansować te instalacje, co będzie trwało latami. Ekolodzy nie powiedzą „tak" czy „nie", tylko powiedzą „pracujcie". Wydamy dziesiątki czy setki miliardów euro, a później ekolodzy powiedzą, że nie, bo skutki dla ekologii będą tragiczne. Każde żądanie w kierunku wydawania publicznych środków pieniężnych musi być przemyślane. Musimy wiedzieć, jakie będą skutki tego żądania. Pamiętajmy, że polityka klimatyczna Unii Europejskiej została narzucona, a nie wynegocjowana.

Gdzie w Polsce mogłyby powstać miejsca do wtłaczania dwutlenku węgla?

Naukowcy są w stanie wytypować takie miejsca, natomiast nie są w stanie zagwarantować, że ten zatłoczony dwutlenek węgla nie będzie się ulatniał. Poza kawernami solnymi także w skałach chłonnych. Są takie miejsca w Polsce, gdzie występuje skała, która może przyjąć gaz. Na przykład tam, gdzie zbadano, że zalega gaz łupkowy.

Z tego, co pan mówi, to ten cały CCS i opłaty od dwutlenku węgla to jest jedna wielka hucpa, mająca na celu drenowanie finansowe przemysłu, a pośrednio kieszeni wszystkich w Polsce...

Może nie nazwałbym tego hucpą, ale przemyślanym działaniem na rzecz wprowadzenia do przemysłu energochłonnego innych procesów technologicznych niż węglowe. Jeśli wyeliminujemy węgiel, a zamontujemy solary czy farmy wiatrowe, to jest to potężna kasa. Ludzie, którzy taką decyzję podejmują, są z mojego punktu widzenia nieodpowiedzialni, bo taka energetyka jest energetyką niestabilną. To jest działanie, które miałoby na celu uwstecznić rozwój gospodarczy na świecie. Jak człowiek, który jest inżynierem, może nie rozumieć tego fałszu, który się dzisiaj dzieje wokół ekologii? Rozmawiałem z młodymi inżynierami. Spytałem ich: „Jak wy w swoich wykształconych, mądrych głowach możecie pomieścić takie kłamstwa?".

I co odpowiedzieli?

„No ale tak wszyscy mówią, takie są badania, to ustalili naukowcy". No to ja mówię, żeby pokazali mi te badania. Bo najważniejsza jest metodologia tych badań. To jest tak, że gdy człowiek, zwłaszcza młody, nasączy się ideologią, a jest to ideologia zielona, to później trudno mu zrozumieć, że ktoś go oszukał. Jeśli student ma dopuścić do swojej świadomości, że okłamał go profesor, to podrywa się zaufanie do całej nauki. A że profesorowie dają się tak nabierać...

Nie dają się nabierać. Oni to robią dla grantów. Granty są tylko dla takich, a nie przeciwnych wyników badań.

Kiedyś była ekonomia socjalistyczna, dzisiaj jest ekonomia ekologiczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cae6db74eb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Koniec kredytów hipotecznych?

Bank Millennium jako pierwszy poinformował, że nie ma zamiaru brać udziału w rządowym programie „Bezpieczny kredyt 2 proc.".

A wiele innych banków nadal się w tej sprawie ociąga – z wyjątkiem tych sterowanych przez państwo, które najpewniej są przez swych politycznych dysponentów skłaniane do uczestniczenia w każdej inicjatywie rządu, bez względu na to, czy jest to dla ich nich opłacalne.

Niechęć prywatnych banków do udziału w programie „Bezpieczny kredyt 2 proc." to jednak tylko przedsmak zjawiska, z którym niedługo możemy mieć do czynienia. Wkrótce wyzwaniem może się okazać uzyskanie w Polsce kredytu hipotecznego na jakichkolwiek warunkach. Banki zaczynają bowiem bać się udzielania w Polsce kredytów hipotecznych. Przybywa im argumentów za tym, że oferowanie ich u nas to działalność nazbyt ryzykowna. Prezes banku Millennium, Fernando Bicho, wyraził to wprost, mówiąc o „trudnościach realizowania finansowania długoterminowego w warunkach prawnych w Polsce".

Pierwszą nauczką, jaką banki dostały, była sprawa kredytów frankowych, których masowe udzielanie może je teraz – w rezultacie także własnych błędów i zachłanności, a dziś również wyroków sądów unijnych i polskich – kosztować aż 100 mld zł, bo sędziowie coraz częściej uznają prawo kredytobiorców frankowych do – po prostu – darmowego kredytu, co z kolei oznacza wielką stratę banków.

Groźba drugiej nauczki już się czai na horyzoncie – wraz z rosnącą liczbą pozwów ze strony kredytobiorców złotowych kredytów hipotecznych, którzy próbują podważać wskaźnik referencyjny WIBOR, będący podstawą ustalania cen tych kredytów. I którym w sukurs idą niektórzy sędziowie – usuwający WIBOR z kredytów złotowych.

Z tych powodów zrozumiała jest nie tylko niechęć banków do udziału w programie „Bezpieczny kredyt 2 proc.", którego uczestnicy, gdy pogorszy się ich sytuacja materialna lub/i z jakichś powodów zmaleje pomoc rządu, mogą się stać dla nich zarzewiem kolejnego kłopotu. Nie mniej zrozumiała jest też narastająca niechęć banków do udzielania w Polsce jakichkolwiek kredytów hipotecznych. Przed powiększaniem ich puli, a w każdym razie przed niebezpieczństwami towarzyszącymi powiększaniu ich puli broni się już coraz więcej z nich.

Czy bowiem może dziwić, że wspaniała i zdrowa chciwość, tak pięknie napędzająca wszelką przedsiębiorczość, w tym bankową – a więc i decydująca o udzielaniu jak największej liczby kredytów hipotecznych – w przypadku Polski staje się z wolna powodem do odmowy udzielania takich kredytów, skoro na ich udzielaniu coraz łatwiej u nas stracić niż zyskać? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bujanie łódeczką

Kiedy ukazuje się ten tekst, niemal na pewno trwa horror oczekiwania na miarodajne wyniki wyborów. Exit polls są obarczone sporym błędem, różnice zaś pomiędzy partiami w drugiej części stawki były niewielkie. A to tam rozgrywają się w tym wyborach najważniejsze rzeczy.

Tymczasem w podawaniu wyników w Polsce następuje systematyczny regres. Mamy jedną z najlepszych sieci bezprzewodowych na świecie, mamy 5G, mamy sztuczną inteligencję i telefony komórkowe o mocy obliczeniowej większej niż moc przeciętnego komputera dekadę temu – i kompletnie nic z tego nie wynika, gdy idzie o wybory i czas podawania wyników. Ba, jest jeszcze gorzej: ten czas zamiast się skracać – wydłuża się. Tym razem może podobno sięgnąć nawet wtorku wieczorem, co jest efektem zmiany procedury liczenia głosów, a pewnie także dołączenia referendum do wyborów parlamentarnych. To nie jest normalne.

> **Bujanie naszą łódeczką stało się już narodowym sportem**

Z drugiej strony wiadomo, dlaczego się tak tym razem dzieje: napięcie pomiędzy dwiema stronami sporu politycznego jest tak wielkie, że każdą kartę do głosowania trzeba sprawdzić dwa razy i przepisy mają to gwarantować – kosztem czasu. A i tak nie ma pewności, czy gdy w końcu PKW głosi oficjalne wyniki, któraś ze stron nie uzna, że zostały zmanipulowane, przeinaczone, może nawet wprost sfałszowane. To najgorsze, co nas może spotkać: w warunkach narastającego międzynarodowego i wewnętrznego chaosu przeciągający się spór o ważność głosowania, zahaczający o Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego i o kwestię tego, którzy sędziowie w niej zasiadający są, zdaniem opozycji, „legalni".

Sędziowie zrzeszeni w upolitycznionej i sprzyjającej opozycji Iustitii już dawno temu wskazywali na tę właśnie izbę SN jako na podejrzaną, skumplowaną z władzą i „wszechmocną". Jest właściwie pewne, że jeśli IKNiSP SN oddali jakiś poważniejszy opozycyjny protest, to zacznie być oskarżana o chodzenie na pasku władzy – choćby odrzucenie było stuprocentowo merytorycznie trafne.

Cóż, bujanie naszą łódeczką stało się już narodowym sportem. Nikt z bujających nie bierze pod uwagę, że jeśli łódeczka się przewróci, to wszyscy znajdziemy się w wodzie. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

*DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW**

NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.
WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Codziennie o 19:00 zapraszamy na główne wydanie serwisu informacyjnego do Telewizji Republika.

Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

eprasa.pl cae6db74eb

Amazonka bez tajemnic

Jacek Pałkiewicz

Dlaczego tak trudno było odkryć źródło największej rzeki świata?

Odsłonięcie w 2011 r. obelisku przy źródle Amazonki na górze Quehuisha

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Czy jest jeszcze dzisiaj miejsce na ekspedycje odkrywcze? „Świat nie ma już dla nas żadnych tajemnic" – twierdził pod koniec XIX stulecia chemik, członek Francuskiej Akademii Nauk Marcellin Pierre Berthelot. Malkontenci uważają, że nasz glob skurczył się i przypisek „Insufficient Data" (brak danych) już dawno zginął z map świata. Człowiek wylądował na Księżycu, poznał głębiny oceaniczne, wysyła w przestrzeń kosmiczną coraz to nowocześniejsze satelity mogące na zawołanie sfotografować każdy metr kwadratowy naszej planety. Mimo to nauczyciele geografii wciąż mają wątpliwości, np. która rzeka jest najdłuższa czy która niesie więcej wody, bo badacze i traktaty geograficzne podają często odmienne punkty widzenia.

Proces poznania trwa nieustannie, a zgromadzona już wiedza nieustannie poddawana jest krytyce i weryfikowana w świetle nowych faktów. Niedawno otrzymałem od mojego fana z Wrocławia butelkę wina Amarone w podzięce za wygranie przez niego zakładu. Spór poszedł o najdłuższą rzekę świata. Jego rywal twierdził, że jest nią Nil, on obstawał za „moją" Amazonką. W tym samym czasie, kiedy kierowana przeze mnie wyprawa w 1996 r. ustaliła rzeczywiste miejsce narodzin największej rzeki świata, brazylijscy naukowcy z Instytutu Badań Kosmicznych w São José dos Campos, po wieloletniej analizie obrazów satelitarnych, stwierdzili, że całkowita długość Amazonki, od jej źródła do ujścia, wynosi średnio 7040 km, czyli ok. 200 więcej od Nilu.

Do tamtej pory podawane w literaturze długości wielkich rzek były ustalane na podstawie map o różnej dokładności. Nil rozważany na mapie w podziałce 1:250 000 miał długość 6468 km, natomiast w 1:100 000 – 6671 km. Konkurentka była krótsza: 6516 km, ale analizowano ją na mało dokładnej mapie 1:1 000 000, bo innych nie było, a tam jej bieg jest silnie zgeneralizowany i nie uwzględnia mniejszych zakoli. W odróżnieniu od prostobieżnego biegu Nilu okresowe wezbrania rzeki południowoamerykańskiej nieustannie zmieniają bieg głównego koryta, którego nurt modeluje coraz to nowe meandry, a świeże pętle powstają kosztem odciętych. Gdyby porównanie to można było ustalić w podziałce 1:100 000, Amazonka byłaby zdecydowanie dłuższa.

TAM, GDZIE SIĘ RODZI KRÓLOWA

A kto wie, gdzie rodzi się królowa rzek Amazonka? Ta będąca przedmiotem niekończących się spekulacji zagadka nie została rozwiązana do końca ubiegłego tysiąclecia. Prestiżowa „Encyclopaedia Britannica", mówiąc o jej źródle, przezornie ogranicza się do lapidarnego skrótu: „[…] rzeka bierze początek wysoko w Andach, w odległości 100 mil od Oceanu Spokojnego".

Nazwę Amazonki przyjmuje się od połączenia dwóch wielkich arterii wodnych spływających z Andów peruwiańskich: Marañónu i Ukajali. Ojciec współczesnej geografii Alexander von Humboldt uważał, że jej głównym ramieniem jest ta pierwsza. Dopiero w 1934 r. Gerardo Dianderas sformułował przesłankę, że to jednak powstająca z Río Urubamby i leżącej jeszcze wyżej rzeki Apurímac Ukajali jest dłuższa, bardziej wykorzystana w komunikacji i odgrywająca większą rolę w gospodarce. Teza ta zyskała aprobatę geografów, ale jej źródło do naszych czasów nie zostało bezspornie ustalone.

Od połowy ubiegłego wieku w Kordylierze Chile, w prowincji Cailloma na południu Peru, bywało wielu pasjonatów przygody, którzy formułowali mgliste identyfikacje domniemanego źródła Ukajali. W 1969 r. znany geograf prof. Carlos Peñaherrera del Águila, nie zadając sobie trudu odwiedzenia regionu, obwieścił, że dyskusyjne miejsce znajduje się na Nevado Mismi, skąd bierze początek Carhuasanta. Dwa lata później kartografowie „National Geographic" po analizie map wyrazili opinię, że właśnie tam powinno znajdować się najdalej odległe od ujścia miejsce Amazonki. Redakcja wysłała w tamto miejsce fotografa Lorena McIntire'a, który swoją obecnością „przypieczętował" kameralną interpretację kartografów, co już rok później amerykański magazyn odnotował na swoich mapach. Jednak nauki to nie usatysfakcjonowało.

Poznając Amazonię, nieraz zastanawiałem się, jak to możliwe, że w czasach burzliwego rozwoju nauki świat jeszcze nie wie, gdzie bierze początek największa

eprasa.pl cae6db74eb

rzeka naszego globu. Człowiek nauczył się poznawać przeszłość sprzed milionów lat, poznał istotę kodu genetycznego, lata w kosmos, za pomocą sond penetruje odległe zakątki Układu Słonecznego, a nie potrafił ustalić tak – zdawałoby się – banalnego faktu geograficznego. Śledziłem intelektualne spory geografów i coraz częściej, płynąc indiańską pirogą czy przebijając się z maczetą przez barierę roślinności w amazońskiej selwie, wracała jedna i ta sama myśl: spróbować zgłębić zagadkę źródła Wielkiej Rzeki.

POD PRĄD

Latem 1966 r. wyprawa „Amazon Source '96" znalazła się w bazie głównej, na wysokości 4800 m n.p.m. nieopodal Kanionu Colca. Jednak wcześniej moi współtowarzysze, naukowcy z trzech krajów, poświęcili ponad rok na intensywne badania sytuacji hydrologiczno-geomorfologicznej w górnym biegu Amazonki i analizę wykonanych na zamówienie obrazów z koreańskiego satelity KOMPSAT-2, na których specjaliści z GEOSYSTEM Polska interpretowali zmiany wilgotności terenu. To pozwoliło zebrać podstawowy materiał wyjściowy do badań polowych.

Począwszy od Apurimacu, podążamy pod prąd, eliminując w każdym łączu dopływy drugorzędne. Na rozległej dolinie na peryferiach świata, pokrytej skąpą roślinnością i otoczonej niebotycznymi szczytami Kordyliery andyjskiej, których majestat ustępuje tylko niebotycznym Himalajom, dominują cisza i samotność. Krajobraz napawa niepokojem i jednocześnie uderza swoim upajającym urokiem. Jest zimno, a na domiar złego silny, porywisty wiatr przeszywa do szpiku kości. Po gradobiciu nieoczekiwanie zza chmur wynurza się wysokogórskie słońce będące w stanie zamienić skórę w pergamin. Istny zaginiony świat, który nie zmienił się od czasów stworzenia. Przyjmujemy Diamox na rozrzedzenie krwi i, podobnie jak miejscowi górale Keczua, żujemy liście koki, co podobno pomaga na zimno oraz głód i powinno przeciwdziałać skutkom soroche – choroby wysokościowej, która może prowadzić do obrzęku płuc czy mózgu. Pomimo pięciodniowej aklimatyzacji niektórzy narzekają jednak na dotkliwy, nie do wytrzymania ból głowy.

Nasze pomiary, niczym klocki, układają się w całość. W końcowym etapie bierzemy pod lupę wąwóz Carhuasanty i Apachety. Okazuje się, że potok tej drugiej posiada dużo znaczniejszy przepływ. Jest istotniejszy także od Sillanque i Ccaccansy. Admirał Gugliermo Faura, filar ekspedycji, podkreśla, że posiada ona mniejszy spadek, jej dolina jest większa i niżej położona i – co istotne – u zbiegu z innymi ciekami zachowuje swój dotychczasowy kierunek. Podsumowujemy, że Apacheta odpowiada wszelkim wymogom nauki. Posiada dominujący przepływ w całym zawiłym obszarze źródłowym, jest dłuższa od innych, ma więcej dopływów, a zatem lepiej rozwinięte dorzecze, a także kluczową aktywność hydrologiczną. Co więcej, tędy

Tablica upamiętniająca odkrycie w 1996 r. miejsca narodzin Amazonki (strumień Apacheta) FOT. ARCHIWUM AUTORA

przebiegał historyczny szlak komunikacyjny Inków przez kontynentalny dział wód. Keczua mieszkający w tym rejonie potwierdzają, że ruczaj prowadzi wodę przez cały rok i tak było, od kiedy sięga ich pamięć.

Pokryte delikatnym dywanikiem zieleni łożysko Apachety staje się coraz płytsze i węższe. Jego szerokość nie przekracza jednego metra. Tuż przed przełęczą na Nevado Quehuisha widnieje zielona wysepka silnie kontrastująca z szarym jałowym otoczeniem. Jesteśmy u źródła. W mokradle pokrytym kępkami trawy i drobnymi krzewinkami wypływa na powierzchnię krystalicznie czysta, zimna woda. GPS wskazuje współrzędne geograficzne – 15°31'05" szerokości południowej i 71°45'55" długości zachodniej – oraz wysokość 5170 m n.p.m.

Niepozorna struga Apacheta po przyjęciu dopływów zmienia wielokrotnie nazwę. Z Lloquety rodzi się Hornillos, potem dzika górska rzeka Apurimac, która spada z hukiem w głębokie kaniony. Na długości 500 km wytraca aż 4000 metrów wysokości, czyli pięciokrotnie więcej niż w słynnym amerykańskim Wielkim Kanionie. Jej wydłużenie to już imponująca arteria wodna Ukajali, która od konfluencji z Marañónem staje się właściwą Amazonką. Rozlewa się szerokim korytem na największej aluwialnej równinie na Ziemi, aby po sześciu tygodniach dotrzeć do Oceanu Atlantyckiego.

W 2008 r. Rada Naukowa Towarzystwa Geograficznego w Limie, uznając wartość dowodów wyprawy „Amazon Source '96", parafowała odkrycie. Zaniel Novoa, wiceprzewodniczący tej zasłużonej dla popularyzacji i rozwoju nauk geograficznych instytucji, podkreślił, że nie można pozostawać przy opiniach obarczonych przestarzałymi poglądami, bo nauka często bywa hermetyczna na odkrycia i każda nowa teoria wprowadza zamieszanie w ułożonym, tkwiącym zwykle przy ortodoksyjnych pozycjach świecie wiedzy.

TRIUMF PRAWDY

Z reguły potrzeba czasu, aby fakt taki ugruntował się w powszechnej świadomości i stał się uznanym kanonem. Dodajmy, że odkrycia w sferze geograficznej nie można nigdzie oficjalnie zarejestrować. Po prostu nie ma na świecie takiej instytucji jak urząd patentowy, gdzie autor wynalazku może odnotować swoją innowację i liczyć na ochronę własności na arenie międzynarodowej. Max Planck, niemiecki fizyk, twórca mechaniki kwantowej, pisał, że jest to proces powolny, bo „triumf prawdy naukowej nie następuje wtedy, gdy zostaną do niej przekonani i »oświeceni« wszyscy jej przeciwnicy, ale wtedy, gdy przeciwnicy ci po prostu powymierają i dorośnie nowe pokolenie, które tę prawdę już akceptuje".

10 września 2011 r. na górze Quehuisha z inicjatywy Towarzystwa Geograficznego w Limie, wspartego przez peruwiańskie MSZ i ministerstwo kultury, został wzniesiony kamienny obelisk z pamiątkową tablicą: „Aqui nace Amazonas el rio mas grande del Mundo…" – tu rodzi się Amazonka, największa rzeka świata. Ustaliła to w 1996 r. naukowa polsko-włosko-rosyjsko-peruwiańska wyprawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem, podróżnikiem, autorem książek, odkrywcą źródła Amazonki.

eprasa.pl cae6db74eb

ŠKODA FABIA IV

FOT. JAP

Najnowsza generacja legendarnego czeskiego hatchbacka to propozycja nie tylko dla handlowców. W niewielkim, tanim autku Czesi ukryli wiele sprytnych rozwiązań, które potrafią ułatwić codzienne korzystanie. I nie chodzi tylko o skrobaczkę do szyb wygodnie ukrytą przy wlewie paliwa czy prosty plastikowy uchwyt przy przedniej szybie na kwity parkingowe.

Drzwi – w których znajduje się obowiązkowe miejsce na parasolkę – otwierają się szeroko. Mile zaskakuje też przyzwoicie wykończone ergonomiczne wnętrze z dużą ilością schowków, miejscem na smartfon (z opcją dodatkowo płatnej ładowarki indukcyjnej) oraz przejrzyście zaprojektowanym i prostym w obsłudze wyświetlaczu infotainment. Dobrze, że Czesi nie ulegli pokusie i klimatyzację nadal obsługuje się za pomocą zwykłych, prostych i niezawodnych pokręteł (dzięki temu nie trzeba szukać tych ustawień gdzieś głęboko w systemie, skacząc podczas jazdy po bezdotykowym ekranie).

Za kierownicą znajduje się virtual cockpit, czyli cyfrowe zegary ukazujące prędkość, zasięg, spalanie, temperaturę oleju czy listę stacji radiowych etc. Jest też funkcja air care, która dzięki czujnikom i dodatkowemu filtrowi węglowemu pomaga obniżyć poziom zanieczyszczenia w kabinie (może się ona szczególnie przydać jesienią i zimą podczas podróży po dzielnicach domów jednorodzinnych wciąż opalanych węglem), a nawet nastrojowe oświetlenie (co prawda, w podstawowej wersji, ale w segmencie B nawet takie rozwiązanie nie zawsze jest jeszcze standardem).

W bagażniku są haczyki na siatki z zakupami. A ponieważ kufer ma w Fabii pojemność typową dla miejskich aut (380 l), to Czesi pomyśleli również o możliwości dokupienia… fabrycznie montowanego haka na przyczepę (trzeba za niego dopłacić ok. 2,5 tys. zł). Podróże ułatwia również aktywny tempomat.

Testowane auto z trzycylindrowym jednolitrowym silnikiem benzynowym o mocy 110 KM od zera do setki rozpędza się w 9,9 s. Również na trasie nie ma problemu z wyprzedzaniem ciężarówek. Niewielka Czeszka pozwala także z godnością przemieszczać się trasami szybkiego ruchu. Przy dystrybutorze też tragedii nie ma. Auto średnio w mieście, na trasie i autostradzie spalało podczas testu ok. 6 l/100 km.

Škodę Fabię IV z silnikiem 1.0 TSI o mocy 110 KM z manualną, sześciobiegową skrzynią biegów można kupić za 73,6 tys. zł. Testowana wersja Style to już wydatek rzędu 82,9 tys. zł, tymczasem za najwyższą wersję Monte Carlo – przypominającą o sukcesach Škody w rajdach motorowych – trzeba zapłacić 86,7 tys. zł. Najdroższa wersja z automatem i silnikiem 1,5 TSI o mocy 150 KM kosztuje co najmniej 99,8 tys. zł. Ostrożnie konfigurując zamówienie, da się więc nadal nie przekroczyć magicznej granicy 100 tys. zł. ©℗

JABRA ELITE 10

Eleganckie wzornictwo, wysoka jakość dźwięku, wsparcie dla Dolby Atmos, wyjątkowy komfort użytkowania oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety najlepszego jak dotąd modelu uniwersalnych dousznych słuchawek bezprzewodowych duńskiej firmy Jabra.

Na pochwałę zasługuje zarówno niewielka waga słuchawek (każda pchełka waży zaledwie 5,7 g), jak i ich półotwarta konstrukcja, dzięki której ten model jest rzeczywiście wyjątkowo komfortowy. Model Elite 10 nadaje się do użytku przez cały dzień bez konieczności robienia sobie przerwy dla uszu. Bardzo przydatną cechą testowanego modelu jest możliwość błyskawicznego przełączania się między urządzeniami i platformami. Bez trudu można się przełączyć z muzyki na smartfonie na wideokonferencję na laptopie i z powrotem (ze słuchawkami można sparować do 10 urządzeń Bluetooth). Baterie w słuchawkach wystarczają na mniej więcej sześć godzin nieprzerwanej pracy (z włączoną redukcją hałasu), więc nawet po powrocie z pracy zdalnej do koszmarnego open office'u można i tak odciąć się od szefa ekstrawertyka za pomocą długiej playlisty. Etui – będące jednocześnie powerbankiem – zapewnia dodatkowe 21 godzin działania bez konieczności szukania ładowarki. Ważące 46 g klasyczne etui bez trudu mieści się w kieszeni marynarki. Jest przy tym proste i eleganckie. W razie pilnej potrzeby pięć minut szybkiego ładowania pozwala zaś na godzinne korzystanie ze słuchawek.

Słuchawki automatycznie wstrzymują muzykę po wyjęciu ich z ucha i wznawiają, gdy pchełki znów znajdą się we właściwym miejscu. Zaletą testowanego modelu jest również funkcja śledzenia ruchu głowy, która w połączeniu z technologią Dolby Atmos oraz potężnymi 10-milimetrowymi głośnikami sprawia, że w tych słuchawkach można z większą przyjemnością oglądać filmy.

Jabra Elite 10, jak przystało na model klasy premium, oferuje również zaawansowaną aktywną redukcję hałasu (ANC). Działa ona nieźle, choć półotwarta konstrukcja sprawia, że skuteczność tłumienia niechcianych dźwięków jest w tym przypadku niższa niż u niektórych konkurentów. Niekiedy wystarczy jednak ruch głową, aby mikrofony wykorzystywane do redukcji hałasu sprawiły, że funkcja ANC stanie się skuteczniejsza.

Słuchawki są odporne na pył i zanurzenie w wodzie przez krótki czas (IP57). Są też proste w obsłudze, a do tego działanie konkretnych przycisków można łatwo skonfigurować w aplikacji. Cena: 999 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl cae6db74eb

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Fortel rozbójnika Europy

Zamek w Sandomierzu, z którego pozostało tylko jedno skrzydło, jest pamiątką po burzliwych walkach w roku 1656, kiedy w czasie potopu szwedzkiego o mało nie doszło tutaj do wydarzeń zmieniających historię Europy. 30 marca w widłach Wisły i Sanu osaczona została wygłodniała armia króla Szwecji Karola X Gustawa zwanego „rozbójnikiem Europy". Sytuacja była dramatyczna. Król założył obóz pod Sandomierzem, który okupowany był przez Szwedów. Tymczasem miasto oblężone zostało przez wojska Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, z drugiej strony, za Sanem, pojawiły się oddziały litewskie wojewody witebskiego Pawła Jana Sapiehy, a część wojsk zbudowała i obsadziła most pod Baranowem Sandomierskim, zamykając drogę odwrotu na Kraków. Kraj dokoła był spustoszony i wyludniony, w lasach grasowały bandy chłopów wyłapujące szwedzkich żołnierzy. Kiedy w dodatku pod zamkiem zjawiły się siły Stefana Czarnieckiego, sytuacja armii Karola Gustawa stała się dramatyczna. Otoczona ze wszystkich stron wydawała się skazana na klęskę.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

Jak pisał Ludwik Kubala, cały świat czekał na pogrom króla szwedzkiego – w Europę już poszły wieści, że zginął. W Wiedniu, we Wrocławiu, w Gdańsku drukowano nowiny o klęsce i śmierci władcy. Tymczasem rozbójnik Europy nie powiedział ostatniego słowa i opracowywał gorączkowy plan wydostania się z pułapki.

Przede wszystkim, wobec nacisku wojsk Lubomirskiego i Czarnieckiego, król ewakuował miasto i zamek. Nakazał wznieść most łyżwowy, a kiedy zniosła go wezbrana Wisła, użył do tego celu szkut i łodzi. Trzeciego kwietnia załoga pod dowództwem szwedzkiego oficera Sinclera wycofała się do zamku, podpalając miasto. Następnie, widząc niemożność utrzymania starej twierdzy, wycofała się do obozu za rzekę. Szwedzi pozostawili jednak w podziemiach beczki z prochem i zapalili lonty. Kiedy tłumy polskiej piechoty i czeladzi rzuciły się na rabunek zamku, nastąpił wybuch. Jak pisał świadek tych zdarzeń Hieronim Holsten: „Ledwie jednak weszli na górę, miny zrobiły swoje i kilkuset Polaków wyleciało w powietrze jak kwiczoły. Patrzeć na to było dla nas wielką przyjemnością, a Czarniecki był bardzo zagniewany".

Szwedzi schronili się teraz w obozie usytuowanym w widłach Wisły i Sanu. W XVII w., według rycin opublikowanych w Theatrum Europaeum, znajdował się on na wprost zamku, po drugiej stronie Wisły. Pamiętajmy jednak, że w XVII w. San wpadał do tej rzeki w innym miejscu niż dzisiaj – dokładnie pod zamkiem. Obecnie miejsce to, znajdujące się na zachód od mostu ks. Jerzego Popiełuszki, wygląda zupełnie inaczej. Wówczas znajdowała się tam jeszcze wyspa na Sanie, którą później Szwedzi wykorzystali do przeprawy.

Karol Gustaw postanowił za wszelką cenę wyrwać się z kleszczy. W tym celu opracował śmiały plan ataku na wojska litewskie. Najpierw posłał do Warszawy prośbę o pomoc, a w odpowiedzi jego brat Jan Adolf wysłał odsiecz pod wodzą Fryderyka Badeńskiego. Dowiedziawszy się o tych nadciągających siłach szwedzkich, Czarniecki wyruszył z obozu i pobił wojska margrabiego pod Warką 7 kwietnia.

Niestety, kilka dni wcześniej Karol Gustaw nakazał postawić most na wprost szańców litewskich Sapiehy. Sam zaś z jazdą zaatakował stojące pod Baranowem Sandomierskim oddziały litewskie, pobił je i zagarnął ich żywność, z którą następnie wrócił do obozu.

Czwartego kwietnia, nie bacząc na to, że most przez San nie był ukończony, król przeprawił część piechoty i zaatakował umocnienia bronione przez Litwinów po drugiej stronie rzeki, mniej więcej w okolicach wspomnianego mostu ks. Popiełuszki. Litwini na początku skierowali ogień artyleryjski na wyspę, do której dochodził most. Jednak Karol Gustaw ustawił na brzegu ok. 50 armat, uzyskując przewagę ogniową. Kiedy wydzielona grupa piechoty szwedzkiej zaatakowała szańce litewskie, w szeregach armii Sapiehy wszczęła się panika. W dodatku Szwedzi zdobyli kilka szkut, którymi przeprawili kolejne oddziały, a nawet 200 jeźdźców. Litwini ustąpili z obozu, tracąc wozy, żywność i chorągwie.

Piątego kwietnia most został dokończony i cała armia szwedzka przeprawiła się na drugi brzeg Sanu. Karol Gustaw wycofał się prawym brzegiem Wisły do Warszawy, wymykając się ze śmiertelnej pułapki. Szansa na zakończenie wojny i chwalebne zwycięstwo nad najeźdźcami została zaprzepaszczona. Jedyną pamiątką z tamtych czasów jest zamek, z którego ocalało wówczas skrzydło zachodnie, odbudowane w czasach Jana III Sobieskiego. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Już czas nastawić zakwas

Jesienią szczególnie narażeni jesteśmy na przeziębienia i infekcje, bo aura nie sprzyja i sprzyjać nie będzie, wszak długi czas jesienno-zimowych słot dopiero przed nami. Wprawdzie o naszą odporność powinniśmy byli się zatroszczyć latem, ale wiele dobrego możemy zrobić jeszcze teraz. Przede wszystkim powinniśmy trzymać się ciepło, zbytnio nie wychładzać, zadbać o odpowiednią suplementację i dietę. Szczególnie cenne w tym okresie są ciepłe zupy i wywary warzywno-mięsne. Polecamy lubiane przez nas zupy kremy z dodatkiem rozgrzewających przypraw czy sałatki z pieczonych warzyw z dodatkiem niezwykle zdrowych kasz.

Warzywa jemy codziennie, gdyż są nieocenione w profilaktyce zdrowia, wspierają nasz układ odpornościowy i doskonale wpływają na urodę. Naszym ulubieńcem od zawsze jest burak – ma właściwości lecznicze w postaci betalain, czyli barwinek podnoszących odporność i spowalniających proces starzenia. Z buraka możemy wyciskać soki i mieszać je dowolnie z innymi sokami owocowymi lub warzywnymi, możemy też zrobić kiszonki, czyli znakomity zakwas. Szklanka soku z buraka czyni cuda w walce z nadciśnieniem, anemią, bo są one źródłem żelaza, ale najcenniejsze jest to, że substancje zawarte w soku czy w zakwasie aż czterokrotnie zwiększają przyswajanie tlenu przez komórki, przez co są najlepszymi przeciwutleniaczami. Szklanka zakwasu wypita rano na czczo to bomba witaminowa, a zawarte w zakwasie bakterie kwasu mlekowego wspomagają trawienie, dodają energii i witalności, oczyszczają i wzmacniają krew.

W naszym rodzinnym domu często jadałyśmy barszcz z krokiecikiem z kapustą, nasza mama uwielbiała takie danie. Czasami też robiła krokiety z mięsem z rosołu, ale krokiecik z kiszoną kapustą to było danie numer jeden na wszystkich przyjęciach. Tak samo buraczki zasmażane do obiadu – nasz obowiązkowy dodatek oraz świąteczna ćwikła z chrzanem.

Czas zatem, aby nastawić zakwas – będzie potrzebował kilku dni, ale warto podjąć trud, a potem pić na zdrowie!

Kupić buraki z dobrego źródła, od rolnika. Obrać, pokroić na plastry, wypłukać. W kamiennym słoju ułożyć je warstwami, dodać główkę czosnku, liść laurowy, troszkę soli, zalać przegotowaną, ciepłą, ale nie gorącą wodą. Przykryć ściereczką i postawić w ciepłym miejscu.

Po kilku dniach kolor powinien być rubinowy, a płyn powinien mieć kwaśny zapach. Należy go wówczas zlać do butelek i trzymać w lodówce. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na rzęsach

Na wycieczce z biurem podróży wszyscy się obserwują, zastanawiają, kim są współtowarzysze 10-dniowej przygody. Ostrożnie nawiązują się rozmowy i znajomości. W grupie zwraca uwagę jedna z pań, jak się dawniej mówiło, zawsze „zapięta na ostatni guzik". Nieskazitelna, w upale i kurzu kenijskich bezdroży. Co najbardziej intrygujące: ani na chwilę nie rozstaje się ze sztucznymi rzęsami, których długie czarne frędzle opadają niemal na policzki. Niby nic szokującego, sztuczne rzęsy stały się popularne, prawie tak jak napompowane „zrobione" usta. Przynajmniej u nas, w Polsce. Czy na Zachodzie również, nie ośmielałabym się wyrokować, ale mam podejrzenie, że mniej. Na Ukrainie jest to bardzo modne. Znajoma młoda Ukrainka, która niedaleko Stanisławowa miała nieźle prosperujący „salon rzęs" (na wsi), teraz prosperuje w Berlinie, także z powodzeniem, zwłaszcza u rodaczek. Klientki są.

W roku 1999 w domu aukcyjnym Christie's za 256 tys. dol. sprzedano kuferek z zestawem do makijażu należący do Marilyn Monroe. Jego zawartość: szminki, lakiery do paznokci, wody toaletowe oraz zestaw sztucznych rzęs. Nie tylko Marilyn używała wtedy tej sztuczki, lecz także koleżanki gwiazdy: Lauren Bacall, Rita Hayworth, Sophia Loren, Gina Lollobrigida. Niekoniecznie wyglądało to naturalnie, za to jakże zapewniało jakże uwodzicielski tajemniczy look. Dalej: Diana Ross, Tina Turner, Cher, wreszcie Madonna, która lansując album disco „Confessions on a Dance Floor", występowała w rzęsach z futra norek, z przyklejanymi brylancikami. Rok 2005. Twiggy, najsłynniejsza topmodelka swingującego Londynu, nie tylko nosiła przyklejone rzęsy, lecz także na dolnej powiece miała wymalowane pojedyncze kreski, co upodobniało ją do lalki. Bliżej naszych czasów: dzięki Kim Kardashian i częstotliwości, z jaką po roku 2000 wyskakiwała z lodówki czarna firanka przesłaniająca oczy, zaczęła ona być uważana za coś całkiem zwyczajnego.

Gwiazdy gwiazdami. Ale kasjerka w spożywczym? Kto dziewczynie zabroni? Na pewno nie mama... Przekonałam się parę dni temu. W metrze naprzeciwko mnie siedziała ładna blondynka, na oko w wieku między 20 a 25 lat, z bardzo mocnym makijażem mimo wczesnego ranka. W pewnym momencie wyjęła z torby pudełeczko, dwoma zdecydowanymi ruchami zdarła z oczu sztuczne rzęsy i schowała je do pudełeczka. Na następnej stacji wysiadła.

Dlaczego rzęsy nie były jej już potrzebne, zaczęłam się zastanawiać. Może jechała na egzamin i chciała wyglądać jak studentka, a nie kandydatka do roli w filmie porno? A może miała spotkać się z kimś, przy kim chciała wyglądać skromnie? Nigdy się tego nie dowiem. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zdrap sobie rząd

Pisanie do tygodnika, który ukazuje się dzień po wyborach, to trudna sztuka, bo tematu nie można pominąć, a napisać co i jak nie da rady, bo kiedy się pisze, to jest jeszcze przed rozstrzygnięciem. Pamiętam, że jak wydawałem „Newsweek" (oj, gdzież te czasy, dziś jego były naczelny kandyduje), to mieliśmy podobną sytuację, ale z wyborami na prezydenta. Wtedy, nie wiedząc, kto wygra, a robiąc tytuł na dzień po wyborach, daliśmy na okładkę… zdrapkę. Tak by każdy mógł sobie w poniedziałek zdrapać właściwego zwycięzcę. Wtedy wynik był do końca niepewny, ale to ten obecny, kiedy to będziecie czytać, zanosi się „na żyletkę".

Jest wiele wariantów wyników, każdy możliwy i każdy o innym kierunku dla Polski. Wszystko w rękach D'Hondta i progu wyborczego, gdyż kwestia przejścia (lub nie) przez próg każdego z ugrupowań spoza plemiennej nawalanki PO-PiS tworzy inną większość sejmową. Wynik może być liczony do ostatniej chwili, różnice zaś w konkretnych okręgach, nie zaś procenty poparcia, mogą przeliczać głosy do końca.

Wszyscy się ekscytują wyborami, że takie do ostatniej chwili nieodgadnione, iż traci się z głowy jedną perspektywę. Jest takie powiedzenie: „Korzystajcie z wojny, bo pokój będzie straszny". Ja uważam, że corrida to się dopiero zacznie po wyborach. Każdy z wariantów zwycięstwa będzie przy plemiennej polityce nie do zaakceptowania przez drugą stronę. Szczególnie w przypadku przegranej „obozu demokratycznego" – ten zacznie kwestionować istotę demokracji, którą są wyniki wyborów.

Wariant z brakiem możliwości wyłonienia rządu to będzie dopiero doświadczenie dla fanów III RP. Będzie wtedy takie biadolenie nad winnymi (typuję Konfederację), że przedwyborcze jazdy to będzie pikuś. A w sumie to normalka dla demokracji. Ale nie dla tej naszej – plemiennej, gdzie naprzemiennie rządzą dwie frakcje. Wtedy być może zatęsknimy jeszcze za „stylem" prowadzenia tej kampanii.

A to będzie pokaz realnego ustroju Najjaśniejszej. W Konstytucji i ordynacji wyborczej można pisać i obiecywać, co się chce – nie ma tam przecież (wprost) nic o tym, że partie będą wodzowskie – dwie – i że reszta systemu politycznego ma siedzieć pod kamieniem. A taki jest w rzeczywistości system, w którym żyjemy, i widać to gołym okiem. Teraz, kiedy jest możliwość, że ten realny ustrój zostanie zagrożony, zobaczymy polityczne i medialne porozumienie ponad podziałami. Znak, że Polska jest rządzona inaczej, plemienna klasa polityczna będzie zaś tego broniła jak niepodległości, bo tylko ten stan gwarantuje jej utrzymanie władzy. I tylko dlatego może ona być uprawiana na tak żenująco niskim poziomie. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dlaczego oni tu przyszli?

Obejrzałem cztery odcinki serialu „Migranci" w reżyserii Jacka Łęskiego i choć nie widziałem finałowego piątego, to postaram się podsumować ten cykl. Wartością jest pozyskanie świetnych rozmówców: świadków, ekspertów, polityków, niezależnych dziennikarzy, działaczy społecznych i zwykłych mieszkańców. Ważne są głosy osób wywodzących się z rodzin migrantów, opisujące problem niejako od środka. Ta perspektywa zasymilowanych Szwedów, Anglików, Niemców, którzy reprezentują kolejne pokolenia migrantów, jest niezwykle cenna. Po pierwsze – oni wiedzą więcej, a przez uczestnictwo w procesie integracji poznali problematykę zamkniętych enklaw, trudności asymilacji i często demoralizującej pomocy socjalnej. Po drugie, są zakorzenieni w tradycji, więc potrafią opisać nieusuwalne napięcie, jakie pojawia się na styku dwóch kompletnie różnych kultur.

Wielu mechanizmów, które utrudniają asymilację, a często wręcz czynią ją niemożliwą, Europejczyk nie jest w stanie zrozumieć. Zaproszenie tych „naturalizowanych" rozmówców wytrąca argumenty potencjalnym krytykom, którzy chcieliby szukać w serialu TVP taniej propagandy. Tego nie znajdą. Seria jest zrobiona w sposób bardzo wyważony, zaznaczono różne punkty widzenia, a wnioski wypowiadane przez autora wolne są od ideologicznej perspektywy.

Podkreślam: nie znam piątego, finałowego odcinka, ale właśnie zabrakło mi tego, co pewnie może być odebrane jako perspektywa ideologiczna. W serialu nie ma pełnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego bogate kraje Zachodu musiały zacząć ściągać przybyszów najpierw z Portugalii i Jugosławii, z Turcji, a potem z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki. Problemów demograficznych nie spowodowały tylko straty ludnościowe drugiej wojny światowej. Zapaść demograficzna jest konsekwencją rewolucji seksualnej, która zbiegła się w czasie z procesem gwałtownej laicyzacji i upowszechnieniem antykoncepcji. Mentalność antykoncepcyjna, której istotę opisał świetnie Jan Paweł II w Encyklice „Evangelium Vitae", utorowała drogę przekonaniu, że człowiek ma władzę kontrolowania początków życia. Ta postawa zaowocowała upowszechnieniem antykoncepcji, aborcji, a potem eutanazji. Znaczącą rolę w odrzuceniu pojawiającego się życia jako daru „najcenniejszego skarbu narodu" (Kardynał Wyszyński) miał bunt wielu biskupów na Zachodzie wobec encykliki Papieża Pawła VI „Humanae Vitae", która radykalnie odrzucała sztuczną kontrolę urodzin.

Unikając dyskusji o roli antykoncepcji, nie zrozumiemy przemian społecznych, które spowodowały katastrofę populacyjną Europy, a właściwie zapaść demograficzną całego rozwiniętego świata. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Gdzie wpłacić 10 gr?

To mógł był efekt tzw. krótkiej kołdry. Kto wie. Stop. Donald Tusk przeszedł na debatę wyborczą do TVP bez marynarki i wszyscy to odnotowali. Stop. Natomiast red. Marcin Dobski zauważył, że szef PO przyszedł w kurtce wartej ponad 10 tys. zł. Stop. Teraz pytanie: Czy jeśli się wydaje dziesięć kafli na włoską kurtkę, to może zabraknąć na gajer? Stop. My nie wiemy, ale wiemy, że trwają na ten temat różne takie spekulacje i dywagacje, będziemy informować. Stop.

Wybitna aktorka Janda Krystyna udzieliła przedwyborczego wywiadu, w którym odniosła się do swojej najsłynniejszej aktorskiej wypowiedzi sprzed sześciu lat. Stop. Przypomnijmy, że nasz skarb kultury był łaskaw powiedzieć, iż pod rządami PiS czuje się, „jakby ktoś na mnie s..ł". Stop. Teraz pani Janda twierdzi, że tamta jej wypowiedź była i jest wykorzystywana tak często, iż powinna za jej powtarzanie brać honorarium. Stop. Pani Krysiu, gdzie mam wpłacić 10 gr?

Dwadzieścia redakcji utworzyło Radę Polskich Mediów. Stop. Są w niej m.in. takie tytuły jak: „Fakt", „Newsweek" czy Onet. Stop. Wszystkie z kapitałem niemiecko-szwajcarsko-amerykańskim. Stop. Szefem Rady został redaktor naczelny Onetu, Bartosz Węglarczyk. Stop. Gratulujemy. Stop. Rada POLSKICH Mediów.

Jackowi Żakowskiemu ludożerka wypomina wypowiedź sprzed lat: „KOD powinien być polskim Hamasem". Stop. Abstrahując od oczywistej niestosowności tej wypowiedzi, przypominamy, że lider Komitetu Obrony Demokracji 10 lipca tego roku został skazany przez sąd w Pruszkowie na rok więzienia w zawieszeniu za poświadczanie nieprawdy w fakturach. Stop. Jest materiał na męczennika. Stop.

Marek Dąbrowski, kandydat do Sejmu z list Koalicji Obywatelskiej w Białymstoku, w trakcie wywiadu powiedział, że też rzucałby kamieniami w Straż Graniczną. Stop. Dąbrowski na listę dostał się na miejsce Jany Szostak, która skompromitowała się wypowiedzią, że aborcja powinna być legalna do samego porodu. Stop. Ten Dąbrowski chyba pozazdrościł jej „sławy". Stop. Dobre kadry macie, Donaldzie, naprawdę niezłe.

Szymon Hołownia obiecał, że jeśli wygra wybory, to uczniowie nie będą musieli odrabiać zadań domowych. Stop. Tą jedną wypowiedzią zagarnął dla siebie cały elektorat w wieku 7–15 lat. Stop.

Grzegorz Schetyna przed wyborami powiedział: „To jednoosobowa kampania, taka była decyzja strategów i samego Tuska". Stop. Cóż, to brzmi jak szukanie, a może raczej wskazanie winnego. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Bojownicy czy terroryści?

Bardzo ciekawa dyskusja rozgorzała ostatnimi dniami w brytyjskich mediach. Dotyczy ona krwawych wydarzeń w Izraelu. Brytyjski nadawca publiczny – BBC – konsekwentnie unikał w dotychczasowych relacjach nazywania członków Hamasu „terrorystami", posiłkując się raczej określeniami typu „bojownicy" („militants"), „napastnicy" („attackers"), „strzelcy" („gunmen") lub „powstańcy" („insurgents"). Funkcjonujący od dawna w BBC „stylebook" odnosi się do tej kwestii w następujący sposób: „Słowo »terrorysta« nie jest zakazane, ale jego użycie może raczej stanowić barierę niż narzędzie do zrozumienia opisywanych zjawisk".

W ostatnich dniach część dziennikarzy BBC odkryła niespodziewanie, że zasada ta „przestała być celowa". „Reguły, do których stosowałem się przez lata, przestały wypełniać swoje zadania i zaczęły mieć brzmienie łagodzące opis" – oświadczył w ubiegły wtorek Jon Sopel, były wydawca północnoamerykańskiego wydania BBC. Innego zdania jest jego kolega John Simpson, jeden z weteranów działu wiadomości międzynarodowych BBC: „Zadaniem BBC jest przedstawianie swojej publiczności faktów i pozwolenie, by ona sama decydowała, co o nich sądzi, traktowana uczciwie i bez bombastycznych pokrzykiwań. Z tego właśnie powodu śledzi nasze wiadomości pół miliarda ludzi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto chciałby, byśmy wygłaszali emocjonalne tyrady. Przykro mi, ale nie zamierzamy tego robić".

W spór szybko zaangażowali się politycy. Niedawno mianowany minister obrony Wielkiej Brytanii, Grant Shapps, uznał, że nadszedł właśnie czas, by brytyjski nadawca publiczny „wyciągnął z kieszeni swój kompas moralny". Zasugerował też, że odmowa nazywania członków Hamasu terrorystami stanowi ze strony BBC zachowanie „niegodne".

Nie powinno nikogo dziwić, że to właśnie minister obrony posługuje się w swojej retoryce pojęciem „moralnego kompasu". Władza świecka w Zjednoczonym Królestwie decyduje o kwestiach moralnych przynajmniej od czasu rewolucji anglikańskiej. Rzeczywistym kontekstem dla toczonego dziś sporu jest rosnący na Wyspach antysemityzm. „Jeśli w Wielkiej Brytanii Żydzi nie będą czuć się bezpiecznie, to cała nasza cywilizacja jest skończona" – ostrzega felietonistka „The Telegraph" Madeline Grant.

Przekonanie, że wydarzenia w Wielkiej Brytanii rozstrzygać mogą o „końcu cywilizacji", wydaje się bombastyczną przesadą. Zauważyć warto, że Brytyjczycy upierają się dyskutować o kwestiach, które w naszych warunkach rozstrzygane są wyłącznie metodą moralnego szantażu, bez kłopotliwych dla kogokolwiek dyskusji. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wspólnota strachu. Czyli troski

KRYSTIAN KRATIUK

Półtora roku temu Jarosław Kaczyński sugerował, że gdyby to od niego zależało, „poszedłby na całość" i wprowadził obowiązkowe szczepienia na najmodniejszego wówczas wirusa. Prezes PiS obawiał się jednak, że takie rozwiązanie byłoby w Polsce „nie do końca egzekwowalne".

Pomyślałem wówczas o zbiorowej roztropności naszego narodu. Skoro bowiem człowiek, który rządzi Polską – którego partia obsadza fotel marszałka sejmu, większość sejmową, nominaci zaś trybunały i Pałac Prezydencki – nie jest w stanie zmusić wielkiej części Polaków do zmiany zdania w tak ważnej kwestii, to musi trwać w nas taka właśnie zbiorowa mądrość.

Owa mądrość, choć rzecz jasna nie we wszystkich sprawach, trwa znacznie dłużej, niż trwał koronawirusowy amok. Zbiorową roztropność Polaków ujawniły wszak wewnętrzne sondaże największych partii, uzewnętrznione w dobiegającej właśnie końca kampanii wyborczej. Otóż wielkim ugrupowaniom najwyraźniej wynikło z analiz sondaży, że nie chcemy nad Wisłą powtórki z niemieckiego „herzlich willkommen", i zwyczajnie obawiamy się, że w naszym kraju może dojść do podobnych scen, wydarzeń i skandali z nielegalnymi imigrantami, jak na zachodzie Europy. To dlatego tak PiS, jak PO duży nacisk w kampanii położyły na sprawy związane z migracją – PiS, strasząc nielegalnymi imigrantami Tuska i Brukseli, a PO, strasząc „wizowymi" imigrantami Morawieckiego i Wawrzyka.

I tylko część środowisk samych siebie uważających za opiniotwórcze (choć jest w tym trochę racji, pozostają wszak opiniotwórcze właśnie dla… samych siebie), z filmowcami na czele, próbuje kpić z Polaków, wytykając im „strach przed obcym".

Strach ma jednak zdecydowanie zbyt niedobrą sławę. A przecież – jak udowadniają psychologowie – strach, jako naturalna emocja, posiada wiele pozytywnych funkcji: to dzięki niemu posiadamy mechanizmy ochronne, takie jak instynkt przeżycia i umiejętność unikania niepotrzebnego ryzyka; to strach może motywować do działania i osiągania sukcesów, to strach pozwala nam lepiej analizować zagrożenie, zwiększając czujność i poprawiając szybkość reakcji; to strach pozwala też pokonywać przeszkody czasami niepokonywalne bezeń; to strach może stać się miernikiem tego, co dla nas ważne, o co się boimy. Co więcej, wspólne doświadczenie strachu może budować silne więzi między ludźmi i wspierać wzajemność oraz współpracę.

Oczywiście ze strachem, jak ze wszystkim, nie wolno przesadzić, ale w wypadku zbiorowego strachu o polską tożsamość i bezpieczeństwo, możemy mówić raczej o przejęciu i o trosce. Trosce o kraj, o samych siebie, o nasze dzieci, o przyszłość. Rzadko przecież wykazujemy się takim współodczuwaniem i współodpowiedzialnością jak w tej właśnie sprawie.

Dlatego – mimo złej reputacji emocji, z której wynika owa troska – warto budować wspólnotę strachu. I to znacznie szerszą niż złożoną wyłącznie z Polaków. To wspólnota troski o własną tożsamość i kulturę, wspólnota rozsądku. Sprzeciwiająca się tak masowej migracji z krajów islamskich, jak (na czym rządzący skutecznie oparli przecież poprzednią kampanię wyborczą) niebezpiecznej ideologii LGBT itp. Strach przed nimi, chęć ochronienia naszych dzieci, są dla nas, w naszej części Europy, jeszcze naturalne. Podczas gdy na Zachodzie strach ten został przygnieciony grudami politpoprawności i dopiero teraz, gdzieniegdzie, zaczyna znów kiełkować niczym pojedyncze przebiśniegi.

To wielka szansa Polski i dogorywającej, lecz trwającej jeszcze tu i ówdzie, cywilizacji chrześcijańskiej. Jeśli bowiem Polska i kraje naszego regionu będą potrafiły zbudować wspólnotę zabezpieczającą tożsamość i rodzinę, to wkrótce mogą stanąć w obliczu innej fali uchodźców: imigrantów z zachodniej Europy, niepoznających już własnych krajów. A to może stworzyć podstawę do budowy nowej Rzeczypospolitej, już nie „obojga", ale znacznie liczniejszych narodów. Bruksela i Berlin (jeśli w ogóle przetrwają) będą ją wykpiwać jako „republikę strachu". Ale my nazwiemy ją „Rzeczpospolitą roztropności". Prawdziwą Unią Europejską. ©℗

Jeśli Polska i kraje naszego regionu będą potrafiły zbudować wspólnotę zabezpieczającą tożsamość i rodzinę, to mogą stanąć w obliczu fali imigrantów z zachodniej Europy niepoznających już własnych krajów

eprasa.pl cae6db74eb

ZŁY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Hamas zaatakował Izrael, wcześniej Putin Ukrainę i w takich sytuacjach pojawia się presja, by się opowiedzieć po jednej ze stron. A przecież gdzie dwóch się bije, tam nie zawsze jeden jest zły, a drugi dobry. Czasami bije się dwóch bandziorów, czyli obaj są źli – wtedy lepiej nie mieszać się w ich spór. Innym razem bije się dwóch porządnych i nadal niekoniecznie warto się mieszać, bo może oni mają swoje sprawy do załatwienia i żaden z nich się nie ucieszy z interwencji z zewnątrz.

Palestyńczycy zaatakowali Izrael, Kaczyński toczy wojnę z Tuskiem, Rosja z Ukrainą, administracja Bidena z Trumpem. Gdzie dwóch się bije, tam niekoniecznie jeden jest zły, a drugi dobry.

***

W Polsce Żydów się nie lubi, a Palestyńczyków mało kto zna osobiście. W takim układzie łatwo jest poprzeć „powstanie bojowników palestyńskich" i krytykować Izrael albo stwierdzić, że Żydzi sami są sobie winni. No ale tym razem widzieliśmy zdjęcia, filmy, transmisje na żywo i nawet gdyby ktoś Żydów nie lubił, to te sceny z sieci robią swoje. Znęcanie się nad cywilami, porywanie dzieci z rąk matek, wleczenie kobiet za włosy, wyciąganie ludzi z łóżek, spacery „zwycięzców" po zwłokach rzuconych na stos jak wory ze śmieciami. Sceny jak z filmów fabularnych o Wołyniu oraz o zbrodniach niemieckich.

Materiału jest dużo. Większość pochodzi od Palestyńczyków zadowolonych z tego, co zrobili. Syn Donalda Trumpa stwierdził, że w 18 godzin pojawiło się w sieci więcej filmów z ataku na Izrael niż przez rok z wojny na Ukrainie. Kto nie wierzy, niech wstuka w wyszukiwarkę te dwie wojny i porówna samodzielnie. Zadziwiająco mało z Ukrainy w porównaniu z ogromną masą z Izraela. A przecież front w Izraelu jest o wiele krótszy w czasie i przestrzeni.

***

Na wieść o wojnie Żydzi z całego świata wracają samolotami z wakacji i innych wyjazdów. Poborowi zgłaszają się masowo do służby. W ciągu pierwszej doby 100 tys. rekrutów. W kraju liczącym 9 mln obywateli. To tak jakby w Polsce zgłosiło się 350 tys., a w Ameryce ponad 3 mln. A co było na Ukrainie na wieść o wojnie? Masowe wyjazdy.

***

Środowiska muzułmańskich imigrantów w Niemczech i innych państwach UE cieszą się z ataku Palestyńczyków na żydowskich cywilów. Radosne manifestacje, balangi i wiwaty. Ta reakcja pokazuje, kim są imigranci, których chce się relokować do Polski – cieszą ich gwałty na kobietach na oczach dzieci, cieszy szarpanie za włosy, bicie do krwi, cieszy, gdy Hamas traktuje żydowskich cywilów jak żywe tarcze. W tym samym czasie rząd w Berlinie daje gwarancje finansowe dla akcji „ratowniczych", polegających na przemycie kolejnych migrantów przez Morze Śródziemne do portów we Włoszech.

***

W Ameryce Żydów się lubi, a Izrael jest od dziesięcioleci najważniejszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Tylko jeden prezydent był jawnym antysemitą i podważał ten sojusz oraz przyjaźń i współpracę. Barack Husajn Obama był wobec Izraela otwarcie wredny, poniżał premiera Netanjahu i budował sojusz z największym wrogiem Izraela, czyli Iranem. Iran otwarcie zawiadamia, że chce zetrzeć państwo żydowskie z powierzchni ziemi, urządzić Żydom drugi Holokaust, tym razem skuteczny. To nie moje słowa – to Iran. A do czego im broń nuklearna? Do tego właśnie – nie do obrony, lecz do ataku. W tym też celu (atak) finansują Hamas, Hezbollah i innych terrorystów.

Politykę Obamy kontynuuje administracja Joe Bidena. Niedawno dogadali się z Iranem na zapłacenie okupu za kilku Amerykanów. Wcześniej Stany Zjednoczone nie płaciły okupów, lecz odbijały swoich. Nie płaciły, bo zapłacony okup oznacza, że warto porywać następnych. Teraz Biden zapłacił po miliard dolarów od głowy.

Gdy Hamas zaatakował Izrael i znęcał się nad cywilami, wypowiedzieli się na ten temat natychmiast były prezydent (Trump), była ambasador USA przy ONZ (Haley), były przewodniczący Izby Reprezentantów (McCarthy), ale aktualnie urzędujący prezydent milczał. Gdy w USA wiadomo już było, że Palestyńczycy znęcają się nad cywilami, Biden urządził w ogrodach Białego Domu grillowanie dla swoich współpracowników. Może nikt by się nie dowiedział, ale zaproszono orkiestrę i słychać było z daleka, jak skocznie gra. Dziennikarze zadali więc pytania, co to za okazja. Dostali niechętną odpowiedź o grillowaniu. Na pytanie, czy po zakończeniu grillowania prezydent Biden udzieli wypowiedzi dotyczącej wojny w Izraelu, Biały Dom odpowiedział, że potem to prezydent już bierze wolne i go nie będzie. Dnia następnego też wcześnie wziął wolne i o wojnie ani słowa.

***

Jak to możliwe, że Izrael dał się tak podejść na własnym terenie? Mossad śpi? I amerykański wywiad też nie wiedział o planowanym ataku? A przecież nie chodziło o atak lokalny, lecz o frontalny – 7 tys. rakiet i pocisków to operacja, która powinna zostać wykryta dawno temu. Tłumaczą to w podejrzany sposób: „Ograli nas, bo my postawiliśmy na najbardziej nowoczesne techniki szpiegowskie, a Hamas zastosował techniki prymitywne – posłańców szepczących coś komuś do ucha, odręcznie zapisane karteczki przekazywane z rąk do rąk. I tak właśnie nas ograli".

Tłuszcza wierzy w opowieść o kompletnym zaskoczeniu Izraela, agenci wywiadów nie bardzo. Przecież wywiad Egiptu ostrzegał Izrael o planowanym ataku i to nie jest tajemnica.

***

Czy Izrael potrzebuje pomocy międzynarodowej? NIE. Izrael poradzi sobie sam. Potrzebuje jedynie, aby tym razem nikt mu nie przeszkadzał. Aby tym razem nie nazywać bandytów i sadystów „dzielnymi bojownikami", aby nie wybielać terrorystycznej organizacji Hamas za pomocą rezolucji zawierających słowa o „organizacji narodowo-wyzwoleńczej". Dwóch się bije, a świat ma się jedynie nie wtrącać i nie twierdzić, że skoro nie lubimy Żydów, to Hamas jest dobry. ©℗

eprasa.pl cae6db74eb

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

SAVERIO GAETA: „PROROCTWO O DWÓCH PAPIEŻACH" ORAZ ABP G. GÄNSWEIN I S. GAETA: „TYLKO PRAWDA. MOJE ŻYCIE U BOKU BENEDYKTA XVI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~973~~ ZŁ

347,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 626 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cae6db74eb

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

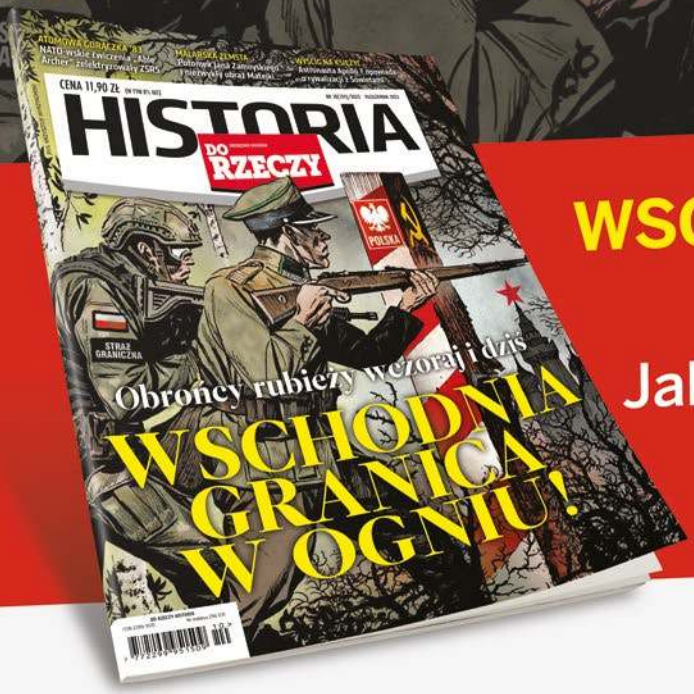

WSCHODNIA GRANICA POLSKI W OGNIU!

Jak II RP poradziła sobie z sowieckimi atakami hybrydowymi

Lekcja Korpusu Ochrony Pogranicza – zdecydowane działania Warszawy ostudziły zapędy Moskwy

Malarska zemsta Zamoyskiego – obraz zamówiony u Jana Matejki miał być rewanżem po trzech wiekach...

Atomowa gorączka '83 – NATO-owskie ćwiczenia „Able Archer" zelektryzowały ZSRS

Krzyż i półksiężyc na Lewancie – wspomnienia Usamy ibn Munkiza idą w poprzek popularnym wyobrażeniom o pograniczu islamsko-chrześcijańskim

Książęce tajemnice – Zamek Książ w Wałbrzychu ma długą i fascynującą historię usianą skandalami

„Prigożyn" Lenina – Pawieł Dybienko zrobił zawrotną karierę w partii bolszewickiej, mimo że zorganizował bunt przeciw... Leninowi

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cae6db74eb